

JACK HIGGINS

BEZ PRZEBACZENIA

CYKL: SEAN DILLON TOM 11

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

Tytuł oryginału: BAD COMPANY

Rankiem 26 kwietnia 1945 roku dwa junkersy 52S, transportujące amunicję czołgową, zdołały wylądować w centrum oblężonego Berlina, na prowizorycznym pasie startowym, będącym w istocie uporządkowanym kawałkiem ulicy. Rosyjska artyleria niestrudzenie ostrzeliwała miasto. Tylko kilka dni dzieliło Trzecią Rzeszę od upadku, a Hitlera od samobójczej śmierci.

Junkersy nie były jedynymi samolotami, lądującymi pod koniec wojny na ulicach stolicy Trzeciej Rzeszy. Tego samego dnia fieseler storchem przyleciał do Berlina generał Luftwaffe Ritter von Greim w towarzystwie asa niemieckiego lotnictwa, Hannah Reitsch. Podczas lotu odniósł poważną ranę i to Reitsch wylądowała na Alei Wschód-Zachód, w pobliżu Bramy Brandenburskiej. Von Greim otrzymał awans do stopnia marszałka polowego. Berlin opuścił następnego dnia w arado, pilotowanym oczywiście przez Reitsch.

Istnieje wiele fascynujących opowieści o lekkich samolotach, które w tych dniach opuściły Berlin, startując z jego ulic. Mówi się, że tą właśnie drogą najpotężniejszy po Hitlerze władca Trzeciej Rzeszy, Martin Bormann, uciekł do Norwegii, a stamtąd, na pokładzie łodzi podwodnej, do Ameryki Południowej.

Oto jedna z tych opowieści. Jej bohaterem jest Sturmbahnführer SS, baron Max von Berger, którego fieseler storch wystartować miał z Alei Wschód-Zachód wkrótce po zawarciu przez Hitlera małżeństwa z Ewą Braun. Baron zabierał ze sobą najtrwalszą część dziedzictwa Hitlera.

DAUNCEY VILLAGE

WEST SUSSEX

2002

Podczas pogrzebu hrabiny Loch Dhu, Kate Rashid, padał deszcz. Zalewał Dauncey Village niczym wodospad, sprawiając, że ludzie biegli, szukając schronienia w kościele. Zgromadzili się tam wszyscy wielcy, wszyscy prawi, pragnący pożegnać hrabinę. Ich samochody zablokowały główną ulicę miasteczka.

Zaledwie przed chwilą pojawił się na niej daimler generała Charlesa Fergusona. Generał siedział na tylnym siedzeniu obok Seana Dillona. Dillon wyciągnął z kieszeni płaszcz a piersiówkę z whisky Bushmills, napił się, zapalił papierosa.

- Wchodzimy?

- Nie - odparł Ferguson.

- W takim razie... po co przyjechaliśmy?

- Bo jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, Dillon. Inie jest to w końcu zwykły pogrzeb, lecz bardzo poważne wydarzenie. Najbogatsza kobieta świata zginęła w wypadku lotniczym u wybrzeży Anglii, za sterami własnego samolotu, a jej kuzyn Rupert zniknął w tajemniczych okolicznościach. - Generał rozparł się wygodnie. - Niczego nie trzeba poprawiać, gotowy scenariusz dla telewizji.

Dillon znów łknął z piersiówki.

- Mówiłem to już i powtórzę jeszcze raz: jesteś zimnokrwistym sukinsynem, generale.

- Naprawdę? A ja sądziłem, że określasz tak sam siebie.

- Niech będzie. Ale powtarzam pytanie: jeśli nie wchodzimy do środka, to co tu robimy?

- Cierpliwości, Dillon. Czekam na kogoś.

- Ciekawe na kogo.

- No... powiedzmy, że na twojego dobrego przyjaciela. Na początek powinno wystarczyć.

O, właśnie przyjechał!

Za ich samochodem zatrzymał się mercedes. Na tylne siedzenie daimlera wskoczył Blake Johnson.

- Miło pana widzieć, generale. I ciebie, mój dobry irlandzki przyjacielu - dodał, ściskając dłoń Dillona.

- A ty skąd się tu wzięłeś, do diabła? - zdumiał się Dillon.

- Jak to skąd? Z Białego Domu, oczywiście.

Blake miał nieco ponad pięćdziesiąt lat, nawet nie zaczął siwieć i zachował formę byłego żołnierza piechoty morskiej. Pełnił funkcję dyrektora Wydziału Koordynacji Białego Domu, choć ci, którzy o tym wiedzieli - a nie było ich wielu - nazywali jego wydział Piwnicą. W rzeczywistości była to grupa likwidacyjna, podlegająca bezpośrednio prezydentowi, całkowicie niezależna od CIA, FBI, tajnych służb i wszystkich innych organizacji rządowych.

- No dobrze, ale po co przyjechałeś? - pytał zaciekawiony Dillon.

Ferguson go zignorował.

- Czy to prawda, co mówią o baronie?

- Prawda, prawda. Właśnie ją potwierdzono. Prezydent natychmiast kazał mi skontaktować się z panem, generale. Więc jestem.

- Co to za tajemniczy baron? Ma nazwisko? Adres? - niecierpliwił się Dillon.

- Zaraz się pan dowie - zapewnił spokojnie Ferguson.

Przed kościelną bramę zajechał rolls-royce. Wysiadł z niego szofer w uniformie, otworzył najpierw parasol, potem tylne drzwi. Pojawił się młody człowiek w trenczu zarzuconym na ramiona, obszedł samochód i zatrzymał się przy drzwiach z przeciwnej strony. Stał przy nich, nie zwracając uwagi na to, że w jednej chwili przemókł do suchej nitki.

Z samochodu wysiadł starzec w skórzanym płaszczu, filcowym kapeluszu, z laską ze srebrną gałką w ręku. Młody człowiek osłonił go parasolem, wziął pod ramię i obaj poszli do kościoła.

- Oto on - powiedział Blake.

- Jaki on? - spytał Dillon.

- Baron Max von Berger - odparł Ferguson. - I, co właśnie potwierdził Blake, nikt inny, tylko tajemniczy cichy wspólnik Kate Rashid.

- Rashid? - zdumiał się Dillon. - Zaraz, zaraz, chwileczkę. Ten Berger od Berger International?

- Owszem.

- On jest wart miliardy!

- Dokładnie.

- I przejął kontrolę nad Rashid Investments?

- Niestety.

- No, no... - Dillon oniemiał, ale nie na długo. - To rzeczywiście problem - dokończył.

Wielkie krople deszczu waliły w dach, z kościoła dobiegały dźwięki muzyki organowej.

- Dlaczego na pogrzebach zawsze leje? - westchnął Blake.

- Wszystko przez Hollywood - prychnął Dillon. - Na filmowych pogrzebach musi padać, a życie imituje sztukę. A ten twarzął to kto?

- Ten, który na niego czekał? Ciekawe, że użyłeś akurat tego słowa.

- To przez jego złamany nos. Dobrze, że nie widziałem resztek faceta, który tak mu dokuczył.

Do rozmowy włączył się Ferguson.

- Nazywa się Marco Rossi. Ukończył ekonomię i zarządzanie na Yale, po studiach poszedł do włoskiego lotnictwa. W Bośni pilotował tornado. Macie ze sobą wiele wspólnego, Dillon. Został zestrzelony i za frontem, w Serbii, przeżył kilka interesujących chwil. Serbowie nie należą do najrozsądniejszych ludzi na świecie, ale o tym sam wiesz najlepiej. Jego matka pracowała dla barona. Urodził się w Palermo i tak jak jej wuj, niejaki Tino Rossi, miał związki z mafią. Nie byle jakie związki.

- A co teraz porabia nasz młody Marco? - spytał Dillon.

Odpowiedział mu Blake.

- Ma szerokie zainteresowania, ale przede wszystkim przejmuje kontrolę nad ochroną operacji Rashid Investments na całym świecie. Nie daj się zwieść, Sean, on jest naprawdę dobry. Nie warto wchodzić mu w drogę... nawet na chodniku. - Blake wzruszył ramionami. - Kilka razy spotkałem się z nim w Waszyngtonie. Towarzysko. Jest uroczy, wyrafinowany, kobiety za nim szaleją.

- Dopóki ktoś krzywo na niego nie spojrzy. W Bośni, za linią frontu, zabił czterech ludzi. W każdym razie o czterech wiemy. W kieszeni nosi kościaną figurkę Matki Boskiej. Kiedy przyciśnie się guzik, wyskakuje z niej ostrze i podrzyna ci gardło. - Ferguson skrzywił twarz w grymasie, który mógł uchodzić za uśmiech. - Ty, Dillon, łatwo byś się z nim dogadał.

- Skoro przejmuje całość ochrony operacji Rashid Investments, będzie miał pełny dostęp do komputerów i do tego, co na nas mają.

- No właśnie. - Tym razem Ferguson się nie uśmiechnął. - Dowie się, że zastrześliś trzech braci Kate, że raczej nieuprzejmie wtrąciłeś się w ich interesy naftowe w Hazarze. Nie spodziewam się też, by uznał za przypadek fakt, iż nieodżałowanej pamięci Kate zanurkowała w morze za sterami black eagle'a, a niemal jednocześnie jej kuzynek zdematerializował się w dość tajemniczych okolicznościach.

- Pańskim zdaniem pójdzie naszym tropem?

- Oczywiście, Dillon. Zrobi to, co ty byś zrobił na jego miejscu. - Ferguson wyjął z teczki dużą kopertę. - Powinieneś to sobie przeczytać. Bardzo dokładnie. Zwłaszcza kawałki o tym, czego to von Berger nie robił w czasie drugiej wojny światowej. Zapewniam cię, że to pasjonująca lektura. - Rozparł się wygodnie w siedzeniu. - Wiesz, Dillon, jestem pewien, że nie będziesz się nudził.

BERLIN

BUNKIER HITLERA

30 kwietnia 1945

Jeśli na ziemi istnieje piekło, to piekłem tym był Berlin. Miasto zmieniło się w jedno wielkie krematorium, nad którym unosiły się płomienie i gęste chmury dymu. Czekala je zagłada, wszyscy o tym wiedzieli. Rosjanie już opanowali wschodnie dzielnice.

Ludzie uciekali. Byli wygnańcami z własnego miasta. Zabierali ze sobą tylko to, co byli w stanie unieść, nędzne resztki majątku, a w duszy wszyscy żywili rozpaczliwą nadzieję, że jakimś cudem uda się im przedostać na zachód i wpaść w objęcia nadchodzącej armii amerykańskiej.

Patrole SS zatrzymywały wszystkich noszących mundur. Brak przepustki lub jakiegoś rozkazu skutkowało natychmiastową egzekucją. Artyleria rosyjska strzelała bezustannie, pociski padały w miejsca najzupełniej przypadkowe. Gdziekolwiek uderzyły, ludzie krzyczeli i rozbiegali się w panice.

Sturmbahnführer baron Max von Berger siedział na przednim siedzeniu kubelwagena,

niemieckiego odpowiednika dżipa. Samochód prowadził kapral SS, z tyłu miejsce zajął sierżant, zaciskający dłonie na pistolecie maszynowym MP40 Schmeisser. Na Wilhelmstrasse, w pobliżu Kancelarii Rzeszy, dostrzegli patrol trzech esesmanów i dwóch kłęczących na chodniku mężczyzn w cywilnych ubraniach; ofiary czekające na rozstrzelanie.

- Zatrzymaj się - rozkazał kierowcy von Berger głosem dowodzącym, że umie wydawać rozkazy. - Jakim prawem to robicie! - krzyknął.

Esesmani zamarli. Dowódca patrolu, sierżant, miał brutalną, niedogoloną twarz. Spojrzał na Bergera, dostrzegł skórzaną kurtkę i dziecinne rysy, ale nie zauważył Krzyża Rycerskiego z Liśćmi Dębowymi i Mieczami pod kołnierzem.

- A kim ty, kurwa, jesteś, synku?

- Sturmbahnfuhrer von Berger.

Od całego patrolu potężnie jechało koniakiem.

- W twoim wieku, synku? Ile ty masz lat? Dziewiętnaście? Założę się, że ukradliście te mundurki, ty i twoi kumple. - Wymierzył do nich ze schmeissera. - Chcę zobaczyć wasze dokumenty.

- Och, to przecież zaden problem.

Z tymi słowami Max von Berger wyszarpnął z prawej kieszeni kurtki lugera i zabił esesmana strzałem między oczy. Sierżant z tylnego siedzenia załatwił pozostałych dwóch, nim w ogóle spróbowali ucieczki.

Skazańcy, oczekujący śmierci, wstali z klęczek, drżąc na całym ciele. Berger niecierpliwie machnął ręką.

- Uciekajcie - rzucił, a do kierowcy powiedział: - Jedziemy.

Z Wilhelmstrasse kubelwagen skręcił w Vosstrasse. Podjechał do Kancelarii Rzeszy. Jak wszystkie inne budynki w Berlinie, ten także został zbombardowany i zrujnowany. Dawno temu przestał funkcjonować jako kwatera główna czegokolwiek, ale pod trzydziestoma metrami betonu znajdował się ostatni punkt dowodzenia Adolfa Hitlera: bunkier Fuhrera. Ten całkowicie samowystarczalny, podziemny wszechświat dysponował własnym zasilaniem elektrycznym, własną świeżą wodą, własną ogromną kuchnią. Ba, mógł się nawet kontaktować z wielkim światem, a to dzięki działającym ciągle telefonom i łączności radiowej. Zamieszkiwali go ludzie pokroju Bormanna czy Ribbentropa oraz całe mnóstwo generałów, broniących się, jak który potrafił, przed straszną rzeczywistością: trzydzieści metrów nad ich głowami Trzecia Rzesza obracała się właśnie w proch i pył.

Rampa zjazdowa została zniszczona dawno temu, ale z boku zostało wystarczająco dużo miejsca, by zaparkować kubelwagena. Sierżant wysiadł z samochodu i otworzył drzwiczki von Bergerowi.

- Szybko pan myśli, panie baronie - powiedział z uśmiechem.

- To był odruch, Karl, tylko odruch. Mamy za sobą bardzo długą wojnę. Ty też nieźle sobie poradziłeś.

Wysiadł, sięgnął po teczkę, podszedł do strzegących wejścia dwóch esesmanów. Obaj natychmiast stanęli na baczność.

- Panie Sturmbahnführerze...

- Niech któryś z was odniesie to adiutantowi generała majora Mohnke. To raport o stanie gotowości bojowej Drugiej Brygady przed ostateczną bitwą. - Jeden z esesmanów wziął teczkę, wykonał idealny w tył zwrot i odszedł. Baron spojrzął na drugiego i klepnął go po ramieniu. - Przynies mi coś do picia. W zeszłym roku dostałem postrzał w biodro i są dni, kiedy rana boli jak cholera. Będę w ogrodzie.

Esesman, młody chłopak, pobiegnął wypełnić rozkaz. Baron przywołał sierżanta. Razem poszli do wspaniałego niegdyś, a dziś zrujnowanego jak wszystko ogrodu: przewrócone drzewa, leje po pociskach. Było to miejsce przeraźliwie smutne, zwłaszcza dla tych, którzy pamiętali, jak kiedyś wyglądało, lecz tu ciągle jeszcze zapominało się o grozie artyleryjskiego ostrzału. Huk armat brzmiał jak gromy burzy wiszącej gdzieś za horyzontem. Von Berger wyjął papierośnicę, wybrał papierosa, a sierżant Karl Hoffer natychmiast podał mu ogień. Ten młody, dwudziestopięcioletni mężczyzna, twardy i niezłomny, był leśnikiem w wielkich posiadłościach barona na Wrzosowiskach Holstein, w Schwarze Platz, czyli "Ciemnym Miejscu". Służyli razem od czterech lat.

- No i co, przyjacielu? Wdepnęliśmy w gówno, prawda?

- Pod Stalingradem też, ale jakoś się z niego wygrzebaliśmy, baronie.

- Teraz już nam się nie uda, Karl. Mam nieprzyjemne wrażenie, że sami będziemy musieli znaleźć sobie jakieś miejsce na świecie. Ciekawe, co się dzieje w domu...?

Miał na myśli Schloss Adler, zamek wznoszący się nad wioską Neustadt, posiadłość rodzinną od siedmiuset lat, ogromną połąć gęstych, mrocznych lasów, w których tu i tam rozrzucone były wioski, zamieszkane przez wieśniaków traktowanych jak członkowie jednej wielkiej rodziny... której głową był on.

- Czy ma pan jakieś wiadomości od baronowej? - spytał Hoffer.

- Cztery miesiące temu dostałem od niej list. Potem nic. A co u ciebie?

- Tylko list od Lotte, ten z lutego. Oczywiście wspomniała o pani baronowej. - Lotte była pokojówką pani i mieszkała na zamku.

Ojciec von Bergera, generał major, zginął w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku w Polsce. Baronem, głową rodu, został nieoczekiwanie jego syn. Matka Maxa zmarła, wydając go na świat. Jediną kobietą w jego życiu była ukochana Elsa. Pobrali się wcześniej, z powodu wojny. Oboje mieli dwadzieścia trzy lata. Ich syn, Otto, skończył trzy latka.

Pojawił się młody esesman z butelką i dwoma kieliszkami.

- Bardzo przepraszam, panie baronie - powiedział zawstydzony - ale nie mamy nic lepszego niż wódka.

Max von Berger roześmiał się wesoło.

- Muszę przyznać, że to najlepszy trunek na te czasy. Przyniosłeś tylko dwa kieliszki?

Młody esesman oblał się rumieńcem.

- No, panie Sturmbahnführerze... trzeci schowałem w kieszeni - przyznał się dzielnie.

Baron zerknął na Karla.

- Widzisz, jak dobrze ich wyszkoliliśmy? - zażartował, otworzył butelkę, napełnił kieliszek, wypił i westchnął. - Boże, ale dobrze wchodzi. Nie ma to jak rosyjska krzakowa. - Wypił drugi kieliszek. - Ach, wspaniała. Karl?

- Baronie?

Von Berger zdjął skórzaną kurtkę i podał ją Hofferowi.

- Biodro przestało mi dokuczać - powiedział z uśmiechem. Nalał sobie trzeci kieliszek, oddał butelkę młodemu esesmanowi. - Teraz wasza kolej - oznajmił. Otworzył papierośnicę, wyjął papierosa. Hoffer podał mu ogień. Baron odszedł, paląc i z wyraźnym zadowoleniem popijając mocny, palący trunek.

Hoffer i chłopak wypili i natychmiast ponownie napełnili kieliszki. Von Berger wyraźnie fascynował chłopca.

- Mój Boże, ten mundur... nigdy takiego nie widziałem.

Hoffer miał na sobie maskujący mundur polowy. Wzruszył ramionami.

- Pod tym, co widzisz, noszę identyczny - powiedział obojętnie. - To znaczy, z wyjątkiem orderów - dodał z uśmiechem. - Na ordery sam sobie zasłużył.

Mimo młodego wieku baron Max von Berger wiedział, co to wojna. Walczył w Polsce, Francji i Holandii w szeregach Waffen SS. Przeniesiony do Dwudziestego Pierwszego Batalionu Powietrznodesantowego, został ranny w Malame na Krezie. Przeżył Afrykę u Rommla w Afrika Korps i zimą w Rosji. Nosił złotą odznakę, przyznaną za pięć ran odniesionych na polu bitwy.

Mimo srebrnej trupiej czaszki na czapce oraz oznaki SS wraz ze stopniem na kołnierzu był prawdziwym Fallschirmjagerem - najważniejszą rolę grały lotnicza kurtka i bryczesy, włożone - jak nakazywał zwyczaj pilotów - w spadochroniarskie buty, choć na wzór piechoty zielone. Nad lewą kieszenią, nad Żelaznym Krzyżem, nosił odznakę spadochroniarzy, srebrno-złotego orła. Krzyż Rycerski z Liśćmi Dębowymi i Mieczami zdobił kołnierz jego munduru.

- To niezwykły człowiek, ten nasz baron - powiedział Karl Hoffer. - Razem przeżyliśmy cztery lata piekła. I jakoś żyjemy.

- Pewnie już niedługo - zauważył chłopak.

- Kto wie? Pod Stalingradem byliśmy pewni końca, obaj odnieśliśmy rany... i trafiliśmy na jeden z ostatnich samolotów ewakuacyjnych. Zginęło trzysta pięćdziesiąt tysięcy naszych, a my się wydostaliśmy.

Chwilę później w wejściu do bunkra, prowadzącym ze zrujnowanego ogrodu, pojawił się generał Mohnke. Nie zwrócił uwagi na niższy stopień żołnierzy, podszedł wprost do Sturmbahnfuhrera.

- Baronie, Führer pragnie z panem rozmawiać.

Von Berger spojrzał na niego zdziwiony.

- Sam Führer?

- Tak. Natychmiast.

Przechodząc obok Karla, baron zatrzymał się i wyciągnął w jego kierunku kieliszek. Sierżant napełnił go po brzegi. Von Berger wznosił toast.

- Za nas, przyjacielu, i za trzystu sześćdziesięciu pięciu żołnierzy naszego batalionu, którzy zginęli za to i owo. - Wypił wódkę i cisnął kieliszek o ziemię. - Jestem gotowy, generale - zwrócił się do Mohnkego. - Nie wypada kazać Führerowi czekać.

Zeszli do bunkra. Po betonowych ścianach ściekała woda. Wszędzie, w każdym zakamarku i w każdym z wielu tworzących istny labirynt korytarzy, pełno było żołnierzy, przede wszystkim esesmanów. Panowała tu wszechwładnie atmosfera rozpacz, nie, gorzej, rezygnacji. Ci, którzy mieli jeszcze ochotę na rozmowy, prowadzili je przyciszonym szeptem, nie zagłuszającym szumu elektrycznych wentylatorów, utrzymujących obieg powietrza. Na widok von Bergera, jego doskonale skrojonego, niepokalanie czystego munduru i lśniących orderów rozmowy cichły, a głowy obracały się ze zdumieniem.

Przeszli na niższy poziom, zajęty głównie przez najbliższych współpracowników Hitlera: Martina Bormanna, Goebbelsa z rodziną i tak dalej. Nie zatrzymali się. Generał prowadził, ale baron wiedział, dokąd zmierzają. Był tam już wcześniej.

Na najniższym poziomie bunkra znajdował się gabinet Führera, jego sypialnia, dwa salony, łazienka i sala sztabowa. Jej bliskość była dla wodza wygodna, bowiem narady odbywały się niemal bez przerwy. Mohnke zapukał i wszedł. Baron czekał. Słyszał przyciszone głosy. Generał pojawił się wkrótce i powiedział:

- Führer pana prosi. - Złapał młodego oficera za ramię. - Wasi towarzysze z SS są z was dumni. Twoje zwycięstwo jest naszym zwycięstwem.

Slogan ten wymyślił Goebbels i użył go w jednym ze swoich bardziej natchnionych przemówień, co w szeregach SS stało się okazją do wielu, na ogół niecenzuralnych żartów. W każdym razie Berger nie rozumiał, co aż tak wielkiego zrobił, że wszyscy go podziwiają.

- Jest pan zbyt uprzejmy, generale.

- Ależ skąd, ależ skąd.

Mohnke pocił się, sprawiał wrażenie oszołomionego. Odsunął się i baron Max von Berger wszedł do gabinetu wodza.

Fiihrer siedział za biurkiem, pochylony nad mapą. Sprawiał wrażenie drobnego, jakby skurczonego. Kurtka mundurowa wisiała na nim luźno, twarz miał chudą, wręcz wynędzniałą. W jego głęboko zapadniętych, otoczonych czarnymi obwódkami, podsiniałych oczach nie było życia. Wydawały się martwe jak u człowieka, który doszedł do kresu drogi, na nic nie czeka i niczego się nie spodziewa. Za jego plecami stała młoda kobieta w mundurze służb pomocniczych SS. W rękę trzymała plik dokumentów; podsuwała je Hitlerowi po jednym, a on podpisywał drżącą ręką. Kobieta nazywała się Sara Hesser, miała dwadzieścia dwa lata. Sam Hitler wybrał ją na swoją drugą sekretarkę. Spojrzał na nią i powiedział:

- Dopilnuj, żeby te papiery dotarły do odpowiednich osób. Barona przyjmę w salonie. Przynieś mi akta specjalne. Czy już je uaktualniono?

- Zeszłej nocy, mein Fiihrer.

- To dobrze. - Hitler wstał. - Baronie, proszę za mną.

Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, otworzył je i poprowadził gościa do pierwszego z salonów. Usiadł w fotelu, przysuniętym do niskiego stolika.

- Baronie von Berger, Sturmbahnfuhrerze SS, przysiągł pan chronić swego Fiihrera. Proszę powtórzyć rotę przysięgi.

Baron stanął na baczność.

- Przysięgam bezwzględne posłuszeństwo Fiihrerowi Rzeszy Niemieckiej i narodu niemieckiego, Adolfowi Hitlerowi, najwyższemu dowódcy sił zbrojnych, i jak każdy dzielny żołnierz, jestem gotów dotrzymać tej przysięgi z narażeniem życia.

Hitler z satysfakcją skinął głową.

- Jak na człowieka w pańskim wieku odniósł pan wielkie sukcesy, a jednak nigdy nie wstąpił pan do partii nazistowskiej, panie baronie. Dlaczego?

- Nie wydawało mi się to właściwe, mein Fiihrer.

- Typowa odpowiedź głowy wielkiej rodziny. Arystokrata aż do końca... a jednak dobrze mi pan służył. Powtarzam moje pytanie: dlaczego?

- Kwestia honoru. Przysięgałem.

- Oto odpowiedź, której po panu oczekiwałem. Jest pan niezwykle młodym człowiekiem. Wyczułem to i dlatego odznaczyłem pana Mieczami i mianowałem pana adiutantem. Uratowałem panu życie. Martwy nie przydałby mi się pan do niczego, a zginąłby pan, gdybym odesłał go na front.

Max von Berger odetchnął głęboko.

- Co mogę zrobić dla mojego Fiihrera? - spytał.

- Coś, co jest najważniejsze i czego nie dokona nikt zamknięty w tym bunkrze. Nadchodzą Rosjanie. Chcą mnie złapać, a ja nie mogę na to pozwolić. Wraz z żoną popełnię samobójstwo... nie, nie patrz tak na mnie, von Berger. Najważniejsze, by moje dzieło było kontynuowane, a w tym i ty odgrywasz pewną rolę. Najważniejszą.

Mówiąc o żonie, Hitler miał oczywiście na myśli kochankę, Ewę Braun, którą poślubił dwudziestego ósmego koło północy.

- Musimy dopilnować, by narodowy socjalizm przetrwał. To jest w tej chwili najważniejsze. Dysponujemy wielkimi sumami pieniędzy, nie tylko w Szwajcarii, lecz także w Ameryce Południowej, u sympatyków naszej sprawy. Już wysłałem emisariuszy do Argentyny i Brazylii. Musimy utrzymać Kameradenwerk, Związek Towarzyszy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do salonu weszła Sara Hessler z teczką w ręku. Hitler przywołał ją do siebie skinieniem drżącej dłoni.

- Jak pan widzi, nie mam przed nią tajemnic - powiedział.

- Nadal nie rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje, mein Fiihrer.

Wódz podniósł rękę.

- Dyrektywa Fiihrera.

Sara Hesser otworzyła teczkę, wyjęła z niej kartkę i podała baronowi, który spojrział na nią ze zdumieniem. Treść dyrektywy była całkowicie jednoznaczna.

Bunkier Fiihrera, 30 kwietnia 1945

Okazicielem niniejszego dokumentu, członkiem mojego sztabu jest Sturmbahnfihrer baron Max von Berger, wypełniający zadanie zlecone mu bezpośrednio przeze mnie. Wszelkie władze cywilne i wojskowe mają udzielić mu jak najdalej idącego poparcia.

Adolf Hitler

- To może panu pomóc - powiedział Hitler.

Von Berger zdumiony przyglądał się dokumentowi. Trudno było w pełni ocenić konsekwencje, jakie przyniesie posługiwanie się nim.

- Ale... w czym ma mi pomóc, mein Fiihrer?

- W przetrwaniu tego wszystkiego, co zdarzyć się może w ciągu następnych kilku dni. W dotarciu do domu, przeżyciu i przygotowaniu się do tego, co musi nastąpić: niewoli u Amerykanów lub Brytyjczyków.

Von Berger spojrział zdumiony na wodza.

- Mein Fiihrer, przecież to nie Amerykanie oblegają miasto, tylko Rosjanie.

- Nie zrozumiał mnie pan. Proszę posłuchać: w ostatnich kilku dniach wiele samolotów przyleciało do miasta z Gatow, z Rechlina... Lądowały na ulicach, choćby na Alei Wschód-Zachód, koło Bramy Brandenburskiej. Wśród tych, którzy nimi lecieli, był także marszałek polny von Greim we fieseler storchu.

Baron z największym trudem zachowywał spokój. Von Greim mógł przylecieć do Berlina tylko w jednym celu: po awans na głównodowodzącego Luftwaffe. Oczywiście Hitler powinien awansować go telefonicznie lub przez radio, ale nie, von Greim dotarł do Berlina z Monachium, eskortowany przez pięćdziesiąt myśliwców. Czterdzieści maszyn zestrzelono.

- Dlaczego ja? - spytał cierpliwie. - Dlaczego właśnie ja?

- Rozmawiałem z dowódcą bazy Luftwaffe w Rechlinie. Mamy pilota, ochotnika, który zgodził się przetransportować pana z Berlina. Storchem. Już przyleciał, czeka na pana w tym wielkim garażu przy domu Goebbelsa. Dymy, ulewny deszcz i para z pożarów powinny zamaskować start. To idealna pora.

- Ale co ja mam zrobić, mein Fiihrer?

Hitler skinął drżącą dłonią. Sara Hesser położyła teczkę na biurku.

- Z końcem wojny nadejdzie kryzys. Przemysł upadnie, a wraz z nim pańska rodzinna firma, Berger Steel. Ale przyjdzie czas, gdy sytuacja zacznie się poprawiać. Zwłaszcza pańska. W tej teczce znajdzie pan informacje o depozytach w Szwajcarii, kodach i hasłach, które dadzą panu dostęp do milionów. Odbuduje pan potęgę Bergerów.

Baron słuchał go, bezgranicznie zdumiony.

- A to jeszcze nie wszystko. - Hitler otworzył teczkę, wyjął z niej książeczkę oprawioną w granatową skórę. - Od sześciu miesięcy prowadzę dziennik. Przez te pół roku wszyscy mnie zdradzili. Göring, Himmler... - Fiihrer pokręcił głową. - Przecież to ja byłem z nich wszystkich najrozsądniejszy.

Wysłałem nawet do Szwecji Waltera Schellenberga, na spotkanie z przedstawicielem Roosevelta, wiedział pan o tym? Nie, oczywiście, że nie. Złożyłem ofertę pokoju i wspólnej walki z czerwonymi. Czy jestem ich wrogiem? Nie ja przecież, lecz ten wściekły pies Stalin. Wspólnie z Ameryką zmiażdżylibyśmy go, ale nie, Roosevelt się nie zgodził. To Amerykanie zyskają najwięcej na nieszczęściu, które spotkało Europę. Rosjanie nie zorientują się, co wpadło im w ręce. Zniszczenia Berlina przekroczą wszystkie, nawet najbardziej pesymistyczne oczekiwania. A jednak Roosevelt i Eisenhower zdecydowali wstrzymać natarcie po przekroczeniu Łaby. Patton z tymi swoimi czołgami mógł tu być w ciągu dwudziestu czterech godzin, ale kazano mu wstrzymać natarcie, bo tak życzył sobie Stalin. Więc to czerwoni zajmą Berlin.

- Mój Boże! - westchnął von Berger. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Niech mi pan wierzy, baronie, za kilka lat Anglicy i Amerykanie pożałują swojej głupoty. Wszystko to zapisałem w moim dzienniku. Co dnia dyktowałem go Fraulein Hesser. Zauważył pan zapewne, że drży mi ręka... nieszczęsna choroba, gnębiąca mnie od dłuższego czasu. Ale każdy zapis podpisałem osobiście.

- Co mam zrobić z pańskim dziennikiem, mein Fiihrer?

- Nadejdzie czas, gdy przyda się on panu do poparcia naszej sprawy. Nie wiem kiedy, ale wiem, że nadejdzie, baronie.

Panu go powierzam. To święta księga. Niech pan pamięta, że nie wolno go kopiować. Przysięga pan? Doskonale. Niech pan chroni tę książeczkę, choćby za cenę życia. Może pan ją oczywiście przeczytać, jeśli zechce. Zapewne najbardziej zainteresuje pana opis moich rozmów z Rooseveltem. - Fiihrer pokręcił głową. - Głęboko wierzę, że osiągnie pan cel, który przed panem postawiłem.

Baron Max von Berger, dzielny żołnierz i wspaniały człowiek, gardzący partią nazistowską, z jakiegoś powodu poczuł się niezwykle poruszony. Sekretarka schowała dokumenty i książkę do teczki, którą mu wręczyła.

- Opuści pan Berlin w ciągu godziny. Zła pogoda jest naszym sprzymierzeńcem - powiedział Hitler.

- Czy mogę zabrać ze sobą mojego sierżanta?

- Oczywiście, a także Fraulein Hesser. - Hitler zerknął na sekretarkę.

- Nie, mein Fiihrer. Zostanę tu i do końca będę wypełniała moje obowiązki.

- Niech i tak będzie. - Hitler wstał, wyciągnął do von Bergera drżącą dłoń. - Dziwne, wybrałem pana, choć nigdy nie zapisał się pan do partii.

Baron mocno potrząsnął ręką wodza.

- Wypełnię pańskie dzieło - obiecał. - To sprawa honoru.

- Proszę już iść. Więcej się nie spotkamy.

Sara Hesser podeszła do drzwi i otworzyła je. Max von Berger wziął teczkę, ruszył do wyjścia, lecz w ostatniej chwili odwrócił się i spojrzał na siedzącego za biurkiem, zgarbionego, wynędzniałego Hitlera. Wiedział, że zapamięta ten obraz do końca życia.

- Mein Fuhrer! - Wyprostował się, zasalutował.

Wódz się uśmiechnął.

- Nawet teraz, przy pożegnaniu, oddajesz mi honory wojskowe, nie partyjne. Z dłonią

przy czapce wyglądasz jak brytyjski gwardzista.

- Bardzo mi przykro, mein Fuhrer.

- Och, wynoś się już. - Hitler machnął ręką, baron wyszedł, a Hesser zamknęła za nim drzwi.

Baron, już sam, wrócił przez zatłoczone korytarze do ogrodu. Hoffer i młody esesman dopijali resztkę wódki. Przed lejącym bez przerwy deszczem chronił ich wystający kawałek betonowego muru.

- Baronie? - Hoffer natychmiast stanął na baczność.

- Wynosimy się stąd, Karl. Możesz mi wierzyć albo nie, ale opuszczamy Berlin.

- Jak, panie baronie?

Von Berger odprowadził go na bok.

- Fiihrer powierzył mi specjalną misję - powiedział cicho. - Czeka na nas lekki samolot. Nie wszystko ci powiem, ale jedno mogę: wracamy do domu. Wracamy do Holstein.

- Nie wierzę.

- Uwierzysz. Daj mi kurtkę i zdobądź jakąś broń.

Ruszył w stronę ulicy. Młody esesman odprowadził go wzrokiem.

- Pan opuszcza Berlin, Sturmbahnfihrerze? - spytał nieśmiało.

Baron uśmiechnął się i klepnął go po ramieniu.

- Jak się nazywasz, chłopcze? - spytał.

- Paul Schneider.

- Coś ci powiem, Paul. Zamiast czekać tu na śmierć z ręki Rosjan, możesz polecieć z nami na zachód i poddać się Amerykanom.

Chłopak gapił się na niego z otwartymi ustami.

- Nie wierzę - wykrztusił.

- Mówisz to samo co sierżant Hoffer. No, już czas. Idziemy.

W ciągu czterdziestu minut von Berger, Hoffer i młody Paul Schneider zdobyli wojskowe plecaki wypełnione amunicją i granatami i uzbroili się w schmeissery. Wyszli z bunkra na Hermann Göring Strasse.

Miastem rządziła panika. Tiergarten szły tłumy ludzi. Artyleria strzelała nieprzerwanie, kobiety i dzieci krzyczały ze strachu. Nad miastem unosiła się mgła i dymy tak gęste, że nie rozpraszał ich padający ciągle ulewny deszcz.

Mężczyźni przeszli Tiergarten, trzymając się na samej krawędzi tłumu, po czym, minawszy Bramę Brandenburską, skierowali się do domu Goebbelsa. Jak wszystkie w Berlinie, i on uszkodzony został przez odłamki, najprawdopodobniej pocisku artyleryjskiego, ale garaż pozostał nietknięty. W jednym ze skrzydeł bramy znajdowały się niewielkie drzwi. Hoffer powoli je otworzył.

- Stać! - krzyknął jakiś głos. Rozbłysło światło. Przy niewielkim samolocie obserwacyjnym fieseler storch stał młody kapitan Luftwaffe w mundurze i lotniczej kurtce, z gotowym do strzału schmeisserem. Baron podszedł do niego, mijając Hoffera.

- Jestem Sturmbahnfihrer von Berger - przedstawił się. - A pan kim jest?

- Nazywam się Ritter, Hans Ritter. Jesteście, dzięki Bogu! Czwarły raz wywożę kogoś z Berlina, a uwierzcie mi, że to nie zabawa. Mogę spytać, dokąd lecimy?

- Na zachód, do Schwarze Platz na Wrzosowiskach Holstein. Nad Neustadt wznosi się zamek Adler. Damy radę?

- Tak. To ponad siedemset pięćdziesiąt kilometrów, będziemy musieli zdobyć paliwo, ale powiem panu, panie Sturmbahnfuhrerze, że lepiej nam będzie tam niż tu, więc wynośmy się z

miasta póki czas. Niech pana ludzie otworzą bramę.

- Niezły pomysł.

Hoffer i Schneider rozsunęli skrzydła bramy. Ritter wsiadł do samolotu, uruchomił silnik. Wszyscy wskoczyli do środka, samolot ruszył.

Kłębący się na ulicy ludzie, zrozpaczeni, marzący tylko o ucieczce z oblężonego miasta, w zdumieniu odwracali głowy, a gdy maszyna ruszyła szybciej, rozbiegli się na wszystkie strony. Podskakując na odłamkach muru i szkła, storch potoczył się w stronę Kolumny Zwycięstwa. Deszcz lał nieprzerwanym strumieniem.

Ritter otworzył przepustnicę. Samolot przyspieszył, ludzie uciekali na boki. W chwili gdy wznosił się w powietrze, otworzyła do niego ogień rosyjska artyleria. Maszyna zakołysała się w powietrznych wirach, spowodowanych wybuchającymi wokół pociskami, ostro skręciła w prawo, o włos mijając kolumnę, uniosła nos i znikła we mgle.

Ritter wyrównał na stu osiemdziesięciu metrach.

- Będziemy lecieli nisko, póki nie znajdziemy się w jakimś bezpieczniejszym miejscu.

Von Berger wyjął z papierośnicy dwa papierosy. Zapalił oba, jednego podał Hofferowi.

- Muszę przyznać ci rację, Karl - powiedział - to Stalingrad. Nic, tylko Stalingrad.

Przekrzykując ryk silnika, Ritter wrzasnął:

- Jak mówiłem, do Wrzosowisk Holstein mamy ponad siedemset pięćdziesiąt kilometrów, a zaczyna brakować paliwa. Wylądujemy w bazie Luftwaffe w Rechlinie.

- Mnie to nie przeszkadza - odpowiedział von Berger. - Skoro uważa pan, że to mądre posunięcie...

- Tak sędzę. Nie wiemy przecież, co dostaniemy po drodze. Ale niech pan pamięta, że wszystko zależy od pogody nad Rechlinem. Pożyjemy, zobaczymy.

Nieco później rozpoczęli schodzenie. Ritter połączył się z lotniskiem.

- Rechlin, Rechlin, tu kapitan Ritter, lot z Berlina. Muszę lądować po paliwo.

W radiu zatrzeszczał głos kontrolera.

- Kapitanie, radzę spróbować gdzie indziej. Mamy mgłę, kiepsko to wygląda. Pułap chmur czterysta metrów.

- Powtarzam, zaczyna brakować mi paliwa.

- Widoczność się pogarsza, niech mi pan wierzy.

Pilot spojrzął na von Bergera. Baron wyjął kolejnego papierosa, przyjął ogień od Karla. Milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Przeżyliśmy Stalingrad, przeżyliśmy Berlin, gorzej być nie może. Lądujemy.

- Rozkaz, panie Sturmbahnführerze.

W otaczającej go mgle storch rozpoczął strome schodzenie. Deszcz bił w skrzydła i kabinę, świat wokół był szary, nieprzejrzysty. Von Berger się nie bał. Nie potrafił, zbyt dużo się wokół niego zdarzyło, wierzył, że opatrność nad nim czuwa. Na czterystu metrach nie widzieli nic. Krzyknął do Rittera:

- Niech pan ląduje! Co mamy do stracenia?!

Pilot skinął głową. Jego uśmiech był dziwny, martwy. Pochylił nos maszyny. Nagle się przejaśniło. Bazę dostrzegli na samobójczym pułapie trzystu metrów: budynki, hangary, dwa pasy startowe. Najwyraźniej została niedawno zbombardowana, bo obok jednego z pasów dopalały się dwie maszyny: stary dornier i bombowiec do lotów nocnych, ju 855. Strażacy próbowali ugasić pożar.

Ritter wylądował nienagannie, minął zdumionych jego widokiem strażaków, podkołował do hangaru i wyłączył silnik.

- Ledwo, ledwo, ale jakoś się udało - sapnął.
- Jesteście geniuszem, kapitanie.
- Nic z tych rzeczy. Po prostu bywa tak, że człowiek wypełnia swoje obowiązki lepiej, niż potrafi. Na ogół wtedy, gdy musi.

Kiedy wysiedli, podjechał do nich samochód. Prowadzący go pułkownik Luftwaffe wyskoczył zza kierownicy.

- Dobry Boże, to ty, Ritter? Lecisz wprost z Berlina? Oczom nie wierzę. Jak tam sprawy?
- Ma pan szczęście, że pan nie wie, pułkowniku. To Sturmbahnführer baron Max von Berger i jego chłopcy. Panie baronie, przedstawiam panu mojego starego przyjaciela, pułkownika Strassera.

- Panie baronie, czy mogę wiedzieć, co pana do nas sprowadza? - spytał pułkownik.

Von Berger otworzył teczkę, wyjął z niej otrzymany od Hitlera dokument. Dowódca bazy przeczytał go i skinął głową.

- Papiery ma pan więcej niż w porządku. Jak możemy panu pomóc'?

- Potrzebujemy paliwa. Lecimy na Wrzosowiska Holstein.

- Z tym nie będzie najmniejszych problemów. Paliwa nam na szczęście nie brakuje. Oferujemy panu także gościnę. Nie wygląda na to, by mógł pan wkrótce wystartować. Proszę spojrzeć. - Pułkownik gestem wskazał mgłę kłębiącą się tuż nad pasem startowym. - Dopilnuję, by maszynę zatankowano i przejrano, godziny odlotu nie mogę wam jednak podać. Pan, panie baronie, może skorzystać z mesy oficerskiej, a w tych niezwykłych okolicznościach zapraszam do niej także pańskich ludzi. Odwożę was.

- Ja zostanę przy maszynie - powiedział Ritter. - Zawsze sam sprawdzam, czy wszystko jest w porządku.

Strasser wskoczył za kierownicę. Wraz z gośćmi ruszył w kierunku jednego z budynków.

Mesa była przedziwnie pusta i martwa. Jeden ordynans stał za barem, drugi pełnił funkcję kelnera. Hoffer i Schneider dostali gulasz z chlebem i piwo. Usiedli przy oknie, jedli szybko, z apetytem.

- Ciągle nie potrafię uwierzyć, że wydostałem się z Berlina - westchnął chłopak. - To zupełnie jak jakiś zwariowany sen.

- Skąd pochodzisz? - spytał Hoffer.

- Z Hamburga.

- Fajne miasto, ale na razie lepiej trzymać się od niego z daleka. Bardziej opłaci ci się zostać z nami.

Von Berger pozostał przy barze, w rogu. Kelner podał mu kanapki z szynką na świeżym chlebie i sałatkę. Strasser wyszedł ze swojego pokoju, dołączył do barona.

- Szampana - rzucił do kelnera. Spojrzał na gościa z uśmiechem. - Mamy szczęście, na razie nie brak nam ani dobrego jedzenia, ani dobrych trunków. Obawiam się jednak, że ta komfortowa sytuacja szybko się skończy.

- No, przynajmniej czekacie na jankesów i Angoli, nie na Rosjan.

- Szczęście w nieszczęściu.

Wypili szampana, zabrali się do jedzenia. Wkrótce dołączył do nich Ritter.

- Dbają tu o nas i o samolot, złego słowa nie mogę powiedzieć, ale nie wydaje mi się, żebyśmy wystartowali w ciągu kilku następnych godzin. Co będzie z panem, Strasser?

Pułkownik nalał mu kieliszek szampana.

- Panowie, nie wiem, jaką misję zlecił wam Fihrer i, szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Czekam na Amerykanów i mam tylko nadzieję, że przybędą szybko. - Uniósł

kieliszek. - Wasze zdrowie. To była długa i ciężka wojna.

W lotniskowych budynkach było wiele pokoi, każdy więc znalazł dla siebie wolne łóżko. Von Berger drzemał do wpół do trzeciej rano, kiedy to obudził go Strasser.

- Czas ruszać w drogę - powiedział.

Baron usiadł na łóżku, całkowicie rozbudzony.

- Co z pogodą?

- Mgła nie jest już taka straszna, lecz nadal leje. Przyszła wiadomość, że Rosjanie otoczyli Berlin. Może to stworzyć pewne problemy także dla nas, tutaj. Miejmy nadzieję, że jankesi się pospieszą.

- No dobrze. Startujemy.

Storch czekał na nich na pasie startowym numer jeden. Ritter stał jeszcze przy maszynie, Hoffer i Schneider już siedzieli w środku. Strasser wysiadł z samochodu, wręczył von Bergerowi wypchaną torbę.

- Kanapki, kiełbasa, kilka butelek. Życzę szczęścia, przyjaciele. - Mocno potrzęsął dłonią barona, nagle objął go, przytulił do piersi. - Do diabła, w co myśmy właściwie grali? Jakim cudem wdepnęliśmy w takie gówno?

Von Berger poczuł wzruszenie.

- Niech pan nie zwątpi, pułkowniku - powiedział. - Przyjdą zmiany. Choć nie dziś i nie jutro, ale przecież nadejdzie w końcu nasz czas. I wtedy pana odszukam. Może mi pan wierzyć.

Strasser przyjrzał mu się zdumiony.

- Mówi pan poważnie, baronie, prawda?

- Oczywiście. Znajdę pana i odwdzięczę się za pomoc, której udzielił mi pan dzisiejszej nocy.

Wsiadł do maszyny jako ostatni. Stojący na deszczu pułkownik Strasser wyprężył się i zasalutował. Baron odpowiedział mu salutem. Silnik storcha zaskoczył, samolot potoczył się po pasie, wystartował i skrył się w mroku.

Ritter dał mu słuchawki i mikrofon, by łatwiej im się było porozumiewać. Kiedy wyrównali lot, powiedział:

- Będę przesadnie ostrożny. Przy małej prędkości i biorąc poprawkę na pogodę, na miejsce dolecimy za jakieś trzy i pół godziny, może nawet za cztery. Postaram się utrzymać pułap dwustu, trzystu metrów, ale jeśli pogoda się pogorszy, będę zmuszony lecieć wyżej.

- Bardzo dobrze.

Lot był ciężki z powodu deszczu i to znikającej, to pojawiającej się w postaci obłoków, gęstej, wirującej mgły, po dwóch godzinach stał się jednak po prostu monotony. Von Berger oddał torbę z żywnością Hofferowi, który rozdał wszystkim kanapki i kiełbasę. Wino okazało się kiepskie, tanie, w butelce nie korkowanej, lecz kapslowanej. Pili je z papierowych kubków. Ritter także się napił i wyciągnął kubek po dolewkę.

- Dajcie spokój, przecież mi nie zaszkodzi. A przy tej pogodzie przyda się każda pomoc.

Von Berger zjadł, wypił, zapalił papierosa. Deszcz bębnił w kadłub maszyny. Lot w chmurach i mgłę, przy tej fatalnej pogodzie, był przedziwnym doświadczeniem. Co ja tu robię, myślał baron. Powinienem być w Berlinie. Pokręcił głową. Powinienem być w Berlinie.

A potem pomyślał: Ale nie jestem w Berlinie. Wracam do domu. Zobaczę Elbę i małego Ottona, Karl ucałuje Lotte i córki. Oto cud, który sprawił Fihrer. To musi mieć jakieś znaczenie.

- Trochę nami rzuca i niewiele widać - stwierdził Ritter. - W taką pogodę nikt nie lata. Wejdę na czterysta metrów.

- W porządku.

Wydostali się z mgły. Na czterystu metrach powietrze było czyste, widoczność po horyzont. Zachodzący księżyc dotykał krawędzi gęstej warstwy chmur.

Nagle usłyszeli ryk silników. Jakiś samolot wyprzedził ich, skręcił ostro w prawo, zatoczył koło, zajął pozycję przy ich prawym skrzydle. Widzieli siedzącego w kokpicie pilota i czerwoną gwiazdę na kadłubie.

- Co my tu mamy? - mruknął Ritter. - Nowy myśliwiec jak, ten wyposażony w działka. Może nam zaszkodzić.

- Co robimy?

- No... na niego jestem zdecydowanie za wolny, ale nawet niedostatki szybkości można obrócić na swoją korzyść. Szybcy piloci w szybkich maszynach szybko strzelają... i często pudłują. Schodzimy niżej i czekamy. Może strzeli jakieś głupstwo?

Skręcił i znurkował do trzystu metrów, wykonał kolejny skręt, tym razem w prawo, i ześlizg na dwieście. Jak zaczął strzelać, ale za szybko, nie zdawał sobie sprawy z różnicy prędkości. Przestrzelił, skręcił, ustawił się do kolejnego ataku. Tym razem udało mu się wybić parę dziur w prawym skrzydle i strzaskać fragment owiewki od strony pilota. Ritter krzyknął, odchylił głowę. Po policzku ciekła mu krew.

- W porządku, to tylko odłamek szkła - zawołał. - Będę miał prawdziwie bojową bliznę, w sam raz dla dziewczyn. Ten facet zaczyna mnie nudzić. Schodzę jeszcze niżej. Pokażę sukinsynowi, jak się lata.

Znów znurkował. Wyrównał na zaledwie czterdziestu, czterdziestu pięciu metrach, a kiedy jak znów zawisł mu na ogonie, wysunął kłapy. Storch przyhamował gwałtownie, jakby stanął w miejscu, jak skręcił ostro, by uniknąć zderzenia... i uderzył w ziemię. Zahuściło nimi w chmurze ognia i dymu.

- Mówiłem, że jesteś geniuszem - westchnął von Berger.

- Tylko raz na jakiś czas.

- Hoffer - powiedział baron tonem rozkazu - otwórz plecak, znajdź opatrunek osobisty, opatrz mu twarz. I niech weźmie morfinę.

- Lepiej nie - zaprotestował pilot. - Ale coś wam powiem. Przydałoby się otworzyć tę drugą butelczynę, cokolwiek w niej jest.

- Myślałem, że wino, ale to wódka - ucieszył się Hoffer.

- No i dobrze. Zawsze najlepiej latało mi się po pijaku.

O piątej, może piątej trzydzieści rano, znaleźli się wreszcie nad Wrzosowiskami Holstein. Lecieli na pułapie niespełna dwustu metrów, pod sobą mieli czarny, tajemniczy las, Schwarze Platz, kilka wiosek, u stóp wzgórza miasteczko Neustadt, a na wzgórzu zamek Adler.

Ritter skręcił. Leciał nisko, szukając odpowiedniego miejsca do lądowania. Baron Max von Berger poczuł, jak do oczu napływają mu łzy.

- Tu - powiedział zdławionym głosem. - Najlepsza będzie ta łąka... przy zamku.

- Widzę.

Ritter zawrócił, zwolnił i wylądował pięknie, jak na pokazie. Zapadła cisza, którą przerwał Schneider.

- A ja nadal nie wierzę - szepnął. - Byliśmy w Berlinie... a teraz to...

Wysiedli. Od strony wioski zbliżali się do nich z wahaniem jacyś ludzie. Von Berger przyglądał się kilkunastu mężczyznom i kilku kobietom, stojąc nieruchomo, z teczką Hitlera w ręku.

Na czele mieszkańców szedł starszy, siwy mężczyzna. Nagle stanął jak wryty.

- Mój Boże... to pan, baronie?

- Niespodzianka, Hartmann - odparł von Berger. - Jak się masz.
- Baronie, co ja mogę powiedzieć... - Starszy mężczyzna zdjął czapkę, ucałował wyciągniętą do niego dłoń. - Co za straszne czasy. Witaj, Karl - dodał, zwracając się do Hoffera.
- Cudem wydostaliśmy się z oblężonego Berlina - powiedział von Berger. - Później opowiem wam o naszych przygodach. Teraz chcę zobaczyć panią baronową, a Karl też stęsknił się pewnie za Lotte i dziewczynkami.

W tym momencie stary mężczyzna się rozplakał.

- Niech mi Bóg pomoże, baronie, ale mam złe wieści.

Pańscy najbliżsi spoczywają w kaplicy w zamku.

Von Berger znieruchomiał. Twarz miał kamienną.

- O czym ty mówisz, człowieku?

- O pańskiej żonie i synu, baronie. Lotte, jej córki i piętnastu mieszkańców wioski złożono w kościele. Czekają na pogrzeb. Tak mi przykro - zwrócił się stary do Karla, stojącego nieruchomo z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Kto to zrobił? - spytał von Berger.

- SS.

- Nie wierzę!

- Einsatzgruppen.

Einsatzgruppen nie miały nic wspólnego z Waffen SS. Były to bandy morderców, których rekrutowano głównie spośród zwolnionych z więzienia jeńców, w większości Ukraińców. Krążyło wiele opowieści o tym, jak to ostatnio zerwały się ze smyczy, nie wykonywały rozkazów, grabiły i mordowały na własną rękę, we własnym kraju. Baronowi nie chciało się w to wierzyć. Aż do tej pory. Teraz wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. Ten koszmar był tak straszny, że aż nierealny.

- Idź do swojej rodziny - powiedział do Hoffera. - Ja pójdę do swojej. - Spojrzał na Rittera. - A pan niech startuje. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszej wdzięczności.

- Nie - odparł pilot. - Przyleciałem z panem i z panem zostanę. Chcę panu towarzyszyć, baronie. Jeśli mogę.

- Jesteś moim prawdziwym przyjacielem.

Wspinali się stromą ścieżką do zamku, Ritter i von Berger pierwsi, za nimi Hartmann. Wkrótce znaleźli się przy bramie prowadzącej do starej kaplicy. Baron pchnął jej masywne, drewniane skrzydło; otworzyło się z przeraźliwym zgrzytem. Natychmiast poczuł kościelny zapach. Spojrzał na tablice upamiętniające długą listę jego przodków i na otwarte drzwi rodzinnego grobowca, przy którym stała trumna z uchylonym wiekiem. Jedna trumna, dla ukochanej żony, tulącej do piersi małego synka. Na jej twarzy dostrzegł zadrapania i sińce.

- Co tu się stało? - spytał.

- Baronie, cóż mogę powiedzieć... - powtórzył Hartmann.

- Możesz mi powiedzieć, czy została zgwałcona.

- Wszystkie kobiety, także te w wiosce, zostały zgwałcone.

Potem Ukraińcy upili się, zaczęli strzelać, padły ofiary...

- Ilu było tych sukinsynów?

- Dwudziestu, może dwudziestu jeden. Teraz są w Plosen.

Dwadzieścia pięć kilometrów drogą przez las.

- Więc wiemy, gdzie ich szukać - powiedział baron do Rittera. - Nadal możesz odejść. Nie wiesz nawet, jak ważne jest dla mnie to, co zrobiłeś. Podobnie jak Strasserowi, tobie także przyrzekam, że kiedy świat się zmieni, odnajdę cię. Potrafię okazać wdzięczność.

Twarz pilota, ozdobiona zakrwawionym opatrunkiem, choć zmęczona, była też stanowcza.

- Nie mam zamiaru tak pana zostawić, baronie.

- Więc zejdź z Hartmannem do wioski. Sprawdź, w jakim stanie jest jego ciężarówka, i dopilnuj, by dało się ją uruchomić. Ja... ja mam tu jeszcze do załatwienia sprawy osobiste.

Ritter i Hartmann odeszli. Von Berger stał przez chwilę u wejścia do grobowca, a potem podszedł do stojących w głębi dwóch figur przedstawiających świętych. Z tyłu jednej z nich znajdowała się skrytka. Ukrył w niej teczkę. Zamknął ją, podszedł do trumny, pocałował żonę i syna, i wyszedł. Przed nim jeszcze jedna bitwa.

W wiosce czekali na niego mieszkańcy. Przeciskał się wśród nich, podając dłoń do ucałowania. W geście tym nie było arogancji, lecz tylko poddanie tradycji, która od stuleci rządziła Wrzosowiskami Holstein: Ci ludzie byli jego ludźmi, miał obowiązek się nimi opiekować, płaczące kobiety spodziewały się po nim sprawiedliwości... i zemsty.

Podszedł do niego Hoffer. Twarz miał ściągniętą bólem.

- Rozkazy, baronie?

- Dostaniemy te świny. Jesteś gotów, Karl?

Nim sierżant zdołał odpowiedzieć, odezwał się Schneider.

- Idę z panem - oznajmił po prostu.

- Doskonale.

- Ja też - zgłosił się Ritter. - Lepiej strzelam, niż latam.

Los sprawił, że w tym momencie pojawili się Amerykanie.

Nie, nie była to żadna armia, żaden liczący się oddział, po prostu samotny dżip, prowadzony przez sierżanta, z jednym pasażerem, młodym kapitanem w mundurze polowym i stalowym hełmie, z odznaką wojsk powietrznodesantowych na ramieniu. Dżip zatrzymał się i przez chwilę panowała dziwna cisza. Przerwał ją kapitan.

- Czy ktoś tu mówi po angielsku? - spytał.

- Oczywiście - odparł von Berger.

- No to świetnie. Poddacie się mnie. Moja jednostka została dwadzieścia parę kilometrów z tyłu. Jestem kapitan James Kelly, na dalekim zwiadzie. To sierżant Hanson.

- A co pan właściwie tutaj robi?

- Hej, przyjacielu! - sierżant uniósł lufę pistoletu maszynowego. - Uważaj, jak się zwracasz i do kogo.

Ritter, Hoffer i młody Schneider jak na komendę wymierzili w niego ze schmeisserów. Kelly siedział nieporuszony.

- Spokój! - przywołał Hansona do porządku i nadal zwracał się tylko do von Bergera. - Otrzymaliśmy informację, że ten zamek w sam raz nada się na kwaterę sztabu. A ty kto?

- Jestem Sturmbahnfuhrer baron Max von Berger, właściciel zamku Adler i Wrzosowisk Holstein.

Amerykanin pokręcił głową.

- Zaraz, chwileczkę. Mamy raport o von Bergerze. Siedzi w Berlinie, w bunkrze Hitlera. Jest jego adiutantem, czy coś takiego.

- Jeszcze wczoraj byłem adiutantem Hitlera i rzeczywiście znajdowałem się w Berlinie. Tam, za panem, na łące, stoi storch, którym przyleciałem do domu wraz z pilotem, kapitanem Hansem Ritterem i dwoma swoimi żołnierzami.

- Niech będzie. O tym możemy pogadać później. Oddajcie broń.

- Z przyjemnością zrobimy to i przysporzymy panu sławy, kapitanie, ale jeśli pan

pozwole, nie teraz. Mamy do załatwienia bardzo ważną i bardzo pilną sprawę.

- Można wiedzieć jaką?

Baron wszystko mu opowiedział.

Kapitan Kelly pokręcił głową.

- To straszne, naprawdę straszne, ale czy naprawdę we czterech chcecie walczyć z dwudziestoma paroma sukinsynami? Możecie zginąć, a do tego nie wolno mi dopuścić.

- Rozumiem. Jestem dla was zbyt cenny. - Von Berger uśmiechnął się ironicznie. - Dla mnie to była bardzo długa wojna, kapitanie. Od El Alamejn do Stalingradu... Widziałem niejedno piekło na ziemi i cieszę się, że to już koniec. Nie chcę pana zabijać, ale tamtych zabić muszę. Inaczej nie mógłbym żyć, nie zniósłbym sam siebie. Więc... za chwilę wyjedziemy stąd starą ciężarówką drwali, przejedziemy te dwadzieścia parę kilometrów do Plosen, znajdziemy tych Ukraińców i skończymy z nimi. Ty prowadzisz - rozkazał Hofferowi.

Kelly chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

- Och, niech to diabli, baronie! Na pana miejscu zrobiłbym pewnie to samo... ale kiedy załatwi pan już swoje prywatne porachunki...

- Jak widzę, jest pan wielkim optymistą. To dobrze. Jedziemy.

Kręta droga prowadziła aż do Plosen przez ciemny, ponury las. W pobliżu wioski natrafili na sznur uciekinierów: starych mężczyzn, kobiet i dzieci, maszerujących poboczami. Wśród nich Hoffer rozpoznał wójta.

- Hej, Frankel, co się dzieje? - krzyknął.

- Mój Boże, to ty, Karl? Ci Ukraińcy... dowiedzieliśmy się, co zrobili w Neustadt. Młody Meyer jakimś cudem dobiegł do motocykla, zdążył nas ostrzec. Uciekliśmy, schowaliśmy się w lesie. Słyszałem, że robili straszne rzeczy.

Von Berger zbliżył się do niego, wyciągnął rękę.

- Frankel...

Oczy starego rozszerzyły się ze zdumienia.

- Baron? To nie do wiary. - Ucałował podaną mu dłoń. - Meyer powiedział mi o baronowej i waszym chłopcu. O Lotte i dziewczynkach też - dodał, zwracając się do Hoffera.

Kelly i Hanson wyskoczyli z dżipa. Dołączył do nich Schneider.

- Co się dzieje? - spytał Amerykanin.

- Wójt Plosen zaraz nam wszystko wyjaśni - powiedział po angielsku von Berger, po czym zwrócił się do starego po niemiecku: - Gdzie oni są, Frankel?

- Obserwowałem ich zza drzew. Przyjechali dwiema ciężarówkami i kubelwagenem. Rozbijali się po wiosce, znaleźli dwie młode dziewczyny. Potem pojechali do gospody Pod Białym Jeleniem. Słyszałem wrzaski i brzęk rozbijanego szkła. Wszyscy są pijani.

- Posterunki wartownicze? - spytał Hoffer.

- Żadnych nie dostrzegłem.

Von Berger poklepał go po ramieniu.

- Zajmij się swoimi ludźmi, a ja zajmę się tymi zwierzętami.

- Ale... baronie... ich jest dwudziestu czterech.

- Naprawdę? Byłem pewny, że dwudziestu jeden. - Spojrzał na Rittera, Schneidera i Hoffera. - Wypada po sześciu na każdego. Poradzimy sobie?

- Przecież zawsze sobie radziliśmy - powiedział po prostu Hoffer, otworzył plecak, wyjął z niego magazynki do schmeissera sklejone taśmą po dwa, wręczył je Ritterowi i Schneiderowi. Baron rozpiął czarną skórzaną kurtkę, wyjął z kabury jugera, sprawdził magazynki i włożył go do prawej kieszeni.

- Gdzie drugi, Karl?

W plecaku znajdował się także mauser, który powędrował do lewej kieszeni kurtki.

- Ich dwudziestu czterech, was czterech. Sześciu na jednego - podsumował zdziwiony Kelly.

Von Berger uśmiechnął się ponuro.

- Jesteśmy z Waffen SS. Dla nas to bułka z masłem. - Poklepał Schneidera po ramieniu. - To tylko chłopiec, ale wie, jak załatwia się takie rzeczy. Sześciu na jednego? Drobiazg. Zdejmij bluzę, Karl.

Hoffer zdjął bluzę mundurową. Na koszuli miał baretki orderowe, odznakę spadochroniarza, a pod kołnierzem Krzyż Rycerski.

- Zapewne zauważył pan, że kapitan Ritter także nosi Krzyż Rycerski. To była długa wojna, która źle się dla nas skończyła, ale jedno powinien pan zrozumieć: zamierzamy zabić tych Ukraińców. Wszystkich dwudziestu czterech. Zabić - powtórzył, zwracając się do swoich ludzi. - Mam rację?

Nawet Ritter stuknął obcasami.

- Jawohl, Sturmbahnführer.

Po tej manifestacji nikt już nie zwracał uwagi na Kelly'ego.

- Jedziemy! - rozkazał baron.

Stara ciężarówka ruszyła, dżip za nią.

- Ten baron zwariował. Wszyscy zwariowali - orzekł 'Hanson.

- Oczywiście. - Kelly skinął głową, wyjął z kieszeni colta i zaczął go ładować.

Przystanęli między drzewami, by lepiej przyjrzeć się gospodzie Pod Białym Jeleniem, dość dużej i bardzo starej. Za nią widać było wiejski kościół i cmentarz. Kelly obejrzał przez lornetkę obie ciężarówki oraz samochód terenowy. Wartowników nie zauważył, za to nawet z tej odległości słychać było pijackie śmiechy i krzyki. Amerykanin podał lornetkę von Bergerowi, który równie dokładnie zlustrował gospodę.

- Wejść przez frontowe drzwi - powiedział, oddając lornetkę. - To ich wytrąci z równowagi. W końcu podlegają hierarchii SS. Uważam, że wy powinniście zaatakować od strony cmentarza. - Zwrócił się do Rittera: - Karl doskonale orientuje się w terenie. Gospoda jest wielka. Ma dwa tylne wejścia przez kuchnię i boczne okna. - Popatrzył na Kelly'ego. - Proszę pana o jedną przysługę. Niech mi pan pożyczy dżipa. Podjadę nim do frontowego wejścia. Wy dwaj możecie zostać tutaj. Moi przyjaciele podejną na miejsca na piechotę.

- Nie - powiedział stanowczo kapitan, kręcąc głową. - Nie pożyczę dżipa. Ja będę go prowadził. Hanson, daj mi thompsona. Do zobaczenia... Być może.

- Do diabła z panem, kapitanie... mówię to oczywiście z całym należnym szacunkiem. Walczę od inwazji w Normandii. Zasłużyłem sobie chyba na spacer po cmentarzu w towarzystwie esesmanów.

Kelly i von Berger czekali, dając czas reszcie "oddziału" na prześlizgnięcie się z lasu za kościół i na cmentarz. Baron przez cały czas obserwował przez lornetkę postępy swoich ludzi.

- Teraz - rzucił.

Dżip ruszył, zjechał ze wzgórza i stanął między ciężarówkami Ukraińców.

Baron wszedł po prowadzących do wejścia schodkach, Kelly za nim. W tej też kolejności pojawili się w sali gospody Pod Białym Jeleniem.

Ukraińcy zajęli całą dużą salę. Niektórzy siedzieli przy stolikach, inni stali w dużej grupce przy barze, dwóch za barem serwowało drinki. Ich przywódca, Hauptsturmführer, był mężczyzną wielkim, prymitywnym i brutalnym. Mundur miał równie brudny jak niedogolona

twarz. Na kolanach posadził sobie dwie dziewczyny w podartych koszulach, pobite, z oczami spuchniętymi od płaczu. Esesmani powoli uświadamiali sobie, że ktoś wszedł, i milkli jeden po drugim.

Zapadła martwa cisza. Von Berger stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami w kieszeniach czarnej kurtki, spod której widać było jego wspaniały mundur i odznaczenia.

- Nazwisko! - rzucił głosem nawykłym do wydawania rozkazów.

- Gorsky - odpowiedział automatycznie Hauptsturmfuhrer.

- Ukraińiec?

Ton, jakim gość wypowiedział to pytanie, nie spodobał się esesmanom.

- A kim ty jesteś, u diabła?

- Oficerem wyższym stopniem. Sturmbahnfuhrer baron Max von Berger. Miałem żonę, miałem małego syna. To ich, wraz z piętnastoma innymi osobami, zamordowaliście w Neustadt i na zamku Adler.

Esesmani już sięgali po broń. Kelly uniósł thompsona, lecz nagle Gorsky przyciągnął do siebie dziewczyny. Zasłonił się nimi tak, że widać było tylko część jego głowy.

- I co masz zamiar zrobić? - zakpił. - Bierzcie ich, chłopcy!

Von Berger wyszarpnął pistolet z prawej kieszeni kurtki. Trafił Gorsky'ego dwukrotnie w lewą część głowy, cudem nie postrzeliwszy jednej z dziewczyn. Esesman przewrócił się z krzesłem, zszokowane dziewczyny upadły na ziemię.

Rozpętało się piekło. Kelly ostrzeliwał bar. Szyby jednego z bocznych okien rozsypały się pod ogniem Rittera i Hansona. Niektórzy Ukraińcy próbowali uciekać. Pobiegli w stronę kuchennego wyjścia, ale drogę zastąpili im Hoffer i Schneider.

Wymiana ognia nie trwała długo, a kiedy strzały ucichły, wszędzie leżeli martwi i konający. Hanson zarobił kulę w bark, Schneider w lewe ramię. Von Berger wyjął z lewej kieszeni mausera, którego do tej pory nie użył, i rzucił go Karlowi.

- Załatw ich - rzucił krótko.

- Na Boga...! - zaprotestował Kelly.

- Ma prawo - stwierdził Hoffer.

Pięciu Ukraińców jeszcze żyło; każdy z nich dostał kulę w głowę. Oszołomione dziewczyny uciekły z krzykiem. W jednym z plecaków Ritter znalazł opatrunek osobisty. Opatrywał Hansona, Schneider czekał w kolejce.

Kelly przyjrzał się trupom.

- No i po wszystkim - powiedział spokojnie.

- Nie. Teraz wrócimy do domu, by pogrzebać naszych zmarłych. Potem będziemy do pańskiej dyspozycji. - Baron położył dłoń na ramieniu Amerykanina. - Jestem pana dłużnikiem. Zrobię wszystko, by spłacić ten dług.

- Spłacić? - zdziwił się Kelly.

- To dług honorowy.

Barona Maxa von Bergera przesłuchiwali najwyżsi rangą oficerowie wywiadu armii brytyjskiej i amerykańskiej, czemu nie należało się dziwić. Był w końcu jednym z adiutantów Hitlera, i to podczas kilku najważniejszych, ostatnich miesięcy, które Fiihrer spędził w swoim bunkrze w oblężonym Berlinie. Jego zeznania okazały się fascynujące; zarejestrowano je wszystkie, co do słowa. Niemniej wywiad aliantów miał z nim spore problemy. Z jednej strony, von Berger był esesmanem wysokiego stopnia, z drugiej, okazał się dzielnym, szlachetnym żołnierzem, niemającym najwyraźniej nic wspólnego z ohydnyimi zbrodniami wojennymi nazistowskich Niemiec. Nigdy też nie brał udziału w niczym, co choćby ocierało się o pogromy

Żydów. Bardzo szybko stwierdzono, że wręcz przeciwnie, baron ukrywał niebezpieczny sekret: jedna z jego prababek po kądzieli była Żydówką. Nie został także nigdy członkiem partii nazistowskiej, choć akurat pod tym względem nie różnił się od większości Niemców.

Pozostała jedna wątpliwość: jego ucieczka z Berlina. Baron oczywiście ani słowem nie wspomniał o swojej ostatniej rozmowie z Hitlerem. Wraz z Ritterem, nim ich rozdzielono, wymyślili nawet przekonującą bajeczkę. Według niej storch Rittera był samolotem zapasowym, którego można będzie użyć, gdyby pojawiły się jakieś problemy z arado, przydzielonym ostatniemu dowódcy Luftwaffe, von Greimowi. Problemów nie było, maszyna stała nieużywana w garażu domu Goebbelsa, o czym, jako adiutant naczelnego wodza, miał prawo wiedzieć. Wykorzystał ją więc, by uciec w przededniu klęski wraz z dwoma zaufanymi ludźmi.

Bajeczka była wystarczająco prosta i wiarygodna, by nie budzić podejrzeń. Ritter poparł ją, powołując się na ustne rozkazy, i na tych wyjaśnieniach przesłuchania wreszcie się skończyły. Max von Berger został jeńcem wojennym, a tych wykorzystywano na różne sposoby. Wielu wysłano do Anglii, do pracy na farmach, i taki też los spotkał barona. Znalazł się w obozie w Hampshire. Restrykcje były tu minimalne, jeńcy pracowali, von Bergera codziennie wieziono na farmę, wraz z wieloma innymi Niemcami. Nie było w tym niczego niezwykłego. Taką pracę wykonywali oficerowie aż do stopnia generała.

Inni jeńcy zaakceptowali jego autorytet i poddali się władzy, mówili do niego z szacunkiem Herr Baron i właściciel farmy oraz wielkiego domu, starzejący się lord, szybko zorientował się, że ma do czynienia z kimś niezwykłym, z arystokratą z ducha, tak jak on.

Po kilku miesiącach to von Berger zarządzał farmą. Wojna się skończyła, mieszkańcy Hawkey okazali się ludźmi z gruntu przyzwoitymi, obecność dawnych wrogów zaakceptowano nawet w miejscowym pubie. W końcu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku Niemcy zaczęli wracać do domu. Wrócił także baron.

Kiedy wysiadł z autobusu w Neustadt, padał śnieg. Odprowadził wzrokiem autobus i po kilku schodkach wszedł do gospody Pod Białym Jeleniem. Miejscowi popijali piwo, niektórzy jedli, stary Hartmann stał przy barze, a Karl Hoffer i młody Schneider siedzieli przy stoliku, zając gulasz. Ktoś się obrócił, dostrzegł go i rozpoznał.

- Na Boga, toż to pan baron!

Głowy obracały się powoli, zapanowała martwa cisza. Hoffer oprzytomniał pierwszy, wstał, podbiegł i ośmielił się objąć byłego dowódcę, przytulić go do serca.

- Baronie, nie wiedzieliśmy, co się z panem dzieje. Ja wróciłem pół roku temu. Przyproceedziłem ze sobą młodego Schneidera. Cała jego rodzina zginęła podczas bombardowania Hamburga.

Von Berger objął młodzika, któremu lzy ciekły po policzkach.

- Spokojnie, chłopcze, wydostaliśmy się z Berlina, prawda? Więc dlaczego płaczesz? - I zawołał do barmana: - Ja stawiam, przyjaciele. Niech się leje piwo!

Odprowadził Hoffera do cichego stolika w rogu. Rozmawiali, a Schneider pilnie im się przysłuchiwał.

- Jakoś sobie radzimy. Farma pracuje, choć głównie na nasze potrzeby. Dbamy o nią wszyscy. Ludzie mają co jeść.

- Co z tobą, Karl?

- Jestem czymś w rodzaju zarządcy, rozsądzam spory... przynajmniej mam coś do roboty.

- Czy...

- Czy kogoś odnalazłem? Nie, baronie.

- A zamek Adler?

- Przez dwa lata stacjonowali tam Amerykanie, więc nie popadł w ruinę. Ale jednego pan nie wie. Sytuacja z Wrzosowiskami Holstein jest, jak by to powiedzieć, szczególna.

- Jak to? Nie rozumiem.

- Kiedy wytyczono granicę między Wschodnimi i Zachodnimi Niemcami, powinniśmy znaleźć się w sferze wschodniej, komunistycznej.

- A ja myślałem, że jesteśmy w części zachodniej.

- No cóż, to nie całkiem tak. W zachodniej też nie jesteśmy. Całość pańskiego majątku nie leży w żadnej ze stref. Ktoś popełnił pomyłkę przy kreśleniu map.

Max von Berger spojrział na niego zdumiony.

- Czy chcesz powiedzieć, że jesteśmy czymś w rodzaju niezależnego państwa? - Roześmiał się głośno. - Jak Monako?

Hoffer, choć prosty chłop, był człowiekiem inteligentnym.

- Nie, to nie całkiem tak. Formalnie rzecz biorąc, policję mamy zachodnioniemiecką. Ale to wszystko miejscowe chłopaki, przeważnie po wojsku lub SS, więc widzą i oceniają sprawy mniej więcej tak jak my.

- Doskonale. - Baron dopił piwo. Wstał. - A teraz pokaż mi zamek.

Hoffer spełnił jego polecenie. Zamek był zaniedbany, ale Amerykanie przynajmniej nie doprowadzili go do ruiny. Do kaplicy poszli na końcu. Tego późnego., zimowego popołudnia była mroczna, ale przy prowadzącym do grobowca wejściu paliły się świece. Ktoś przyniósł też pęk późnych, zimowych róż.

- Kto? - spytał baron.

- Aaa... to kobiety z wioski. Lubią, żeby wszystko było w porządku. Tak samo jest w kościele, dla reszty ofiar, mojej żony, dziewczynek...

- Karl, słuchaj... tego dnia, dobijanie rannych... to nie było tak, że tobie zostawiłem brudną robotę. Po prostu uznałem, że masz większe prawo.

- Przecież wiem, panie baronie.

- Czy kiedykolwiek żałowałeś tego, co zrobiliśmy?

- Nigdy.

- Dobrze. A teraz uważaj. Byliśmy wtedy towarzyszami broni i jesteśmy nimi nadal. Podzielę się z tobą moim największym sekretem.

Podszedł do figury, nacisnął przycisk. Drzwi skrytki otworzyły się ze zgrzytem. Wyjął z niej teczkę.

- To dzięki niej wydostaliśmy się z Berlina. - Pokazał Hofferowi książeczkę oprawioną w niebieską skórę. - Dziennik Hitlera, Karl.

- Święty Boże w niebiosach! To nie może być prawda!

- To jest prawda. Później powiem ci, co w nich wyczytałem, ale na razie schowajmy ją w bezpieczne miejsce.

Książeczka wróciła do skrytki, figura świętego obróciła się, ukrywając drzwiczki. W rękę barona pozostała teczka.

- A tu znajdziemy rozwiązanie naszych problemów finansowych. Wszystkiego dowiesz się we właściwym czasie. Teraz musimy przede wszystkim odwiedzić Berger Steel. Potrzebne nam będą przyzwoite garnitury i jakiś samochód.

- Nadal mamy kubelwagena. Tego z wojny.

- Doskonale. Pojedziemy do Stuttgartu, ale najpierw Genewa. Tam są pieniądze.

W Genewie załatwili wszystkie sprawy ze zdumiewającą łatwością. Hasła i kody cyfrowe, przekazane im w materiałach Fihrera, postawiły personel banku na baczność.

Wyglądający bardzo przeciętnie bankier wyjaśnił im, do jakich oszałamiających środków mają bezpośredni dostęp, po czym przetransferował dziesięć milionów z lokaty na konto bieżące, co natychmiast uwiarygodniło von Bergera w światku wielkiej finansjery. Na jedno jego słowo wszyscy stawali na baczność niczym rekruci.

Następnie baron skontaktował się z monachijskimi prawnikami Berger Steel, aranżując spotkanie na miejscu, w Stuttgarcie. Obejrzeni zakłady, po których oprowadził ich dyrektor Heinz. Stalownia oczywiście działała, ale produkcja była niewielka, ze względu na ciężkie czasy.

- Jak panowie widzą - mówił Heinz - ucierpieliśmy podczas nalotów, ale w gruncie rzeczy mieliśmy szczęście.

Dysponujemy znakomitą, doskonale wyszkoloną kadrą.

Głos zabrał prawnik, Henry Abel.

- Problem w tym, że nie dysponujemy płynną gotówką i nie mamy inwestorów.

- Ten problem już został rozwiązany - powiedział baron, zwracając się do Heinza. - Jutro przeleję na konto firmy pięć milionów.

- Dobry Boże, baronie, z takimi pieniędzmi dokonamy cudów!

I rzeczywiście, na cuda nie trzeba było długo czekać. W ciągu następnych lat Berger Steel miały więcej niż przeciętny udział w cudzie, jakim stały się niewątpliwie Niemcy Zachodnie. Stalownie Bergera wyrosły na wielką potęgę ekonomiczną, a ich zyski baron inwestował w przedsiębiorstwa zupełnie innych branż: budownictwo, hotele, kwitnący po wojnie przemysł rozrywkowy.

Wkrótce jego pieniądze zaczęły pracować w Stanach Zjednoczonych. Sieć hoteli przynosiła nieprawdopodobne wręcz zyski. Do jej sukcesu w wielkim stopniu przyczynił się zwolniony do rezerwy kapitan sił powietrznych James Kelly, doskonały prawnik, który został w końcu szefem amerykańskiego oddziału Berger International.

Nim jeszcze rzucił się w wir wielkich interesów, Max von Berger odszukał pułkownika Strassera, spełniając swoją obietnicę. Strasser okazał się człowiekiem niezwykle elastycznym, umiejącym doskonale grać w drużynie, i w rezultacie został szefem działu personalnego całego koncernu. Za to z Ritterem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Jak to często bywało w przypadku pilotów wojskowych, nie potrafił żyć bez codziennego, wielkiego napięcia, więc mimo iż von Berger zrobił z niego swojego osobistego pilota, nudził się i czuł się nieszczęśliwy. Wreszcie, pewnego dnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, zginął podczas pokazów lotniczych, gdy wykonywał akrobacje - silnik jego me 109 przestał pracować w najgorszym możliwym momencie. Na jego pogrzebie byli wszyscy: baron, Schneider, Hoffer, Strasser i Kelly, który przyleciał specjalnie ze Stanów.

- Trzydzieści osiem lat, a tyle dokonał - westchnął Strasser. - Powiedziałbym, że mimo wszystko zginął młodo. Przyznaję, że bardzo mnie to niepokoi.

Schneider, który na zawsze miał dla nich pozostać "młodym Schneiderem", powiedział:

- Nigdy nie zapomnę lotu z Berlina. To było fenomenalne, zdumiewające. Gdyby nie on, nie byłoby nas tu.

- Ale jesteśmy. I mamy sporo pracy - powiedział von Berger.

Zimna wojna stawała się coraz zimniejsza, a pozycja wielkiej posiadłości na Wrzosowiskach Holstein coraz trudniejsza, lecz baron von Berger znany był już w kołach zachodnioniemieckich przemysłowców i dysponował wystarczająco dobrymi kontaktami, by zablokować wszystko, co próbował przedsięwziąć rząd Niemiec Wschodnich.

Gospodarstwo prosperowało doskonale. Generalnym zarządcą został Karl Hoffer, młody Schneider zaś jego asystentem. Baron nie żałował pieniędzy; używając praktycznie

niewyczerpanych funduszy z Genewy, wyremontował zamek. Łąka, na której wylądował kiedyś storch, zmieniła się w pas startowy lotniska, na którym bezpiecznie lądować mogły małe samoloty.

Nie zamierzał otwarcie wspierać ideologii nazistowskiej i jej przedstawicieli. W ten sposób tylko by sobie zaszkodził. Ale po cichu, przez lata, przyciągał do siebie tych, których nazwiska znalazł na listach z teczki Hitlera. Nie stworzył Kameradenwerku, Związku Towarzyszy, o którym wspominał Fiihrer, lecz raczej tajne bractwo w rodzaju masonerii, którego był ojcem chrzestnym. Każdy, kto mógł wylegitymować się odpowiednią przeszłością, miał stosowne poglądy i problemy, mógł się z nim spotkać, opowiedzieć o sobie, otrzymać pomoc i schronienie. Załatwiane było to zawsze dyskretnie, po cichu, rozsądnie. W środowisku byłych żołnierzy armii niemieckiej baron stał się legendą, a władze nie miały żadnych powodów, by uskarżać się na jego działalność.

Prawda była gorzka - brutalne morderstwo żony i syna w jednej, strasznej chwili zabiło coś w duszy Maxa von Bergera. Ukarzał morderców, zemścił się i jak wielu innych odkrył smutną prawdę: zemsta nic nie daje, a tylko zabiera. Było tak jak w wierszu: jego serce zamieniło się w kamień. Nie czuł nic.

Mijały lata. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku zimne serce czterdziestoosmioletniego barona ogrzała młoda Włoszka, Maria Rossi. Interesująca i bardzo inteligentna, wykwalifikowana księgowa, została jego osobistą sekretarką, podróżowała z nim po całym świecie, no i oczywiście zdarzyło się to, co zdarzyć się musiało.

Von Berger walczył z budzącym się uczuciem do Marii, uważając je za zdradę żony, nim jednak zdołał dojść ze sobą do ładu i podjąć decyzję, problem rozwiązał się sam. Maria Rossi, rzuciła go, zostawiając krótki liścik wyjaśniający, że rodzinne interesy wzywają ją do Palermo. Znikła i nigdy już o niej nie usłyszał.

Płynęły dni, miesiące, lata. Zaczęli umierać najbliżsi mu ludzie. Pierwszy odszedł młody Schneider; zginął w idiotycznym wypadku na farmie, za kierownicą traktora, który przewrócił się i go zmiażdżył. W dziesięć lat później na raka płuc zmarł Strasser. Baron był na jego pogrzebie wraz z Karlem Hofferem. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku - miał sześćdziesiąt lat.

- Dama z kosą zaczyna od najmłodszego, zauważyłeś to, Karl?

- Owszem, mnie też to zdziwiło.

Hoffer, już w średnim wieku, ożenił się po raz drugi z daleką kuzynką, wdową, która zaledwie rok temu zmarła na atak serca. Był dwa lata starszy od barona.

- I co teraz?

- Weźmiemy się w garść. Myślałem, że moglibyśmy wejść w handel bronią, no i zawsze jest ropa, szczególnie atrakcyjna teraz, kiedy Rosja otwiera się na świat.

- Czy mogę spytać, po co to panu, baronie? - Karl był człowiekiem cierpliwym, a to pytanie, w różnej formie, zadawał już kilkakrotnie. - Przecież jest pan strasznie bogaty.

- Bogatszy, mój drogi, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Ale, Karl, ja nie mam w życiu żadnego celu. Nie jestem w stanie wypełnić pustki w sercu. Maria Rossi ogrzała je na chwilę, a potem odeszła. Mam w duszy ciemność, którą muszę czymś rozświetlić, a praca i bogacenie się to jedyny znany mi sposób. - Poklepał przyjaciela po ramieniu. - Nie martw się o mnie, Karl. Ja zawsze sobie poradzę.

Następnego dnia, po nocy spędzonej na zamku, baron poszedł do kaplicy, otworzył skrytkę i przekartkował dziennik Hitlera. Czytał go wielokrotnie, fragmenty mógł cytować z pamięci, ale nigdy nie trafiła mu się okazja, by użyć go w jakimś praktycznym celu, i teraz też

odłożył na miejsce niepozorną książeczkę w niebieskich okładkach, zastanawiając się, czy kiedykolwiek taka okazja się nadarzy.

Przez chwilę siedział przy wejściu do grobowca, myśląc o żonie i synu. Potem odetchnął głęboko i wstał. A więc rosyjska nafta i broń. Niech i tak będzie.

Wyszedł z grobowca. Był gotów do działania.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku skończył siedemdziesiąt lat. Był właścicielem sporej części rosyjskiej ropy naftowej, tym cenniejszej, że z powodu wojny w Zatoce z gry na pewien czas wypadł Kuwejt, a na Irak nałożono embargo. Pieniądze same sypały mu się do kieszeni, a zagrożenie wojną na Środkowym Wschodzie wraz z niepokojami w Indiach i Pakistanie czyniły handel bronią wspaniałym, lukratywnym biznesem.

Zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Wielkiej Brytanii jego rosnące wpływy, potęga finansowa i zakres interesów budziły niepokój na najwyższych szczeblach, ale baron Max von Berger nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Stał na czele konsorcjum tak nieprawdopodobnie wielkiego, że nie musiał przejmować się nikim.

Na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku odszedł James Kelly. W kilka miesięcy później baron poniósł największą stratę: na atak serca zmarł Karl Hoffer.

Otwartą trumnę wystawiono w kaplicy. Siedział obok niej samotny, z dłońmi złożonymi na srebrnej ręczce laski, której potrzebował, by móc samodzielnie się poruszać. Myślał o latach spędzonych wspólnie na wojnie i o ucieczce z płonącego Berlina.

- Wygląda na to, że jestem ostatni, stary przyjacielu - powiedział cicho. - Biodro bardzo mi dokucza. Pamiętasz nasze stare wojenne motto?"Dla żołnierza SS wszystko jest możliwe". - Westchnął, wstał. - Muszę wracać do pracy.

Wyszedł, kulejąc, a drzwi do kaplicy zamknęły się za nim z głośnym trzaskiem. Cichej kaplicy, oświetlonej wyłącznie kilkoma migającymi świecami. Baron Max von Berger nie miał pojęcia o tym, że za kilka chwil wpadnie w wir wydarzeń, które zmienią jego życie bardziej, niż zmieniła je ucieczka z Berlina.

LONDYN

AR-RUB AL-CHALI

IRAK

W następnym roku baron Max von Berger po raz pierwszy zetknął się z Pauliem Rashidem, hrabią Loch Dhu. Była to postać legendarna, prawdziwa potęga stojąca za Rashid Investments. Jego matka była Angielką, a ojciec pochodzący z Omanu był generałem, służącym w SAS podczas wojny w Zatoce. Bogactwo Rashidów znane było na całym świecie, w końcu to oni kontrolowali złoża ropy w Hazarze, a także w Dhofarze. Paul Rashid był Beduinem, prawdziwym władcą wielkiej pustyni Ar-Rub al-Chali.

Berger International szukało dostępu do ropy w Dhofarze, choć nawet Amerykanom nie udało się złamać lub choćby nagiąć do swych życzeń żelaznej woli Rashidów. Baron nie próbował wdrzeć się na ich terytorium siłą. Zaaranżował dużą transakcję z Jemenem i poprosił Rashid Investments o pośrednictwo, zaznaczając przy tym, że raporty mają być składane wyłącznie jemu. Spodziewał się, że w ten sposób uda mu się skontaktować z Rashidami i rzeczywiście, pewnego dnia otrzymał informację, że prezes Rashid Investments spotka się z nim w Piano Barze, w hotelu Dorchester.

Przyjechał do baru wczesnym popołudniem. Zamówił swoją ulubioną irlandzką whisky; zawsze przedkładał ją nad inne.

Siedział, trzymając dłonie na główce laski, gdy nagle dostrzegł przy wejściu uderzająco

piękną kobietę. Ubrana była w czarne spodnium, czarne włosy opadały jej na ramiona i okalały twarz, mogącą należeć do królowej Saby. I ta właśnie kobieta niespiesznie podeszła do niego.

- Baron von Berger?

- Tak, to ja. - Wstał powoli.

- Nie, nie, proszę, niech pan siedzi. - Przysunęła sobie krzesło. - Jestem lady Kate Rashid. To wytrąciło go z równowagi.

- Przepraszam... oczekiwałem spotkania z lordem Loch Dhu, a pani jest taka... taka młoda.

- Poprosił pan o spotkanie z prezesem Rashid Investments, a to właśnie ja. Mój brat woli... powiedzmy, że woli pozostawać w cieniu. - Roześmiała się uroczo. - Aż tak się pan zdziwił? Nie ma powodu. Udało mi się nawet ukończyć studia humanistyczne w Oksfordzie. Proponuję, byśmy napili się szampana, przy którym wyjaśni mi pan, co możemy zrobić dla wielkiego barona von Bergera... To znaczy, co takiego, czego nie potrafi zrobić sam dla siebie.

Przywołała Giuliana, szefa baru, i zamówiła barowego szampana, a kiedy von Berger drgnął, wyjaśniła.

- Proszę się nie obawiać, jest najlepszy... no, ale tutaj wszystko jest najlepsze. A więc, baronie...

- No cóż, jak pani zapewne wie, Berger International zajmuje się handlem bronią. Taki drobiazg...

- Nie nazwałabym tego drobiazgiem.

- Pod żadnym względem nie da się porównać z waszymi udziałami w ropie. - Baron uśmiechnął się lekko. - Mam zamówienie od rządu Jemenu, dość urozmaicone. Wartość dziesięć milionów funtów. Nie są to wielkie pieniądze, ale... broń pochodzi z Rosji i miałem nadzieję przetransportować ją przez Morze Czarne frachtowcem pod grecką banderą, do Adenu.

- Pan pozwoli, że zgadnę: nagle pojawiły się problemy z władzami portowymi w Adenie. Mnóstwo rąk do posmarowania.

- Jest pani wyjątkowo dobrze poinformowana, młoda damo.

- Po prostu znam ten świat, panie baronie.

- Któż jest w stanie zrozumieć mentalność Araba?

- Nie uważam się za Arabkę, panie baronie. Nie tylko dlatego, że jestem półkwi Angielką.

- Wiem o tym doskonale. Pani rodzina jest w Anglii znana równie dobrze, jak moja w Niemczech. Nie zamierzałem pani urazić.

- Oczywiście, ale, jak powiedziałam, nie o to chodzi. Jestem półkwi Angielką, półkwi Beduinką. Beduini bardzo różnią się od Arabów. Nikomu się nie kłaniamy. Rashidowie są prawdziwą potęgą w Hazarze i w Dhofarze, ale przede wszystkim na pustyni Ar-Rub al-Chali. Kontrolują ją Beduini, a my kontrolujemy ich. Mój brat jest ich niekwestionowanym przywódcą.

- Pan hrabia to niezwykle człowiek i niezwykle są losy Rashid Investments, a zwłaszcza rozwój firmy. A jednak nie często pojawia się on w świetle reflektorów.

- Jak już wspomniałam, woli pozostawać w cieniu. Mam dwóch braci, George'a i Michaela, pełniących funkcje dyrektorów wykonawczych. Ja, jak pan już wie, jestem prezeską.

- A Paul?

- Najlepiej czuje się w Hazarze, wśród naszego ludu. W ich oczach jest wielkim wojownikiem. Przemierza pustynię na wielbłądzie, żyje zgodnie z tradycją, spalony słońcem, a strzegą go ludzie, którzy z radością oddadzą za niego życie. Żywi się daktylami i suszonym mięsem. Czy panu odpowiadałaby taka dieta?

Pojawił się Giuliano w towarzystwie kelnera, który zręcznie otworzył butelkę szampana. Von Berger roześmiał się wesoło.

- Będę szczerzy. Wolę rozkosze podniebienia zapewniane przez Piano Bar.
 - Więc niech pan napije się ze mną szampana.
 - Tylko jeśli będę mógł dostąpić niezwykłego przywileju...
 - A jaki to przywilej?
 - Czy mogę zwracać się do pani Kate? To takie piękne imię... I doskonale do pani pasuje.
 - Cała przyjemność po mojej stronie... Max.
- Baron znów się roześmiał i skinął na Guiliana, który z uśmiechem napełnił kieliszki.
- A więc... do czego doszliśmy, Kate?
 - W sprawie transportu broni? Nie ma problemu, lecz lekkomyślnością byłoby polegać na

Grekach i ich frachtowcach.

Damy panu statek firmy z arabską załogą. Załatwię sprawy w Adenie, zabezpieczenie ładunku i transport w głąb ładu.

- A ile przyjdzie mi zapłacić za te niesłychane ułatwienia?
- Dwadzieścia pięć procent.

Przy stoliku zapanowała cisza, którą przerwał w końcu baron, mówiąc z uśmiechem:

- Jesteś niezwykłą młodą damą, Kate. Przyjmuję te warunki, oczywiście.
- Nie podpiszemy kontraktu, nie podamy sobie dłoni?
- Dałem słowo. - Von Berger uniósł kieliszek. - Twoje zdrowie, młoda damo. I za przyszłość.

Spełnili toast. Kate Rashid skinęła na Giuliana, a gdy kieliszki znów były pełne, wypła i spokojnie przyjrzała się rozmówcy. Oczywiście wiedziała o nim wszystko, a przynajmniej tak sądziła. Intrygował ją jako człowiek i jako szef potężnej firmy, jego zaś Kate Rashid po prostu oczarowała. Nie, nie w jakiś głupi, powierzchowny sposób, jak siedemdziesięciosześcioletniego mężczyznę zakochującego się w młodej pięknej kobiecie. Była po prostu niezwykła.

- Powiedziałeś "za przyszłość"? - spytała z uśmiechem. - A więc porozmawiajmy o przyszłości. Nie wystarczają ci udziały w rosyjskiej ropie, prawda? Interesujesz się złożami w Dhofarze.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

- Nic z tego, niestety. Próbowali Rosjanie, próbowali Amerykanie, próbowali nawet Brytyjczycy. Nic nie działali.

- I nagle, oczywiście przypadkiem, pojawia się Max von Berger z Berger International. Szuka kontaktów z Rashid Investments, pragnie osobiście porozmawiać z moim bratem w sprawie transportu broni wartego zaledwie dziesięć milionów.

Baron nie bawił się tak od wielu lat. Roześmiał się po raz trzeci jednego wieczoru!

- Poddaję się. Nie mam nic do ukrycia. Sądziłem, że jeśli porozmawiam z twoim bratem, być może uda się nam dojść do... porozumienia.

- Dlaczego nie powiedziałeś od razu, o co ci chodzi? Interesujesz się Dhofarem i chcesz tam zainwestować. My też.

Chcesz porozmawiać z Paulem? Mogę to załatwić. Polecimy firmowym gulfstreamem do Hazaru. Czy dziesiąta rano jutro ci odpowiada? Dolecimy helikopterem do oazy Shabwa na pustyni Ar-Rub al-Chali i tam spotkamy się z moim bratem. Czy jest to dla ciebie do przyjęcia?

- Gdybym był o czterdzieści lat młodszy, padłbym do twoich stóp!

- Jakież to wzruszające... zwłaszcza w ustach esesmana, wybranego spośród wybranych. A więc, umówiliśmy się na randkę. A teraz, kiedy skończyliśmy z tymi nudnymi interesami,

chciałabym wiedzieć, czy zaprosisz mnie gdzieś na kolację? Ivy wydaje mi się w sam raz odpowiednie na tę okazję. Wszyscy ci okropni sławni ludzie... To takie podniecające.

Max von Berger wstał. Strzelił obcasami.

- Lady Kate Rashid, cała przyjemność po mojej stronie.

Następnego dnia firmowy samolot wylądował w Hazarze, w bazie wojskowej, relikwie brytyjskiego imperializmu. Helikopter hawk już na nich czekał. Kate szła pierwsza, baron z trudem za nią nadążał, podpierając się laską. Mimo to od lat nie czuł się tak świeżo, tak młodo. Lot z Northolt spędzili na rozmowie o wszystkim i o niczym. Baron Max von Berger był zafascynowany śliczną lady Kate Rashid.

Hawk okazał się hałaśliwy i niewygodny, jak wszystkie helikoptery. Leciał nad największą na świecie pustynią, w nieznośnym upale, rzucając pasażerami w powstających nad nią prądach wznoszących. Ze wszystkich stron otaczała ich pustka wielkiej Ar-Rub al-Chali. Zapadał zmierzch, piaszczyste wydmy ciągnęły się aż po horyzont, a przynajmniej tak wyglądało to z pokładu helikoptera. Ten majestatyczny widok zachwyił barona do tego stopnia, że zdołał nawet zapomnieć o tym, jaki jest stary.

I nagle daleko, w ciemności, pojawiły się plamy ognisk. Hawk zawisł nad wielką oazą Shabwa. Przez okno widzieli wielkie jezioro otoczone palmami, stada wielbłądów i kóz oraz gigantyczny obóz, pełen spieszących się gdzieś dzieci, kobiet i mężczyzn, Beduinów.

Wylądowali. Wirnik zatrzymał się, huk silnika umilkł. Pilot otworzył drzwi kabiny, usunął się na bok.

- Jesteśmy na miejscu, baronie - powiedziała Kate z uśmiechem. - Proszę za mną.

Lady Rashid ubrana była w spodnie i bluzę khaki. Przykryła głowę chustą, wyszła na piasek. Tłum usunął jej się z drogi, podbiegli do niej wojownicy, ustawili się w dwa szeregi, formując szpaler. Panowała niemal całkowita cisza, przerywana tylko prychnięciami wielbłądów i żalonym beczeniem kóz. Nagle, na przeciwległym krańcu szpaleru, pojawił się Paul Rashid, wspaniała postać w czarnym burnusie i w turbanie.

- Siostrzyczko. - Kate podbiegła i rzuciła mu się w ramiona.

Tłum ryknął triumfalnie, hałas był niemal obezwładniający. Paul wyciągnął rękę do barona.

- Proszę wybaczyć im ten wybuch entuzjazmu. Moja siostra zajmuje w ich sercach specjalne miejsce.

- Jest to dla mnie całkowicie zrozumiałe.

Rashid przytrzymał dłoń gościa. Nagle pochylił się i ucałował go w oba policzki.

- Bardzo przepraszam za tę bezceremonialność, ale taki pocałunek na oczach moich ludzi czyni pana kimś... specjalnym.

Teraz nikt z nich nie ośmielił się wystąpić przeciwko panu. Wieści rozchodzą się po pustyni szybciej niż przez Internet. Tu zawsze będzie pan bezpieczny.

Baron von Berger doskonale rozumiał tych ludzi. Niczym nie różnili się od Niemców, mieszkańców Wrzosowisk Holstein. Paul Rashid był dla Beduinów tym, kim on był dla mieszkańców swojej posiadłości.

- Jestem zaszczycony, lordzie.

Rashid odwrócił się i stanął twarzą do tłumu.

- Słuchajcie mnie - krzyknął - to baron von Berger, mój przyjaciel!

Beduini zaczęli krzyczeć, wielbłądy parskały, zapanował chaos. Kate spojrzała na barona.

- Idź tam, gdzie idą wszyscy, rób to, co robią wszyscy. Pamiętaj, że jesteś teraz gościem

wszystkich Beduinów z Ar-Rub al-Chali.

- A więc wypada okazać przybyszowi naszą gościnność - powiedział Paul Rashid. - Po pierwsze, musi się pan odświeżyć po podróży. Potem coś zjemy.

- A potem przejdziemy do interesów - dokończyła Kate.

- Na razie wystarczy. - Paul Rashid poprowadził ich przez tłum.

Barona zaprowadzono do bogato urządzonego namiotu. Podłogę wyściełały grube dywany, na ścianach wisiały gobeliny. Rozłożono dla niego płócienną wannę, dwóch mężczyzn doskonale mówiących po angielsku zatroszczyło się o wszystkie jego potrzeby.

Po kąpieli zaprowadzono go do większego namiotu, wypełnionego ludźmi siedzącymi na poduszkach. Kobiety przynosiły jedzenie: duszone mięsa, pieczoną baraninę. Była to prawdziwa uczta. Baron siedział między rodzeństwem.

- Ufam, że pan to rozumie - powiedział Paul Rashid. - Moi ludzie tego oczekują. Szanują tradycję, baronie.

- Max. Mów mi po imieniu. - Von Berger sięgnął do tacy z kotletami baraniami, podsunętej przez Beduinę. Wziął jeden i zaczął jeść go palcami. - Wspaniały - mruknął, obracając się do Paula Rashida. - Powiem panu jak jeden stary żołnierz drugiemu: w czasie wojny spędziłem zimę w Rosji. Tutaj czuję się nieskończenie lepiej.

- Niech więc cieszy się pan chwilą - powiedział z uśmiechem Paul.

O wiele później, nocą, siedzieli przy ognisku tylko we troje. Otaczali ich uzbrojeni w AK47, pijący kawę strażnicy.

- A więc chodzi o broń dla Jemenu - zaczął Paul Rashid. - Oczywiście, możemy podjąć się pośrednictwa. To przecież drobiazg. Ale bądźmy szczerzy, to, co powiedziała moja siostra, jest prawdą. Ta sprawa z Jemenem jest dla pana niczym i doskonale pan o tym wie. Tak naprawdę interesuje pana uzyskanie koncesji i dostępu do ropy na Ar-Rub al-Chali, a zwłaszcza w Dhofarze.

- Dokładnie tak. Wiem, że takich koncesji pragnęli Rosjanie, Brytyjczycy i Amerykanie, ale pańskie wpływy wśród Beduinów uczyniły ich starania daremnymi.

- To prawda.

Zapadła cisza, którą przerwał baron.

- Ma pan może papierosa?

- Oczywiście. Sam chętnie zapalę. - Przywołał po arabsku, chłopca, który natychmiast podbiegł do nich z papierosami i zapalniczką.

- To one pomogły mi przetrwać zimę w Rosji - powiedział von Berger.

- A mnie wojnę w Zatoce. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

- Posłuchaj, proszę, co mam do powiedzenia. - Von Berger zwrócił się do Kate. - Cenię twoją opinię.

- Ależ oczywiście, słucham.

- Doskonale. Jeśli zacznę starać się o udziały w nafcie z Dhofaru, potęgi tego świata rzucą mi pod nogi tyle kłód, ile tylko będą w stanie. Rząd rosyjski nie jest już szczęśliwy, bo mam w jego kraju więcej, niż mu się podoba. Zaalarmuje ich każdy, nawet najmniejszy wzrost mojej potęgi.

- Dokładnie tak - potwierdziła Kate.

- Amerykanie nigdy mi nie ufali. Nie zapomną o moich związkach z Hitlerem. - Odwrócił się, mówił teraz do Paula Rashida. - Natomiast z panem muszą jakoś żyć. I tu mamy ciekawą sytuację. Dlaczego nie wydobywa pan ropy w Dhofarze?

- Powiedz mu - zwrócił się do siostry Paul między jednym łykiem kawy a drugim.

- Żywa gotówka. Rashid Investments warte jest miliardy, ale wszystkie nasze pieniądze są gdzieś zaangażowane. Głównie w inwestycje kapitałowe. Nie muszę panu mówić, że wydobywanie ropy to kosztowny interes.

- Ale... gdybyście mieli środki, moglibyście zacząć prace, prawda? Amerykanie i Rosjanie nie mieliby nic do powiedzenia.

Kate Rashid podniosła na niego swoje piękne oczy.

- Mówimy o sporych środkach. I nie mam ochoty wiązać się z żadnym bankiem.

- Co oznacza, że na początek potrzebowalibyśmy na koncie miliarda. Płynną gotówką - powiedział spokojnie Paul Rashid.

Baron skinął głową.

- Lepšie byłyby dwa miliardy.

Oboje spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Dwa miliardy? - powtórzyła Kate.

- Tak. Poczekajcie chwilę... Mamy wtorek, prawda? Jeśli zacznę to załatwiać teraz, dziś lub jutro, pieniądze dostaniecie w piątek. - Von Berger uśmiechnął się. - I to wy będziecie wydobywali ropę w Dhofarze, nie ja. Biały Dom, Kreml, Downing Street... Nic nie muszą o mnie wiedzieć.

- Boże, to byłoby wspaniałe - westchnęła dziewczyna.

Paul wyciągnął rękę.

- Pan nie żartuje - stwierdził po prostu. - Nie jest pan człowiekiem tego rodzaju.

- Nie jestem. Słysz z tego, że w interesach wykazuję wyjątkowo słabe poczucie humoru.

- Ale... działania wiążące się ze zdobyciem takiej sumy nie mogą nie pozostawić śladów na międzynarodowym rynku finansowym. Bardzo wyraźnych śladów. Rosjanie, Amerykanie i Brytyjczycy z pewnością się zorientują.

- I tu się pan myli. Na żadnym rynku nie stanie się nic niezwykłego. Mam dostęp do nieograniczonych zasobów kapitałowych.

- W tej wielkości? - zdumiała się Kate Rashid. - Skąd pan bierze takie pieniądze?

- Och, ze szwajcarskich banków. Jestem, jak to mówią, bogaty w środki płynne. Nie będzie żadnych skomplikowanych manewrów giełdowych, negocjacji w sprawie pożyczek, szukania współinwestorów. Po prostu zastrzyk świeżej gotówki, tak jak sobie tego życzy Rashid Investments.

Rodzeństwo wymieniło zdumione spojrzenia. Podekscytowana Kate mocno ścisnęła ramię brata.

- Paul, taka szansa się nie powtórzy. Możemy zmylić wszystkich naraz.

- Wiem, siostrzyczko. - Rashid spojrział na von Bergera. - Czego chce pan w zamian?

- W zamian? Chcę zostać cichym współnikiem Rashid Investments.

- Na jakich warunkach?

- Zapewniam pana, że nieuciążliwych i rozsądnych. Możemy uzgodnić wszystko tu i teraz, potem się wycofam. Sądzę nawet, że nie powinniśmy się spotykać, także towarzysko. - Spojrział na Kate. - Co będzie dla mnie bardzo przykre.

Paul Rashid siedział zamyślony. Po długiej chwili milczenia powiedział:

- Te przekłete międzynarodowe koncerty naftowe będą wiercić, gdzie im się podoba, a po drodze zdepczą Beduinów i zgwałcą pustynię.

- Wy zrobicie to inaczej?

- To można zrobić inaczej, Max. Nikt nie wie o tym lepiej od ciebie. A przy okazji, masz rację; w przyszłości nie możemy się spotykać.

- A więc zawarliśmy porozumienie?
- Jeśli dogadamy się w sprawie pańskiego udziału w Rashid Investments, porozumienie można uznać za zawarte. Ja załatwię wszystkie konieczne dokumenty. Pan załatwi pieniądze.

- Do piątku.

- Wśród Beduinów jest taki stary zwyczaj, wiąże mocniej niż jakakolwiek umowa. - Paul Rashid wyjął zza pasa niewielki, ostry jak brzytwa nożyk. - Kciuk, baronie. Lewej dłoni. - Von Berger wyciągnął rękę. Rashid naciął skórę, wypłynęła kropelka krwi, po czym zrobił to samo ze swoim kciukiem. Ich palce się zetknęły i tak zawarte zostało przymierze.

Kate także wyciągnęła lewą rękę.

- Ja też - powiedziała stanowczo. - Mam prawo. Ja go tu sprowadziłam.

- I dobrze zrobiłaś, siostrzyczko - powiedział z uśmiechem Paul, naciął kciuk dziewczyny i obaj mieszała swoją krew z jej krwią. Potem Paul Rashid objął obydwój. - To przymierze będzie trwało tak długo, jak trwa życie.

- Przysięgam na mój honor - dodał baron.

Kate uśmiechnęła się, jej oczy płonęły.

- Jaka szkoda, Max, że nigdy już się nie spotkamy. Ale Paul ma rację.

- Już nigdy nie wypijemy szampana w Piano Barze. Jestem zrozpaczony.

Wtedy nie mógł o tym wiedzieć, ale w mniej więcej dwa lata później spotkali się ponownie. W wyjątkowo dramatycznych okolicznościach.

Było to, dokładnie mówiąc, w styczniu dwutysięcznego roku. Z berlińskim biurem Berger International skontaktował się przedstawiciel rządu Iraku. Pragnął przeprowadzić wstępne rozmowy w sprawie dostaw broni. Von Berger nie był tym zdziwiony. Taką propozycję składano wszystkim większym handlarzom bronią. Sekretu nie udało się utrzymać, izraelski Mosad zbyt ściśle współpracuje z wywiadami brytyjskim i amerykańskim.

Von Berger nie był pewien, dlaczego poleciał do Iraku. Nie aprobował rządów kliki Husajna. Ożywienie, które wprowadziła w jego życie Kate Rashid, minęło, gdy przestali się spotykać. Od pamiętnego, spędzonego wśród Beduinów dnia nie widywał się ani nawet nie rozmawiał z Rashidami. Interesy w Dhofarze, w które wiele zainwestował, szły świetnie. Prawda nie była jednak aż tak piękna: ci, których kochał i którymi chciał się opiekować, nie żyli. Osiągnął bardzo wiele i nie pozostało mu nic wartego wysiłku. A poza tym nudził się. Więc poleciał do Bagdadu.

Miasto wydało mu się ogromne, stare, a jednak nowoczesne, upalne, zakurzone i potwornie zatłoczone. Na lądującego gulfstreama czekał niezwykle uprzejmy młody major wywiadu o nazwisku Aroun, ubrany w elegancki mundur khaki wyglądający tak, jakby wyszedł z pracowni krawca w Savillerow, obwieszony orderami, ze skrzydełkami spadochroniarza. Był przystojny, inteligentny, doskonale mówił po angielsku. Ułatwił gościowi załatwienie wszystkich, zawsze uciążliwych formalności, odprowadził go do limuzyny, lincolna, i usiadł obok niego na tylnym siedzeniu.

- Pali pan, panie baronie? - spytał, wyjmując papierośnicę.

- Ach, serdecznie dziękuję. - Von Berger z wdzięcznością przyjął papierosa, pochylił się nad płomieniem zapalniczki, rozparł na siedzeniu i wyjrzał przez okno na zatłoczoną ulicę. - Fascynujące - powiedział szczerze.

- Tak... cóż... mam nadzieję, że wkrótce spadnie deszcz.

- To dobrze?

- W tym mieście, tak. Powietrze jest tu tak gęste, że można je krajać nożem, a miasta nie zbudowano z myślą o ruchu samochodowym. Zabieram pana do Al Bustan, baronie. To

pięciogwiazdkowy, nowoczesny hotel.

- A spotkanie?
- On nie może się dziś z panem zobaczyć. Proszę czekać na wiadomość.
- Oczywiście.

To wówczas baron Max von Berger zaczął się zastanawiać, czy w ogóle powinien był przyjeżdżać do Bagdadu.

Wieczorem stanął na tarasie swojego apartamentu, paląc papierosa i pijąc irlandzką whisky. Zdziwił się, kiedy znalazł ją w barku, i musiał się zastanowić, kto zna go aż tak dobrze, by się o nią postarać. Błysnęło, huknął grom, zaczął padać deszcz. Spojrzał na zatłoczone ulice, na jadące powoli samochody. Powietrze niemal natychmiast stało się świeższe. Miał wrażenie, że z jego piersi zdjęto ciężar. Dopijał whisky, kiedy zadzwonił jego telefon satelitarny.

- Kto mówi? - spytał.
- Masz ochotę na szampana w Piano Barze? - spytał kobiecy głos. - Ach, przepraszam, zapomniałam, że to niemożliwe. Jesteś w Al Bustan w centrum Bagdadu. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Baron był bezgranicznie zdumiony.

- Przecież to ty, Kate. Gdzie jesteś?
- To nieważne.
- Skąd, u diabła, dowiedziałas się, gdzie ja jestem?
- Och, zawsze dowiaduję się tego, co chcę wiedzieć. Na przykład tego, że załatwiasz interesy z bronią dla Saddama.

Kiedy się z nim spotykasz? To znaczy, jeśli w ogóle planujesz takie spotkanie?

- Miałem dzisiaj, ale nastąpiło jakieś opóźnienie.
- Kto ci to powiedział?
- Młody człowiek, którego wysłali po mnie na lotnisko. Major Aroun.
- Major? Dla ciebie powinni lepiej się postarać. Moim zdaniem ta sprawa śmierdzi, śmierdzi pod niebiosa.
- No cóż, dyktatorzy tacy już są. Pamiętaj, że wychował mnie Hitler.
- Niech i tak będzie, ale posłuchaj przynajmniej, co ci powiem. Uważaj, bardzo na siebie uważaj. Sprawdź, jak wyglądają twoje sprawy. A teraz dobra wiadomość: robimy kolosalne pieniądze, wspólniku.

Rozmowa została przerwana.

Czekał trzy dni, nudząc się w hotelu, i bliski był myśli, by jechać do domu, kiedy hotelowy telefon wreszcie się odezwał. Dzwonił major Aroun.

- Spotka się z panem dziś wieczorem, o wpół do dziesiątej. Przyjadę po pana o dziewiątej. Do pałacu pojedziemy razem.
- To bardzo uprzejme z pana strony. Właśnie miałem zamiar wyjechać.
- Bardzo pana proszę, baronie, bez takich żartów. On ma bardzo ograniczone poczucie humoru, nie dojechałby pan nawet na lotnisko. Radzę panu być na czas.

Max von Berger roześmiał się na te słowa.

- Mój drogi chłopcze, gdybym zmarnował taką okazję, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Kiedy zszedł do hotelowego foyer, przez wielkie okno dostrzegł majora, czekającego na niego przy otwartych drzwiach eleganckiego mercedesa. Tym razem Aroun nie miał na sobie munduru, lecz czarną skórzaną kurtkę i dżinsy. Kierowca ubrany był podobnie. Baron, w czarnym garniturze, białej koszuli i ciemnym krawacie, podszedł i przyjrzał im się zdziwiony.

- Czyżbym źle się ubrał na tę okazję? - spytał.

- Polecono mi zachować maksymalną dyskrecję. Niech pan wsiada.

Von Berger usiadł na tylnym siedzeniu, major na przednim, obok kierowcy. Gdy samochód ruszał, znów huknął grzmot, a deszcz zamienił się w ulewę, prawie zatapiając ulicę. Zapanował chaos, nikt nic nie widział, wszyscy trąbili, tylko idący chodnikami ludzie wydawali się niczym nie przejmować.

- To główna ulica prowadząca przez stare miasto. Nazywa się Al Rashid. Do pałacu nie jest daleko.

Ulica Al Rashid... Von Bergerowi natychmiast przypomniała się Kate. Poprzestała na tym jednym, jedynym telefonie, dlaczego? Nagle samochód zahamował, zatrzymał się za stojącą przy krawężniku ciężarówką. Pod markizą kawiarni schroniła się przed deszczem grupa młodych ludzi, palących papierosy i rozmawiających. Oczywiście zwrócili uwagę na mercedesa i na siedzącego w nim starego mężczyznę w zachodnim stroju. Podnieśli głosy, mówili coś szybko po arabsku. Taką młodzież spotyka się w każdym większym mieście świata i w każdym może być groźna. Błyskawicznie otoczyli samochód, któryś z nich szarpnięciem otworzył tylne drzwiczki.

- Amerykanin, co? Nie lubimy Amerykanów.

- Nie Amerykanin. Jestem Niemcem.

- Jesteś Amerykaninem.

Ktoś próbował wywlec go z samochodu. Aroun wyskoczył, wyciągnął pistolet, ale trzech mężczyźni zaatakowali go od tyłu, przewrócili i zaczęli kopać. Kierowcę potraktowano podobnie. Baron był pewien, że oto nadszedł kres jego życia. Wciągnięto go w tłum. Wysoki młodzieniec w niestosownym w tej sytuacji, wręcz absurdalnym podkoszulku i czapce bejsbolowej, pewnie przywódca, podszedł do niego, trzymając pistolet Arouna. Krzyknął na swoich, a gdy nieco się uciszyli, powiedział głośno:

- Amerykanów zabijamy.

Na szczęście dokładnie w tej samej chwili rozległ się pisk hamulców dwóch zatrzymujących się obok land-roverów. Ktoś strzelił w powietrze, kobiecy głos krzyknął coś po arabsku. Mężczyźni odwrócili się, pociągając von Bergera za sobą. Przy jednym z land-roverów baron zobaczył Kate Rashid w chuście na głowie, ubraną w lekką koszulę khaki i luźne spodnie. Trzymała browninga, a otaczała ją sześciu Beduinów, uzbrojonych w gotowe do strzału AK47.

- Puście go - rozkazała po angielsku, zwracając się do mężczyzny w bejsbolowej czapce.

- Jest Amerykaninem! Zabijamy Amerykanów! - odkrzyknął mężczyzna. - A kim ty jesteś, kobieto, by mówić nam, co mamy robić?

Chwytał von Bergera za włosy i przystawił mu do głowy pistolet.

- Umrze, bo tak zdecydowałem - wycedził, lecz Kate błyskawicznie uniosła rękę i wystrzeliła. Kula trafiła go wprost w usta, przebiła czaszkę i wyleciała po drugiej stronie wraz z fragmentami kości, mózgu i krwią. Mężczyzna upuścił pistolet, zatoczył się i upadł, jego towarzysze uciekli. Został tylko baron, leżący bezwładnie na chodniku. Dwaj rośli Beduini podnieśli go bez problemu.

- Kate - szepnął oszołomiony von Berger.

Uśmiechnęła się i spojrzała na Arouna, który pozbierał się jakoś z chodnika i stał, ciężko oparty o mercedesa.

- Majorze, sądzę, że wie pan, kim jestem?

- Oczywiście, lady Kate.

- Ja natomiast nie wiem, co się tu dzieje. Nie ma wojska? Baron nie dostał eskorty?
- On rozkazał, żebyśmy jak najmniej rzucali się w oczy.
- Naprawdę? No to niech pan dopilnuje sprzątnięcia śmieci z chodnika i jakoś się oczyści. Ja zabiorę barona do pałacu prezydenckiego. Idziemy - zwróciła się do von Bergera. - Niech pan wstanie i doprowadzi się do porządku. Jest pan strasznie potargany.

Baron siedział wygodnie na tylnym siedzeniu land-rovera, odjeżdżającego spod kawiarenki. Już się nieco uspokoił.

- Jakim cudem wyskoczyłaś akurat tu, niczym diabeł z pudełka? - spytał.
- Och, bawiłam akurat w okolicy i pustynny wiatr przywiał wieść o twoim spotkaniu z wielkim człowiekiem. Niezbyt mi się to spodobało. Z bardzo różnych powodów. Saddam potrafi dziwnie się zachowywać, przy nim nikt nigdy nie jest niczego pewny. Na spotkanie z tobą wysłała pomniejszego rangą, młodego oficera. Pozwala, żebyś przez trzy dni siedział w hotelu i czekał na łaskawe słowo. Kto traktuje w ten sposób kogoś tak ważnego jak ty? Wygląda na to, że jest w jednym ze swoich szaleńczych nastrojów.

- Skąd ty to możesz wiedzieć?
- Ponieważ dobrze go znam. Jest moim wypróbowanym przyjacielem. Nie, źle powiedziałam. Sądzi, że jest moim wypróbowanym przyjacielem. A co ty o nim sądzisz?
- Och, sądzę, że jest szaleńcem i że po jego pogrzebie świat będzie o wiele lepszy. Tylko trudno do tego pogrzebu doprowadzić.

Zatrzymali się przed bramą pałacu prezydenckiego. Kiedy strażnicy zobaczyli Kate, natychmiast ich przepuścili. Samochody wjechały na dziedziniec, zatrzymały się u stóp szerokich stopni prowadzących do wejścia. Kate odwróciła się i oznajmiła spokojnie:

- No, jesteśmy na miejscu, Max. To powinno być interesujące doświadczenie.
Pułkownik wojsk lądowych, czekający zapewne na szacownego gościa, barona Maxa von Bergera, podszedł do nich szybkim krokiem, pochylił się nisko i ucałował dłoń Kate.

- Lady Kate, wiem już, co zaszło - powiedział do niej po angielsku. - Ściągnęli hańbę na nas wszystkich. Czy nic się pani nie stało?

Barona nie przestawało zdumiewać to, że iraccy oficerowie wydają się tak bardzo angielscy. Teraz spotkał kolejnego, który najprawdopodobniej skończył Akademię Wojskową w Sandhurst.

- O mnie proszę się nie martwić. Pańskim problemem jest w tej chwili trup na chodniku.
- To był pies, który poniósł zasłużoną karę za to, że cię obraził, lady Kate. W tym mieście sprzątanie psich ścierw nie jest żadnym problemem.

- Czy on wie, co się stało?
- Wie i wpadł w straszną wściekłość. Nakazał policji przeprowadzić natychmiastowe operacje karne na ulicy Al Rashid. Proszę za mną.

Nagle na zewnątrz rozległo się wycie syren, jednocześnie przygasły światła. Pułkownik skinął ręką. Na ten gest natychmiast podbiegł żołnierz, trzymający dużą lampę.

- To tylko ćwiczenia przeciwlotnicze - wyjaśnił oficer. - Nasi amerykańscy przyjaciele nie sprawiają nam w tej chwili większych problemów. Proszę tędy.

Ruszyli za nim korytarzami, szerokimi, wspaniałymi... i oczywiście marmurowymi. Towarzyszyło im dziwne uczucie: gęstniejący mrok, stojące przy obu ścianach posągi groźnie wylaniające się z ciemności, plama światła z lampy, echo kroków na marmurowej posadzce.

- Wszystko w porządku? - szepnęła Kate.
- Nazwałabyś to, jak sądzę, jednym z najniezwykleszych doświadczeń w moim życiu. - Von Berger uśmiechnął się w ciemności. - A biorąc pod uwagę fakt, że jestem jedynym znanym

ci człowiekiem, który mieszkał w bunkrze Hitlera, musisz przyznać, że moją opinię warto traktować poważnie.

- Och, jak ja cię lubię, Max. Gdybyś tylko...

- Gdybym tylko był pięćdziesiąt lat młodszy, prawda? Ale nie jestem, więc zachowuj się przyzwoicie.

Zatrzymali się przed niezwykle ozdobnymi drzwiami, strzeżonymi przez dwóch wartowników. Pułkownik otworzył je i wszedł do środka. Czekali, słysząc ciche głosy. Po krótkiej chwili oficer wrócił.

- Prosi pana do środka.

Saddam Husajn, samotny i umundurowany, siedział za wielkim biurkiem, na które światło rzucała jedna słaba lampa. Podpisywał dokumenty, lecz kiedy weszli, spojrzął na nich, odłożył pióro, wstał, obszedł biurko, przytulił Kate Rashid i ucałował ją w oba policzki.

Kate powiedziała po angielsku:

- Baron von Berger nie zna arabskiego.

Saddam nigdy nie reklamował faktu, że mówi po angielsku, ale, gdy zaszła taka konieczność, posługiwał się nim płynnie.

- Baronie, gniewa mnie, że potraktowano pana w ten sposób. Bardzo mnie to gniewa.

- To było po prostu nieszczęśliwe nieporozumienie. Ci młodzi ludzie wzięli mnie za Amerykanina. Mam wrażenie, że ubrałem się nieodpowiednio.

Saddam roześmiał się, wulgarnie, hałaśliwie.

- A to mi się podoba! Potrafię ich zrozumieć, naprawdę potrafię ich zrozumieć! - Zdumiewające były jego zmienne nastroje, ponieważ natychmiast spoważniał, zmarszczył brwi. Spojrzął na Kate. - Ale ciebie obrazili. Tego im nie wybaczę.

Rozkazałem przeprowadzenie akcji odwetowej. Żandarmeria wojskowa da lekcję łobuzom z Al Rashid.

- Ja sama dałam im lekcję - powiedziała Kate. - Zastrzeliłam przywódcę tego gangu.

- Doskonale. A więc od ciebie czegoś już się nauczyli. Kolej, by nauczyli się czegoś ode mnie. Usiądźcie, proszę.

Kate usiadła i skinęła na von Bergera, by poszedł za jej przykładem. Saddam otworzył drzwi prowadzące na taras. Znów rozległ się dźwięk syreny, zwiastujący zakończenie ćwiczeń. Tu i ówdzie rozbłyskiwały światła.

- Amerykanie i Brytyjczycy... rozpetali wojnę w Zatoce, wsadzają nosy w wewnętrzne sprawy arabskie. Latają nad tak zwaną strefą zdemilitaryzowaną, bombardują nasze urządzenia. Być może znów zacznie się wojna. I dlatego zaprosiłem pana, baronie.

Max von Berger zerknął na Kate, wyraz jej twarzy powiedział mu wszystko.

- W jakim zakresie mogę okazać się pomocny? - spytał.

Do rozmowy wtrąciła się dziewczyna.

- Baron von Berger ma dostęp do większości rodzajów broni. Czego szukasz? Rakiet Stinger?

Saddam Husajn odwrócił się i wmaszerował do pokoju.

- Drobiazgi takie jak rakiety Stinger mogę dostać z wielu źródeł. Tak naprawdę potrzebuję plutonu. - Zmierzył gościa przenikliwym spojrzeniem. - Nasz program jądrowy jest poważnie zaawansowany, ale do jego kontynuacji potrzebujemy plutonu. Czy może mi go pan dostarczyć?

Kate Rashid niemal niedostrzegalnie skinęła głową. Max von Berger dostrzegł ten gest i powiedział:

- Potrafię odnaleźć jego źródła.

- No to wspaniale! - Saddam Husajn znów rozsiadł się za biurkiem. - Jeśli Amerykanie zaatakują, mogą potrzebować broni, która powstrzyma ich w pół kroku. Dużo mówi się o broni biologicznej, ale ona mi nie wystarczy. Za to broń jądrowa...

Baron mógł w tej chwili zaprotestować, wspomnieć o katastrofalnych skutkach amerykańskiego odwetu, przywołać przykład Japonii po drugiej wojnie światowej... ale milczał. Nie widział sensu w polemizowaniu z tym człowiekiem. Właśnie przekonał się, naocznie i dobitnie, że Saddam Husajn jest szaleńcem.

- Czego pan ode mnie chce? - spytał.

- Przecież powiedziałem. Plutonu, baronie, plutonu. - Saddam wstał, gniewnie kręcąc głową. - Nie marnujcie mojego cennego czasu. Idźcie i dostarczcie mi pluton.

Kate położyła rękę na ramieniu barona. Sygnał był jednoznaczny: koniec audiencji.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Husajn chwycił pióro i wrócił do podpisywania dokumentów. Kate ciągnęła von Bergera w stronę wyjścia. Baron miał wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by się nie opierać.

Kiedy już siedzieli bezpiecznie w land-roverze, powiedział:

- To szalenie. Groźny szalenie.

- Oczywiście, ale w tej chwili nie to jest najważniejsze. W drugim land-roverze są twoje rzeczy z hotelu. Załatwiłam także pozwolenie startu dla gulfstreama. Wynoś się z Iraku, póki możesz. Ten wariat zmienia nastrój co pięć minut, a każdy jest niebezpieczny. Nigdy nie wiadomo, co zrobi w następnej chwili.

- Dziękuję za dobrą radę. I przyjmuję ją, oczywiście.

- Spróbujesz znaleźć mu ten pluton?

Baron Max von Berger, niegdyś major SS, były adiutant Hitlera, odparł:

- Nigdy w życiu.

- To dobrze. Jesteś wspaniałym człowiekiem, Max, więc tym prędzej powinienes znaleźć się najpierw na lotnisku, a potem jak najdalej stąd.

NIEMCY

Następnego roku, w czasie podróży w interesach do Brazylii, Max von Berger dowiedział się o strasznej tragedii, która dotknęła ród Rashidów, śmierci trzech braci, George'a, Michaela i Paula. Wieść o niej dotarła do niego za późno, by mógł zdążyć na pogrzeb, a zresztą... po co miałby brać w nim udział?

Ze względu na szczególną naturę ich szlachectwa, odziedziczyła je po braciach Kate i to ona została hrabiną Loch Dhu. Stara zasada obowiązywała nadal, bez żadnych wyjątków: między Berger International a imperium Rashidów nie mogło być żadnych oficjalnych związków.

W tamtym momencie von Berger nie wiedział nic o przyczynie śmierci braci, nie wiedział też o walce Rashidów z zachodnimi potęgami finansowymi ani o powodach tej walki. Dopiero później miał dowiedzieć się o nieudanej próbie zamachu na życie prezydenta Jake'a Cazaleta, przeprowadzonej przez irlandzkich najemników, którzy zaatakowali jego posiadłość w Nantucket, i o tym, że najemników wynajął Paul Rashid. Nie wiedział o udanym zamachu na życie sułtana Hazaru i nieudanym na hazarską Radę Starszych; oba także przeprowadzili irlandzcy najemnicy. I znacznie później dowiedział się również, jaką rolę odegrał w tych wydarzeniach Blake Johnson, który rządził Piwnicą, oraz generał Charles Ferguson, pracujący w tej samej roli dla brytyjskiego premiera, wspierany przez Seana Dillona, będącego jego prawą

ręką. Dillona, który osobiście zabił Paula Rashida i jego braci.

W tej chwili jednak baron von Berger nie posiadał tej wiedzy. W tej chwili zadawała się śledzeniem z bezpiecznej odległości interesów Kate Rashid. Wiedział, że w jej życiu pojawił się niejaki Rupert Dauncey, Amerykanin jakoś z nią spowinowacony, były major piechoty morskiej, i zdawał sobie sprawę, że odczuwa z tego powodu coś w rodzaju zazdrości. Życie toczyło się jednak swoim rytmem, musiał - jak zwykle - dbać o interesy, żył więc tak jak dotychczas... aż do chwili gdy, zażywając kilkudniowego odpoczynku w zamku, pod wpływem kaprysu zdecydował się zjeść kolację w gospodzie Pod Orłem.

W piątkowy wieczór gospoda była, jak zwykle, zatłoczona. Padał śnieg, zaczęła się prawdziwa zima. Kiedy baron wszedł do środka, powitano go, jak zawsze, z szacunkiem, a właściciel, Meyer, podbiegł do niego z pozdrowieniami.

- Panie baronie, czy zaszczyca nas pan obecnością na kolacji?

- Chyba tak. Poproszę o twoją słynną zapiekankę z warzyw i ziemniaków. Nic nie może się z nią równać. Wiem, bo jadalem w wielu miejscach na całym świecie.

- To dla nas zaszczyt.

Meyer poprowadził go do łoży w spokojnym zakątku sali. Skinął na siedzących przy stoliku mężczyzn, którzy poderwali się natychmiast na równe nogi i nisko skłonili głowy.

- Dziękuję wam, przyjaciele. - Baron zdjął kapelusz, przy pomocy gospodarza ściągnął ciężki płaszcz i usiadł. - To zła noc - powiedział. - Napiję się szampana. Być może szampan mnie ożywi.

Mayer odszedł. Von Berger wyciągnął papierosa. Zapalił.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeden ze stojących przy barze mężczyzn przygląda mu się nieprzyjaźnie. Był to Hans Klein, potężnie zbudowany miejscowy farmer, brutal i pijak, który stale zalegał z czynszem. Miał trzy miesiące na uregulowanie go, inaczej groziła mu eksmisja.

Meyer przyniósł szampana w wiaderku i kieliszek. Tego Klein nie był już w stanie wytrzymać.

- Szampan dla wielkiego cholernego arystokraty, co? - krzyknął. Uderzył w bar wielką pięścią. - Dajcie mi sznapsa, i to szybko. A może mamy czekać, póki on nie zostanie obsłużony?

Rozmowy ucichły, zapanowała cisza. Otwierający właśnie butelkę Meyer skrzywił się z zaniepokojeniem.

- Baronie, bardzo pana przepraszam.

- To nie twoja wina. Po prostu nalej mi szampana.

W tym momencie drzwi gospody otworzyły się gwałtownie. Powiał zimny, niosący śnieg wiatr. Pod Orłem pojawił się obcy.

Mężczyzna miał na sobie myśliwską kurtkę z futrzanym kołnierzem. Głowę osłonił tweedową czapką, na której zebrał się śnieg. Zdjął ją na progu, otrzepał o udo, rozejrzał się.

W Neustadt rzadko pojawiali się obcy i, oczywiście, natychmiast przyciągali uwagę. Ten miał długie ciemne włosy, prawie, choć nie całkiem, sięgające do ramion, przystojną szczupłą twarz i krzywy nos. Przypominał trochę średniowiecznego rycerza, z którym nie warto zaczynać, bo może to się źle skończyć. Rozpiął kurtkę.

- Dobry wieczór. Kiepska noc na włóczęgę po lasach. - Jego niemiecka była doskonała, ale baron rozpoznał w niej cień włoskiego akcentu.

- Witamy pana, mein Herr - przywitał go uprzejmie Meyer. - Pan z daleka?

- Można tak powiedzieć. Prosto z Sycylii.

Klein zmierzył go podejrliwym wzrokiem.

- Włoch - poinformował stojących przy barze. W jego głosie brzmiała bezbrzeżna pogarda.

Przybysz zignorował go. Zwrócił się bezpośrednio do gospodarza.

- Bardzo potrzebuję czegoś, co by mnie rozgrzało. Zdaje się, że ma pan tu drinki ze wszystkich stron świata. Może znajdzie się wśród nich grappa?

- Na szczęście się znajdzie. - Meyer zdjął butelkę z półki, pokazał ją gościowi, który głośno odczytał napis na etykiecie.

- Grappa Di Brunella de Montacino. Jezu Chryste, toż to ogień w płynie. Należy pan? - Jednym haustem wychylił kieliszek, odkaslnął. - Znakomita. Chyba przy niej pozostanę.

Odwrócił się, omiół spojrzeniem salę, zauważył wolny stolik i siedzącego w loży von Bergera, sprawiającego wrażenie rozbawionego. Natychmiast spoważniał, cofnął się nawet o krok, jakby ktoś go uderzył. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem podszedł do stolika, usiadł, odkorkował butelkę, nalał sobie kielicha. Jeszcze raz zerknął na barona, po czym opuścił wzrok.

Von Berger zmarszczył brwi. Czuł się dziwnie nieswojo. W tym obcym człowieku z Sycylii dostrzegł coś znajomego, zupełnie jakby już kiedyś się spotkali, a nawet przyjaźnili, lecz to przecież nie było możliwe. Nie miało też żadnego znaczenia, zwłaszcza że w tej chwili Klein dostał ataku szału. Sięgnął za bar, złapał butelkę sznapsa, wyrwał korek zębami, wypił kilka łyków, walnął pięścią w bar i odwrócił się.

- Pan ma się za Boga Wszechmogącego, prawda, baronie? Ale ja powiem panu, kim pan jest. Sukinsynem. - Był tak pijany, że nie wiedział, co mówi. - A ja wiem, co robić z sukinsynami takimi jak ty! Spróbuj pojawić się na mojej farmie, a rozwalę ci łeb z dubeltówki!

W gospodzie zaległa cisza. Baron siedział spokojnie, z dłońmi złożonymi na srebrnej gałce laski.

- Wracaj do domu, Klein. Nie wiesz, co mówisz.

Pijak podskoczył do stolika von Bergera i zrzucił z niego butelkę szampana.

- Ty stara świni! Ja ci pokażę!

- Nikt niczego nikomu nie pokaże - wycedził obcy, nalewając sobie kolejną szklaneczkę grappy. - Proponuję, by przeprosił pan tego wielkiego człowieka za to, że ośmielił się go pan obrazić.

Baron spojrział na niego lekko zmrużonymi oczami. Klein odwrócił się, podskoczył do stolika gościa, oparł się o blat.

- Śliczny włoski chłopiec, co? Jeszcze słowo, a złamię ci obie ręce.

- Naprawdę? - Obcy chwycił butelkę za szyjkę i walnął nią Kleina w skroń. Pijany farmer padł na jedno kolano, a zaraz potem dostał krzesłem w głowę i ramię.

Gość cofnął się, a Klein wstał powoli, trzymając się kurczowo stolika. Odwrócił się, twarz miał zalaną krwią, a wtedy przybysz przemówił, równie spokojnie jak przedtem:

- Jesteś zwierzęciem, przyjacielu. Ktoś powinien ci to powiedzieć dawno temu.

Pijany farmer wrzasnął z wściekłości i zataczając się, ruszył na niego, wyciągając potężne ręce. Obcy uchylił się zgrabnie, podciął go i kopnął w skroń. Klein upadł, tracąc przytomność. Obecni w gospodzie zaczęli szeptać między sobą. Meyer wyskoczył zza baru.

- Baronie, stało się coś strasznego. Co mogę powiedzieć?

- Nic, oczywiście. Zabierzcie go na policję. Niech odeśni tę noc w celi.

Kilku mężczyzn wyniosło nieprzytomnego osiłka. Gość z Sycylii nie zwracał uwagi na prowadzone półgłosem rozmowy i rzucane w jego stronę spojrzenia. Nalał sobie grappy, beznamytnie przyglądając się dziewczynie zamiatającej podłogę. Wypił szklaneczkę jednym haustem.

- Dobrze pan sobie z nim poradził - powiedział baron. - Brutalnie i skutecznie.
- Wychowałem się w Palermo.
- Doskonale mówi pan po niemiecku.
- Nauczyłem się go od matki.
- Rozumiem. Patrzył pan na mnie tak, jakby mnie pan znał.
- Znam. Ze zdjęcia. Miałem zamiar odwiedzić pana jutro, na zamku. To, co zdarzyło się przed chwilą, to czysty przypadek.
- Czego pan ode mnie oczekuje? A tak przy okazji, proszę mi się przedstawić.
- Nazywam się Rossi, Marco Rossi. Moją matką była Maria Rossi. Pracowała kiedyś u pana, prawda?

Baron Max von Berger poczuł, że drżą mu dłonie i kręci mu się w głowie.

- Niech pan usiądzie i naleje mi tej pańskiej grappy - powiedział słabym głosem. Rossi natychmiast spełnił jego prośbę. Baron wypił i odzyskał głos. - Dlaczego pan tu przyjechał?

- Matka zmarła po długiej walce z rakiem. Pół roku temu byłem jeszcze kapitanem włoskiego lotnictwa. Latałem na tornadach. Zrezygnowałem, żeby mieć więcej czasu dla niej. Mieszkaliśmy z naszym wujem w Palermo, ale on umarł rok temu, więc została sama.

- Jednej rzeczy nie rozumiem. Dlaczego nosi pan nazwisko matki?

- Ponieważ nigdy nie wyszła za mąż. Kazała mi przysiąc, że przywiozę jej prochy panu, a ja oczywiście dotrzymałem słowa. - Wyjął paczkę papierosów. Von Berger skorzystał z okazji i też zapalił. To pomogło mu się uspokoić, choć jego ręce nadal drżały.

- Dlaczego mnie porzuciła? Czy wie pan coś o tym? - spytał.

- O tak, wiem. Bardzo pana kochała, ale też zdawała sobie sprawę z tego, że nigdy nie zapomni pan o swojej żonie. Znam całą tę straszną historię. Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, wróciła do Palermo. Nie chciała pana wiązać, stawiać pod ścianą. Wuj się nią opiekował. Tino Rossi. Był ważną postacią w mafii.

- Kiedy pan wszedł, nagle zdałem sobie sprawę, że jest w panu coś znajomego. Zupełnie, jakbym pana znał. Teraz doskonale rozumiem to uczucie, ale, pan wybaczy, trudno mi pojąć to wszystko tak od razu. Nie co dzień mężczyzna dowiaduje się, że ma syna. I nie co dzień dowiaduje się, że ma ojca, prawda?

- Owszem, ale dla mnie to nie jest wstrząs. Od dwudziestu lat wiem, czym jestem dzieckiem. - Rossi wstał. - Załatwię tu sobie pokój na noc, jutro rano przyniosę panu prochy matki, a potem wrócę do Włoch dowiedzieć się, czy siły powietrzne przypadkiem mnie nie potrzebują.

- Nie. Noc możesz spędzić w jednym tylko miejscu, na zamku Adler. Musimy porozmawiać. - Baron wstał, ruszył w kierunku drzwi. Syn poszedł za nim.

W zamkowej kaplicy było zimno, ale, jak zawsze, płonęły świece, a w powietrzu unosił się duszny zapach kadzidła. Baron osobiście przyniósł urnę z prochami Marii Rossi, by umieścić ją w rodzinnym grobowcu.

- Prochy Marii Rossi zostaną pogrzebane wraz z moją pierwszą żoną... - urwał i, nie do wiary, zaszlochał z głębi serca - ...i twoim bratem.

Marco Rossiego, faceta twardego, twardszego niż Max von Berger mógł wówczas przypuszczać, scena ta niesłychanie poruszyła. Objął ojca i przytulił go mocno.

- Wszystko w porządku, tato, wszystko w porządku. Nie bój się, jestem przy tobie. Na razie, w tej chwili, jestem przy tobie. Będziemy ją oplakiwali wspólnie. Uwierz mi, ona bardzo cię kochała. I wiele poświęciła dla tej miłości.

- Wiele musiała poświęcić... bo tak ją potraktowałem, byłem taki dumny... och, ta głupia,

siedemsetletnia duma von Bergerów!

- Hej - zaprotestował Marco. - Mnie chyba też to dotyczy. Nie pozwolę ci obrażać mojej rodziny!

Baron otarł oczy, zdołał się nawet uśmiechnąć.

- Masz rację. Chodźmy. Zjemy kolację, napijemy się, a przede wszystkim porozmawiamy.

Kilka godzin później zasiedli w wielkiej sali balowej zamku, przy kominku, w którym płonęły masywne polana. Lokaj podał im kawę i koniak.

- To nam wystarczy, Otto - powiedział baron. - Teraz poradzimy już sobie sami. Przygotowałeś wszystko na przyjęcie Herr Rossiego, prawda?

- Oczywiście, panie baronie. Apartamenty cesarskie są gotowe.

- Doskonale. Dobranoc.

Lokaj znikł w ciemnym holu, słychać było tylko echo jego oddalających się kroków.

- Jest jedna rzecz, od której muszę zacząć, a potem możemy już rozmawiać na każdy temat - przerwał ciszę Marco Rossi.

- Cóż to takiego?

- Wiesz już, że mój wuj, Tino Rossi, należał do mafii. Ale to nie wszystko. Był ważnym capo. Wiesz, co to znaczy?

- Oczywiście.

- Kiedy zmarł, mama odziedziczyła po nim bardzo okazały majątek, a po jej śmierci przeszedł on oczywiście na mnie. Nie chcę od ciebie pieniędzy, nie po to przyjechałem. Jestem tu, bo kochałem matkę i bardzo szanuję mojego ojca. Wiem o tobie wszystko. Byłeś wspaniałym żołnierzem, jesteś wspaniałym człowiekiem.

Von Berger zbył te komplementy machnięciem ręki.

- Opowiedz mi o sobie - poprosił.

- Wychowałem się w Palermo, to oczywiste. Ani matka, ani wuj nie chcieli, żebym dołączył do mafii, co było raczej trudne, bo należała do niej cała moja dalsza rodzina, kuzyni, z którymi się bawiłem, i koledzy.

- Biorąc pod uwagę to, jak rozprawiłeś się z pijanym Gleinem, życzenia rodziny nie zostały do końca spełnione.

- Za wiele czasu spędzałem na ulicach Palermo, a to dobra szkoła i trzeba szybko się uczyć. Otrzymałem gruntowne wykształcenie, najlepsze z możliwych, ale mafię mam we krwi. To coś w rodzaju arogancji. - Wyciągnął rękę z kieszeni.

Trzymał w niej kościany posążek Madonny. Przycisnął niewidoczny guzik i z posążka wyskoczyło lśniące ostrze noża. - Zawsze mam go przy sobie. Prezent od wujka. Na dziesiąte urodziny.

- A kiedy zacząłeś dorastać?

- Gdy skończyłem szesnaście lat, wysłano mnie na studia. Yale, ekonomia i biznes. Uczyłem się nieźle, mam talent do komputerów. Potem wróciłem do domu, zaciągnąłem się do wojska, zostałem pilotem i skończyłem zestrzelony za liniami serbskimi w Bośni.

- Nie było ci łatwo...

- Owszem, można tak powiedzieć.

- I chcesz wrócić do wojska?

- Dlaczego nie? Trzy miesiące po szkoleniu walczyłem na wojnie w Zatoce. Latałem nad Basrą. Potem, po paru latach, była Bośnia i Kosowo. Człowiek czuje się w takiej sytuacji szczególnie, nerwy ma napięte jak postronki. Lubię to. W tej chwili nie mam dziewczyny, nie

jestem z nikim związany. Odrobina napięcia i adrenaliny z pewnością mi nie zaszkodzi.

- To akurat potrafię zrozumieć. Nalej mi koniaku.

Marco spełnił prośbę, zapalił papierosa i spokojnie mówił dalej:

- Jak już wspomniałem, nie przyjechałem tu, by cię w jakikolwiek sposób wykorzystać. Ale... biorąc pod uwagę, kim jesteś, na twoim miejscu zażądałbym jednak testu DNA. - To chyba dobry pomysł. Przeprowadzimy test, ale tylko dlatego, że chcę cię legitymizować, zapewnić trwanie rodu. Oczywiście, że jesteś moim synem. Nie kwestionuję tego faktu. Wręcz przeciwnie, cieszę się nim. Kwestionuję natomiast twoją decyzję powrotu do sił powietrznych. To nonsens. Wyczerpałeś już limit szczęścia. Nadmiar szkodzi.

- Więc co mam robić?

- Zdobyłeś doskonałe wykształcenie, jesteś bohaterem wojennym, no i wygląda na to, że potrafisz być bezwzględny, gdy wymaga tego sytuacja. Uliczny wojownik.

- A co mój ojciec zrobił Ukraińcom, którzy zabili jego żonę i mojego przyrodniego brata? Pochodzę z długiej linii wojowników.

- Właśnie. I dlatego, gdybym miał wybór, życzyłbym sobie, byś pozostał przy mnie. Został moją prawą ręką. - Baron pokręcił głową. - Niech to diabli, w przyszłym roku kończę osiemdziesiąt lat. Mieć przy sobie syna byłoby dla mnie błogosławieństwem. Rozumiem, że jesteś bogaty...

Marco Rossi, przepełniony uczuciami, których doświadczał do tej pory wyłącznie w obecności matki, powiedział:

- Nie... proszę... - Przyklęknął na jedno kolano, ujął dłoń barona i ucałował ją. - Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, co to dla mnie znaczy... być synem człowieka takiego jak ty...

- Potrafię. - Baron Max von Berger położył rękę na głowie syna. - Przecież jestem ojcem mężczyzny takiego jak ty.

Marco Rossi doskonale pasował do nowej pracy, a nowa praca doskonale pasowała do Marco Rossiego. Począwszy od tego dnia, gdziekolwiek szedł baron, on był u jego boku. Wkrótce wszyscy wiedzieli, że Marco jest synem von Bergera.

Baron opowiedział mu o wszystkim: o bunkrze Fuhrera, o ostatniej rozmowie z wodzem, o źródłach swego niesłychanego bogactwa, nawet o dzienniku. Marco wiedział, gdzie jest ukryty: w skrytce w mauzoleum, za wiecznym ogniem płonącego znicza. Baron nigdy nie pozwolił synowi go przeczytać i tajemnica oferty złożonej przez Hitlera Rooseveltowi jednak nadal pozostawała tajemnicą.

Wyjaśnił synowi, na czym polegają jego wyjątkowe, specjalnie chronione związki z Rashid Investments. Nie krył, że Kate Rashid ocaliła mu życie i że zawarł z nią przymierze krwi. Wszystko to Marco przyjął ze spokojem... i zrozumiał.

A potem nadszedł ten straszny poranek. Baron był w Berlinie, mieszkał w zarezerwowanym na stałe apartamencie w Grand Hotelu i właśnie siadał do śniadania, kiedy pojawił się Marco i podał "Timesa".

- Sądzę, że powinieneś to przeczytać.

„Times” relacjonował na pierwszej stronie ostatni, tragiczny lot Kate Rashid. Max von Berger nieczęsto odczuwał tak wielki ból. Uderzył ręką w stół.

- Co się stało, na litość boską?! Była doskonałym pilotem!

- Tego nikt nie wie. Prawdopodobnie awaria silnika. Latałem tam z RAF-em, kiedy mieliśmy wspólne ćwiczenia w ramach NATO. Wystartowała z Dauncey Place. Znam ten odcinek wybrzeża. Sussex, mgły, bagna i do tego ta cholerna brytyjska pogoda. Z oficjalnych raportów wynika, że wyleciała o świcie, widoczność bliska zera i deszcz. Kontrola lotów

twierdzi, że krótko mieli jej samolot na radarze, znikł prawie od razu. Wybrzeże, jak widzisz, przeszukano. - Marco podszedł do baru, napełnił kieliszek koniakiem, przyniósł go ojcu. - Wypij - powiedział stanowczo i baron wypełnił to polecenie.

- Tak wiele jej zawdzięczam. Uratowała mi życie.

Marco nie przejmował się aż tak śmiercią tej kobiety, wręcz przeciwnie, był o nią niemal zazdrosny. Zapalił dwa papierosy, podał jednego ojcu.

- Samolot musiał spaść gdzieś blisko brzegu, a tam wszędzie jest raczej płytko. Znajdą ją i tego jej kuzyna, o którym wspomniałeś, Ruperta Daunceya.

- Pewnie masz rację. - Baron podał synowi kieliszek. - Jeszcze jeden koniak z pewnością dobrze mi zrobi.

Marco nalał ojcu koniaku, a gdy usiadł, spytał:

- I co teraz?

Aż do tej chwili Max von Berger nawet się nad tym nie zastanawiał.

- Zobowiązania umowy z Paulem Rashidem przeszły na Kate, a teraz, gdy ona nie żyje, na mnie. Przejmę kontrolę nad imperium Rashidów. - Odetchnął głęboko, to była doprawdy zdumiewająca sytuacja. Nigdy nie rozważał takiego obrotu spraw, wszyscy Rashidowie byli przecież o wiele młodszy od niego i cieszyli się doskonałym zdrowiem. - Jak najszybciej poinformujemy o wszystkim naszych ludzi w Genewie, Londynie oraz tu, w Niemczech. Kółka muszą przecież kręcić się nadal.

- Nie znaleźli jeszcze jej ciała. Zabierze im to trochę czasu. Potem trzeba będzie czekać na raport patologa, koroner przeprowadzi dochodzenie...

Stary człowiek, dziwnie spokojny, powiedział cicho:

- Tak, oczywiście, ale powinniśmy zacząć już teraz. Nie musimy dłużej utrzymywać tajemnicy. Porozmawiam z dyrektorami Rashid Investments w Nowym Jorku i Londynie, niech wiedzą, czego mają się spodziewać. Jestem pewien, że będą posłuszni. Nie mają innego wyjścia.

- A ja? Czego oczekujesz ode mnie?

- Och, dla ciebie zachowałem coś specjalnego. Przejmiesz ochronę wszystkich operacji Rashidów na całym świecie. To są potężne operacje, obejmują przede wszystkim kraje arabskie i Hazar. Chcę mieć pełny obraz sytuacji. Jak to się stało, że trzech braci zginęło niemal jednocześnie, a po nich moja Kate? Za wiele tego, żeby uwierzyć w przypadek.

- Skoro tak twierdzisz...

- Marco, jesteś geniuszem komputerowym. Dotrzesz do wszystkiego, co chcieliby przed nami ukryć. Dostaniesz wszelkie możliwe upoważnienia.

- Zaczniemy od Londynu?

- Chyba tak. Porozmawiam z ludźmi Rashidów najpierw tam, potem w Nowym Jorku. Przez ten czas albo ją znajdą, albo uznają za zmarłą.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Przygotuj lot gulfstreama na londyńskie Northolt.

- Załatwione.

Marco wyszedł, a baron von Berger pogrążył się w rozmyślaniach. Życie jest nieprzewidywalne, myślał, jedna podróż następuje po drugiej, kiedy się jej najmniej spodziewasz, a ta, powtarzał w myślach z ciężkim sercem, może zakończyć się w jednym tylko miejscu. Na cmentarzu wioski Dauncey.

LONDYN

Współcześnie Otworzyła się kościelna brama, nadjechał karawan. Baron i Marco Rossi

szli tuż za nim. Procesja sunęła przez cmentarz do rodzinnego grobowca Rashidów.

- Idziemy - powiedział Ferguson. - Chcę to zobaczyć.

Trumna stała przed ołtarzem, z na pół uchylonym wiekiem. Ludzie podchodzili do niej po kolei, modlili się za zmarłą, składali jej ostatnie ziemskie wyrazy szacunku. Twarz Kate była piękna, blada, spokojna. Baron zatrzymał się przy trumnie, sięgnął do kieszeni, wyjął z niej coś i położył na piersi zmarłej. Zrobił kilka kroków, dostrzegł Fergusona, zatrzymał się, obrzucił go przelotnym spojrzeniem i odszedł.

- A to co, do diabła? - zdziwił się Dillon.

Podeszli do trumny. Spojrzeli na Kate Rashid, która, dzięki sztuce przedsiębiorcy, wyglądała, jakby tylko zasnęła. Dillon nie czuł nic, a przynajmniej wmawiał sobie, że tak jest.

Baron zostawił w trumnie Kate Rashid medal, szkarłatny i czarny. Niemiecki Krzyż Rycerski. Z trudem oderwali od niego oczy.

- Bardzo interesujące - mruknął Ferguson. - Krzyż Rycerski z Liśćmi Dębowymi i Mieczami. W tej sprawie jest jeszcze coś, czego nie wiemy.

Ludzie rozeszli się, nikli w deszczu.

- Dokąd nas to prowadzi, Charles? - spytał Dillon.

- Do Dauncey Arms. Jak rozumiem, właśnie tam żałobnicy podjęci zostaną szampanem.

- Max von Berger także?

- Warto to sprawdzić - powiedział Ferguson i poprowadził ich do gospody.

Dauncey Arms wypełniała się powoli, do eleganckiej sali barowej wchodziło coraz więcej ludzi. Jak wszystko w tej wiosce, gospoda była stara, wysoki sufit podtrzymywały wiekowe, poczerńiałe krokwie, w granitowym kominku płonęły grube polana. Drewniane stoły stały w przegrodzonych dębowymi belkami łóżach. Blake usiadł przy stole wraz z Fergusonem, Dillon podszedł do baru, za którym królowała Betty Moody. Spojrzała na niego nieprzyjaźnie.

- Nie wiedziałam, że dostał pan zaproszenie, panie Dillon. Nie jest pan tu mile widziany.

- Nigdzie nie jestem mile widziany, Betty. - Dillon wypił kieliszek szampana, z rzędu, który stał na barze, wziął jeszcze trzy i wrócił do stolika. Podał kieliszki Fergusonowi i Blake'owi, uniósł swój, jakby wznosił toast.

Blake powiedział:

- Nawet pan tego nie wie, generale, ale niespełna dwadzieścia cztery godziny temu baron poprosił o spotkanie z prezydentem. Prezydent przyjął go w Gabinetcie Owalnym. Byłem przy tym. Baron poinformował go, że przejął kontrolę nad Rashid Investments oraz, co znacznie ważniejsze, nad Rashid Oil. To jedna trzecia produkcji całego Środkowego Wschodu. Chciał koncesji, a prezydent powiedział wyraźnie, że wcale mu się to nie podoba.

- Dlaczego? - zainteresował się Dillon.

- Ponieważ Berger handlował bronią z Irakiem. Nie powstrzymamy wydobycia ropy, światowe rynki za bardzo jej potrzebują, ale handel bronią to inna sprawa. Prezydentowi baron bardzo się nie spodobał.

- Jakie to smutne - westchnął Ferguson. - Z naszym premierem ma się zobaczyć jutro rano.

- I jaką dostanie odpowiedź? - spytał Dillon.

- Spodziewam się, że taką samą.

- Premier rozmawiał z panem na ten temat?

- Krótko, przez telefon. Poleciał mi stawić się na spotkaniu. - Ferguson wzruszył ramionami. - Sprawa jest przesądzona.

W tej chwili do baru weszli baron von Berger i Marco Rossi. Baron zatrzymał się przy

drzwiach, rozejrzał, zobaczył ich i natychmiast podszedł do stolika. Przemówił głosem głębokim, przyjemnym i uprzejmym, z ledwie słyszalnym niemieckim akcentem.

- Ach, pan Johnson? Miło znów pana zobaczyć.

- Baronie. - Blake nie pofatygował się, żeby wstać.

- Generale Ferguson. - Baron skinął głową, nadal niezwykle uprzejmy. - Nie mieliśmy przyjemności się spotkać.

- Ale będziemy mieli. Jutro na Downing Street.

- Doprawdy? - Max von Berger się uśmiechnął. - Czekam z niecierpliwością. Jest pan człowiekiem dobrze mi znanym... z opinii innych.

- Tak bywa.

Baron spojrzał na Seana.

- A to pan Dillon, jeśli się nie mylę? Niezwykły człowiek.

- Jezus, baronie - jęknął Dillon. - O co panu chodzi?

- O pańską głowę, oczywiście. Kate Rashid była moją drogą przyjaciółką. Raz ocaliła mi nawet życie. Więc, oczywiście, zadowolić się mogę tylko pańską głową.

- Zawsze może pan próbować - odpowiedział Dillon po niemiecku.

Wszyscy zamarli. Ciszę przerwał Ferguson.

- Na pańskim miejscu nie fatygowałbym się do Londynu, baronie.

- Gdziekolwiek przyjeżdżam, spodziewam się sukcesu. Zawsze, generale. Życzę panom miłego dnia.

Marco Rossi popatrzył na Dillona. Twarz miał nieruchomą, oczy czujne.

- Chodźmy, synu. Twój dzień jeszcze nadejdzie - uspokoił go ojciec.

Rossi uśmiechnął się z widoczną satysfakcją, odwrócił i ruszył za baronem.

- I co o tym sądzicie? - spytał Ferguson.

- Kate Rashid była jego serdeczną przyjaciółką, uratowała mu nawet życie, a on chce tylko mojej głowy? - Dillon wzruszył ramionami. - Wpadliśmy w kłopoty, Charles, bardzo poważne kłopoty.

- Obawiam się, że masz rację. - Ferguson spojrzał na Blake'a. - A ty? Masz coś do powiedzenia?

- Prezydent poprosił waszego premiera, bym mógł wziąć udział w jutrzejszym spotkaniu. Potem wracam do Waszyngtonu.

- Doskonale. Możemy lecieć do Londynu. A ty, Dillon? Masz dziś ostatni seans, prawda?

- W dupie mam takie seanse. - Sean Dillon uśmiechnął się do Blake'a. - Kazał mi poddać się psychoanalizie po moim ostatnim starciu z przyjaciółmi Rashidami. Najwyraźniej uważa mnie za szaleńca.

W tych słowach, choć rzuconych lekko, był gniew, który Blake natychmiast wyczuł.

- To rutyna, Sean, po prostu rutyna. Wiele przeszedłeś, zabijałeś nie raz, nie dwa...

- Naprawdę? Proszę, proszę, a ja byłem pewien, że zabiłem wszystkich. Ale mimo to muszę wrócić do Londynu, prosto w objęcia matki przełożonej.

- Jakiej matki przełożonej? - spytał zdziwiony Blake, gdy wychodzili z gospody.

- To jeden z gorszych żartów Dillona - wyjaśnił generał. - Spotyka się z moją przyjaciółką, czcigodną damą Haden-Taylor. To psychiatra, profesor i kapłanka Kościoła anglikańskiego. Ma gabinet na Harley Street, tuż przy kościele pod wezwaniem Świętego Pawła. Leczy albo tu, albo tu, w zależności od tego, ile masz pieniędzy.

- Rozumiem. To taka z niej sztuka.

- Dokładnie taka.

- Niech jej będzie - stwierdził filozoficznie Blake. - Są baby różnych kształtów i kolorów, a wszystkie w gruncie rzeczy jednakowe.

Baron i Marco Rossi siedzieli na tylnym siedzeniu rolls-royce'a.

- Cieszę się ze spotkania z Fergusonem i Dillonem - powiedział baron. - Teraz wiem, jak naprawdę wyglądają.

Wydruk komputerym brakuje ludzkiego wdzięku.

- Twardy facet, ten Irlandczyk-zauważył Rossi. - To, co znalazłem w ich komputerze, jest bardzo, ale to bardzo niepokojące. Nie mam wątpliwości, że zabił trzech braci Rashidów.

- No cóż, z tego co wiem, sami się o to prosili. - Von Berger pokręcił głową. - Zamach na życie Cazaleta, ten z Nantucket, był naprawdę kiepskim pomysłem. Taką rzecz można zrobić tylko wtedy, gdy ma się absolutną pewność sukcesu. Klęska ściąga nieszczęścia jak magnes.

- Ci irlandzcy najemnicy uchodzili za dobrych - zaprotestował Rossi.

- A Dillon z przyjaciółmi dobrze im dołożyli. - Baron wzruszył ramionami. - Ciągłe nie mamy jednak stuprocentowej pewności, że to Dillon jest odpowiedzialny za śmierć Kate. Chcę, żebyś nadal pracował nad dokumentami z komputerów Rashidów, znalazł dokładne informacje. Przecież tam musi coś być.

- Nie martw się, nie zmarnuję takiej szansy. Już znalazłem coś ważnego, nazwiska dwóch facetów, którzy pracowali bezpośrednio w ochronie Rashid Investments, pod rozkazami Ruperta Daunceya. Byli komandosi SAS, Newton i Cook. Z całą pewnością mieli obserwować Dillona.

- Wiesz, gdzie ich teraz znaleźć?

- Pracują dla trzeciorzędnej firmy ochroniarskiej. Spotykam się z nimi za kilka godzin, późnym popołudniem.

Baron zmarszczył czoło.

- Uważaj, Marco. Może powinieneś zabrać ze sobą paru silnych...

- Na tych dwóch? Po co? - Rossi uśmiechnął się zimno. - Na nich jestem wystarczająco silny.

- Wiele dla mnie znaczysz - powiedział baron po długiej chwili milczenia.

- Wiem.

- A ten Dillon jest groźny. Bardzo groźny. Zauważyłeś jego oczy? Są jak woda na kamieniach. Nie mają wyrazu.

- Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, skąd się wziął. Tyle lat w IRA, tyle morderstw, a Brytyjczycy nigdy nie zdołali położyć na nim łapy. - Marco uśmiechnął się. - Udało się dopiero Fergusonowi. Posłał go do Serbii, a potem, jakby to powiedzieć... ściągnął z powrotem. No i szantażem zmusił do współpracy.

- Co z plotką, jakoby w dziewięćdziesiątym pierwszym próbował rozwalić premiera wraz z całym Gabinetem Wojennym? Jest prawdziwa?

- O tak! Temu wyczynowi zawdzięcza bogactwo. Irakijczycy zapłacili mu fortunę. Ale pieniądze nic dla niego nie znaczą.

- To wojownik. Żołnierz. Taki jak ty, Marco.

- I taki jak pan, baronie.

- Kiedyś, przed wielu laty. - Stary mężczyzna uśmiechnął się do wspomnień. - A teraz daj mi papierosa i nie mów, że powinienem rzucić palenie.

Grenadier był pierwszorzędnym pubem, często odwiedzany i przez żołnierzy gwardii, wiktoriańskim w nastroju, z wielkim mahoniowym barem i przytulnymi łóżkami dla gości, którzy lubią tradycyjną brytyjską kuchnię. O tej porze, po południu, sprawiał wrażenie miejsca cichego i spokojnego. Marco Rossi, w mokrym płaszczu, z teczką, stanął w drzwiach, rozejrzał się,

rozpoznał Newtona i Cooka z wydruków komputerowych i natychmiast do nich podszedł.

- Rossi - przedstawił się.

Wyglądali tak, jak tego oczekiwał, wielcy czterdziestoparoletni faceci, niegdyś silni i sprawni, teraz porastający sadłem, w tanich garniturach. Przyjrzeni mu się uważnie, nie zdradzając żadnych emocji.

- Co możemy dla pana zrobić? Napije się pan? - spytał Cook.

Marco zdjął płaszcz. Kiwnął ręką w stronę baru.

- Duże martini na wódce i dwie duże szkockie. - Usiadł i powiedział bardzo poważnie, bez śladu uśmiechu: - Whisky bardzo wam się przyda, uwierzcie mi.

- Co to ma znaczyć? - spytał Newton.

- Zamknij się. Pracowaliście dla Ruperta Daunceya u Rashidów, a wylądowaliście w trzeciorzędnej firmie ochroniarskiej, tak gównianej, że nie potrafię nawet zapamiętać jej nazwy. Więc to ja zadaję pytania.

Cook spojrział spode łba, ale rozsądnie zachował milczenie.

- Dauncey rozkazał wam pochodzić za facetem o nazwisku Dillon. Sean Dillon. Chciałbym wiedzieć, dlaczego mieliście go śledzić.

- Dillon w tym siedzi? - zdziwił się Newton.

- A co, to dla was problem?

- Bo ten sukinsyn zabija ludzi! - Cook niemal krzyknął.

- I to was martwi?

- Zmartwiłoby każdego, kto ma choć odrobinę zdrowego rozsądku.

Rossi skinął głową.

- W porządku. A jak wam się podoba taki zdrowy rozsądek? - Postawił teczkę na stole. - Mam tu pięć tysięcy.

Łaziliście za Dillonem od chwili, gdy wrócił z Hazaru do Londynu. Jeśli chcecie dostać to, co tu mam, zaczynajcie gadać.

- Słyszeliśmy plotki - zaczął Newton. - Rashidowie mieli rozwalić most kolejowy w Hazarze. Dillon i ten jego kumpel spieprzyli im operację.

- Można wiedzieć, jaki kumpel?

- Billy Salter, znany gangster. Jego stryj, Harry, był przez lata jednym z najważniejszych szefów East Side. Podobno teraz jest już legalny. Ma firmę budowlaną i tereny na obu brzegach Tamizy. Strasznie się kochają z tym Dillonem.

- Rzeczywiście, na to wygląda.

- Problem w tym, że na zakończenie tej sprawy w Hazarze Rashidowie dorwali Billy'ego. Kate dostała szału. Strzelała do niego i na ogół trafiała. W plecy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Dillonowi się to nie spodobało?

- Nie spodobało. A pani hrabianka też nie była nim zachwycona. Dauncey powiedział nam, że mamy dorwać go w Londynie, wsadzić do wozu i wywieźć do Dauncey Place, gdzie będzie miał właściwą opiekę.

- Kiedy to było?

- W przeddzień jej krótkiego, nieszczęśliwego lotu.

Marco skinął głową.

- Niech zgadnę. Dillon był szybszy?

- Ano tak. - Cook wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, to sobie z nas drwił - dodał Newton. - Powiedział, co mamy przekazać

Daunceyowi. Że wkrótce się spotkają.

- A ty...

- A ja powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Nie to, żebym kochał albo nienawidził Daunceya. Po prostu pomyślałem, że poradzi sobie z kimś takim jak Dillon. Jeśli Dillon w ogóle się pojawi.

- Pojawił się wczesnym rankiem, kiedy Kate Rashid zamierzała odlecieć w siną dal, mam rację?

- Powiedziałbym, że tak.

- Nie przyszło wam do tych głupich łbów, żeby poinformować o wszystkim policję? Kiedy już dowiedzieliście się o kraksie?

- Żartuje pan? - Newton omal się nie uśmiechnął. - Cokolwiek tam się stało, to było coś, w co nie chcieliśmy się mieszać.

- W porządku. Co jeszcze macie mi do powiedzenia?

- Nic więcej.

Marco Rossi podsunął im teczkę pod nos.

- Jest wasza - rzucił. Wstał, włożył płaszcz. - W poniedziałek o dziewiątej macie zgłosić się do Działu Ochrony Rashid Investments. Spytajcie o Taylora. Uprzedzę go, że przyjdziecie.

Newton spojrział niepewnie na Cooka. Obaj nie wiedzieli, co ma znaczyć ta propozycja.

- No nie wiem. To znaczy, chodzi o Dillona...

- Dillona zostawcie mnie. Ale... skoro wolicie pracę bramkarzy w trzeciorzędym nocnym klubie, to proszę bardzo.

Newton zerwał się na równe nogi.

- Nie, nie, oczywiście, że jesteśmy z panem, panie Rossi.

A więc miał ich. Bardzo mu to odpowiadało.

- Prawdę mówiąc, moglibyście zwolnić się już teraz i wyświadczyć mi przysługę. Dillon ma domek w Stable Mews.

Newton znów zerknął na Cooka.

- Wiemy o tym - przyznał.

- Obserwujcie go, ale ostrożnie, z daleka. Chcę wiedzieć, co się tam będzie działo. Jeśli gdzieś pojedzie, jedźcie za nim. - Marco wyjął z kieszeni wizytówkę. - Tu jest numer mojej komórki. Jeśli zobaczycie coś interesującego, natychmiast do mnie dzwońcie.

Nie minęło piętnaście minut od ich przybycia do Stable Mews, gdy Newton i Cook zobaczyli Dillona, wyjeżdżającego z garażu mini cooperem. Pojechali za nim. Po kolejnych dwudziestu minutach znaleźli się na Harley Street. Dillon zaparkował, wszedł po kilku schodkach do drzwi wyposażonych w mosiężną kołatkę, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

- Sprawdź adres - powiedział Newton, otwierając drzwiczki. Zerknął na wizytówkę na drzwiach, skrzywił się, wrócił do samochodu i zadzwonił do Rossiego.

- Na drzwiach jest napisane: profesor wielebna Susan Haden-Taylor, psychiatra kliniczny.

- Ciągle jest w środku?

- Tak.

- Już jadę.

W chwilę później Dillon wyszedł, ale nie wrócił do samochodu. Ruszył ulicą, skręcił za róg, przeszedł na drugą stronę i wszedł do kościoła. Newton obserwował go uważnie, zawahał się, ale w końcu poszedł za nim. Zadzwonił do Marco Rossiego, złapał go już w samochodzie.

- Skręcił za róg, do kościoła Świętego Pawła. Ciekawe, ale nazwisko pastora na tablicy

ogłoszeń jest takie samo jak tej lekarki.

- Jestem za kilka minut - rzucił Rossi i przerwał rozmowę.

Co, do diabła, knuje Dillon?

Wiktoriański kościół czuć było stęchlizną, topiącą się parafiną i kadzidłem. Wydawał się groźny i tajemniczy, zapewne przez to, że pogrążony był w mroku, z wyjątkiem ołtarza, oświetlonego chybottliwym blaskiem świec, i stojącej po jego prawej stronie figury Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Jednym słowem, był to typowy, staroświecki, tradycyjny kościół wyznania anglikańskiego. Dillonowi zawsze przypominał jednak dzieciństwo, otaczający go wówczas ze wszystkich stron katolicyzm i jezuitów, których był wychowankiem.

„Pamiętaj, mały, kiedy łamiesz jedno przykazanie, łamiesz je wszystkie. Po drobnych uczynkach poznacie ich”. Ile już razy te słowa pomagały mu przeżyć? Przecież w ostatecznym rozrachunku oznacza jedno: nikomu nie wolno ufać.

Drzwi do zakrystii były zamknięte. Dillon wsłuchiwał się przez chwilę w dobiegający zza nich cichy szmer głosów, westchnął, cofnął się w głąb kościoła i usiadł w ławce. Przypomniał sobie Kate Rashid. Zaliczyłeś dwa kościoły jednego dnia, pomyślał. Uważaj, bo ci to wejdzie w nałóg.

Marco Rossi wślizgnął się do środka, cicho jak duch. Dostrzegł Dillona, jak duch znikł w mroku bocznej nawy i przysiadł na wiklinowym krzeselku za kolumną.

Czekali dość długo, lecz drzwi zakrystii w końcu się otworzyły. Pojawiła się w nich zapłakana młoda dziewczyna w towarzystwie profesor Susan Haden-Taylor, spokojnej, sprawiającej wrażenie godnej zaufania, przyjemnej kobiety z koloratką na szyi, ubranej w sutannę. Objęła dziewczynę dźwigającą ciężką torbę.

- Idź już, Mary. Czekają na mnie. Pamiętaj, hospicjum Świętego Pawła na Sloan Street. Możesz tam zostać, jak długo zechcesz. Razem jakoś się z tym uporamy. Niech cię Bóg błogosławi.

- I niech błogosławi cię, wielebna.

Dziewczyna wyszła. Profesor Haden-Taylor nie zauważyła Dillona siedzącego w mroku po drugiej stronie przejścia. Chwyciła szczotkę, podeszła do ołtarza i zaczęła zamiatać podłogę.

- Jesteś osobą konsekwentną - powiedział cicho Sean Dillon. - Pocieszasz słabych, a potem czyścisz posadzkę z krwi.

Susan Haden-Taylor odwróciła się szybko. Wiedziała, kto wypowiedział te słowa.

- Siedemnaście lat, Sean. Ta dziewczyna ma siedemnaście lat, za to nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc. I nie, nie jest słaba. Dziś rozpoznano u niej raka piersi.

- A niech to diabli! Ktoś powinien zamknąć mi ten wielki dziób!

- Taka już twoja natura - stwierdziła kobieta spokojnie.

- Boże, fatalnie się czuję. Czy mogę jakoś pomóc? Wypisać czek?

- Przecież to dla ciebie nic, Sean. Jesteś bogatym człowiekiem. Dobrze płacą ci za zło, które wyrządzasz ludziom.

Próbowałeś zabić premiera... - Pani profesor obdarzyła go jasnym, wręcz anielskim uśmiechem. - Ale czek chętnie przyjmę. W hospicjum trzeba wyremontować centralne ogrzewanie i wykonać naprawy hydrauliczne w kuchni.

- Twarda z ciebie baba, ale niech będzie.

- Doskonale.

Pani profesor usiadła w ławce dwa rzędy przed nim. Spojrzała mu w oczy.

- Tylko nie myśl, że czek pomoże twojej nieśmiertelnej duszy. Nie ma tak dobrze. Możesz zapalić, jeśli chcesz. Pan Bóg nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Przyzwoity z niego staruch. - Dillon rzeczywiście za palił papierosa. - A teraz co? Ostatnia sesja? Tak przynajmniej twierdził Ferguson. Mam wrażenie, że doskonale się zamaskowałem.

- Chcę, żebyś spróbował jeszcze raz.

- Dlaczego?

- To się nazywa katharsis, Sean. Wylejesz jad z duszy, co tylko wyjdzie ci na dobre. Stawisz czoło temu, co próbujesz od siebie odsunąć.

- Długim latom w IRA? Wszystkim tym morderstwom? Żartujesz?

- W porządku. Ograniczmy się do Rashidów. Zabiłeś wszystkich trzech?

- Próbowali zabić mnie.

- Zrujnowałeś plany Kate Rashid, a ona próbowała zabić Billy'ego Saltera. Wróciłeś do Londynu wściekły, a ona próbowała cię porwać.

- Wiesz wszystko.

- Ale chciałabym usłyszeć to jeszcze raz. Z twoich ust.

- W porządku. Tym facetom, których dopadłem, kiedy za mną łazili, kazałem zawiadomić Ruperta Daunceya, że spotkam się z nim wczesnym rankiem w Dauncey Place.

- Jak się wtedy czuleś?

- Jakby to powiedzieć... Uzbroidłem się po zęby, no i wyjechałem z Londynu. Nie z rozkazu Fergusona, żadne takie.

Sam to wszystko wymyśliłem. - Zapalił kolejnego papierosa, myślami odpłynął w przeszłość. - Lubilem Kate Rashid, zawsze ją lubilem, ale to była wściekła baba, odpowiedzialna za zbyt wiele rozlanej krwi, a Billy stał się kroplą przepełniającą czarę. - Zapomniał, gdzie się znajduje, cały pogrążył się we wspomnieniach. - Zawsze wmawiałem sobie, że IRA, że wszystkie te zbrodnie zrodziły się z tego, że mój ojciec zginął przypadkowo w wymianie ognia między Provo a brytyjskimi spadochroniarzami, w Belfaście, ale tego dnia w samochodzie, jadąc przez mrok i deszcz, przypomniałem sobie, co pisał mój ulubiony filozof, Heidegger. Warunkiem prawdziwego życia jest intelektualna konfrontacja ze śmiercią. Więc może... może... uprawiałem grę szaleńca, wyzywałem ją? Każdy psychiatra wart swojego tytułu domyśliłby się tego w pięć minut!

- A ty w to wierzysz?

Dillon się uśmiechnął.

- Nie. Choć można w ten sposób bawić się w wyjaśnianie motywów.

- A co zdarzyło się w domu?

- Przecież już ci mówiłem. Dałem szansę Rupertowi. Dlaczego? Sądzę, że tego ranka byłem odrobinę szalony. Pragnąłem śmierci. Dotarłem do granic szaleństwa, ale ona je przekroczyła. Na prywatnym pasie startowym Rashidów czekał jej black eagle. Rupert skrzepował mi ręce, wsiedliśmy do maszyny, wystartowaliśmy. Nie ukrywała, że wylecę bez spadochronu na tysiąc metrów. W bucie ukryłem nóż. Przeciąłem nim więzy.

- I?

- Rupert otworzył właz. W kaburze przy kostce schowałem colta. Potrafię zabezpieczyć się na każdą ewentualność. Przestrzeliłem mu głowę. Poleciał zamiast mnie.

- A dziewczyna?

- Nie wytrzymała. Krzyknęła, że oboje pójdziemy do piekła. Black eagle ma kluczyk do stacyjki, jak samochód. Wyłączyła silniki, a kluczyk wyrzuciła przez okno. Przejąłem stery, udało mi się wylądować na morzu, lotem ślizgowym. Na nieszczęście i jej przychodziły do głowy różne pomysły. Wyjęła z torebki pistolet, próbowała mnie zastrzelić. Koniec końców

wyskoczyłem z pontonem, a ona utonęła z samolotem. - Dillon wzruszył ramionami. - I po co ci ta opowieść? Przecież i tak wszystko wiesz.

- Czy teraz czujesz się inaczej? Lepiej?

- Gdzie tam!

- Potrafisz określić, co w tym wszystkim było dla ciebie najgorsze?

Dillon zastanawiał się przez chwilę.

- Dwie sprawy - odpowiedział w końcu. - Pamiętam, jak fala niosła mnie na Sussex Bore, z szaloną szybkością, w gumowej łodzi. To po pierwsze. Po drugie, zniosła tam także ciało Daunceya, wprost na bagna. Obaj dotarliśmy na stały ląd przy starym, zapomnianym moło w Marsham.

- To wtedy zadzwoniłeś do Fergusonona?

- Miałem przy sobie komórkę. Opowiedziałem mu o wszystkim.

- Co zrobił?

- Przyjechał z Londynu z ekipą czyścicieli. Przez trzy godziny siedziałem pod moło, deszcz kapał mi na łeb... i czekałem.

- Czyściciele?

- Z krematorium w północnym Londynie. Od czasu do czasu korzystamy z ich usług. Rupert Dauncey bardzo szybko zmienił się w cztery kilogramy szarego popiołu.

- Zrobiło ci to jakąś różnicę?

- Szczerze mówiąc, nie. Był odpowiedzialny za to i owo, ale śmierć młodej córki przyjaciela całkowicie go pogrzyżyła.

- A Kate Rashid?

- Kiedy lądowaliśmy na morzu, obserwowałem GPS, więc wiedziałem, gdzie jest. Ferguson zlecił robotę specjalnemu oddziałowi nurków Marynarki Królewskiej. Popłynęliśmy tam starym kutrem rybackim.

- Postanowiłeś im towarzyszyć?

- Owszem. Znalazłem ją w kabinie, na trzydziestu metrach.

- Widziałeś Kate?

- Wyciągnąłem ją. Wypływałem, holując jej ciało przywiązane do liny. Z trzydziestu metrów wypływa się dość długo.

- To musiało być bardzo interesujące doświadczenie.

- Rzeczywiście, można tak powiedzieć. - Dillon zapalił kolejnego papierosa. - A teraz, kiedy już się wypowiadałem, kiedy przeżyłem wszystko jeszcze raz, powiedz, czy mi to pomogło? Nie czuję, bym przeszedł... jak to nazwałaś?... Katharsis. Czy to czyni ze mnie szaleńca? Jesteś pewna?

Profesor Haden-Taylor odpowiedziała spokojnie:

- Znam takie powiedzenie: "Istnieją ci niebojący się gwałtu, chętni do rozwiązywania problemów, których zwykli ludzie rozwiązać nie potrafią. Nazywamy ich żołnierzami".

- Znam je. Nie mogłaś powiedzieć mi większego komplementu. Jeśli to wszystko, pozwolisz, że teraz zajmę się swoimi sprawami. Dzięki, kochanie.

- Uważaj na siebie, Dillon.

Sean Dillon wstał, ale słysząc te słowa, przystanął i odwrócił się.

- Słuchaj, od czasu do czasu mam taki sen: nurkuję do samolotu, docieram do niego, zaglądam do kabiny... a jej tam nie ma. Jak sądzisz, czy to może coś oznaczać?

- Może, oczywiście, że może. - Pani profesor pokręciła głową. - Nieszczęsny chłopcze, mimo wszystko dobry z ciebie człowiek. A jednak jesteś, kim jesteś.

- Potrafisz mnie pocieszyć.
- Musisz mieć oczy dookoła głowy, przyjacielu. Czy nie tak mówią w Belfaście?

Dillon odszedł. Profesor Haden-Taylor uklękła przed ołtarzem do modlitwy. Marco Rossi cicho wyszedł z kościoła.

Baron zamieszkał w domu Rashidów przy South Audley Street, niedaleko Park Lane. Siedział przy kominku w gregoriańskim pokoju gościnnym, słuchając uważnie. Kiedy Marco skończył relację, odetchnął głęboko.

- Nalej mi koniaku - polecił. - Podejrzywałem, że tak to mogło wyglądać, ale mimo wszystko... jestem poruszony.

Syn podał mu kieliszek, poczęstował go także cygarem ze srebrnego etui.

- Co robimy? - spytał.

- Na razie nic. Najpierw sprawdzimy, co ma nam do powiedzenia premier.

- A potem?

- Marco, nie znałeś Kate Rashid. Poznałem ją, nim wszedłeś w moje życie, poza tym nasze wspólne interesy z samej swej natury musiały być trzymane w tajemnicy, ale jedno mogę ci powiedzieć z całą pewnością: to, że możemy tak sobie przyjaźnie gawędzić przy kieliszku, zawdzięczamy tylko jej. Za tę przysługę mogę odplacić wyłącznie w jeden sposób: osiągnąć to, czego nie udało się osiągnąć Kate.

Syn spojrział na niego zdumiony.

- Co? Chodzi ci o... o Cazaleta?

- Och, oczywiście mam w planach także podarunek dla prezydenta, ale z tym nie musimy się spieszyć. Pierwsi na liście są Ferguson i Dillon. Tak, najpierw wypada policzyć się z nimi. Jestem pewien, że poradzisz z tym sobie bez problemu, Marco. Nie myślę się chyba, prawda?

Następnego dnia rano, gdy tylko przybyli na Downing Street, barona i Marco Rossiego wprowadzono do pokoju recepcyjnego, w którym czekali już na nich Ferguson i Blake Johnson, stojąc po prawicy i lewicy premiera zajmującego, jak zwykle, fotel stojący pośrodku.

- Baronie - powiedział premier - proszę, niech pan usiądzie. Nie zajmie nam to wiele czasu.

Max von Berger usiadł. Marco stanął za jego plecami.

- Doceniam pańską szczerłość. W czym problem, panie premierze?

- Berger International od lat przysparza nam kłopotów. Na przykład nie możemy zaakceptować pańskich transakcji z Irakiem.

- Wolny rynek, panie premierze.

- W handlu bronią nie ma "wolnego rynku". Dowiedzieliśmy się właśnie o pańskich związkach z Rashidami i kontroli, którą sprawuje pan nad wydobywaniem ropy naftowej. To niedopuszczalne, zwłaszcza w kontekście terroryzmu, Środkowego Wschodu i krajów Półwyspu Arabskiego. Będę szczerzy, mój rząd zamierza utrudniać panu życie najskuteczniej, jak potrafi.

Baron wstał.

- Doskonale - powiedział. - Teraz wiemy przynajmniej, na czym stoimy. Rzyczę panu miłego dnia, panie premierze. - Z tymi słowami wyszedł z sali, a za nim jak cień podążał Marco Rossi.

Premier spojrział na Fergusona.

- Niech go pan ma na oku, generale - polecił. - Nie ufam temu człowiekowi. Ani trochę.

Rolls-royce nie odjechał spod domu numer dziesięć na Downing Street. Przy jego otwartych drzwiczkach czekał baron. Marco Rossi stał jak zwykle u jego boku.

- Ma pan nam coś jeszcze do powiedzenia, baronie?

- Niech pan nie wzywa ekipy czyszcicieli, generale. Nic to Panu nie da. Nie jestem Rupertem Daunceyem.

- Ojej, jaka szkoda, że nie mam pojęcia, o co panu chodzi - odparł zaskoczony generał Ferguson.

- Proszę nie zaprzeczać. Wiem wszystko.

- A co to niby ma znaczyć?

- To, że w imieniu mojej drogiej przyjaciółki Kate Rashid ogłaszam dżihad. Niech pan łaskawie przekaże moje słowa Dillonowi i reszcie pańskich przyjaciół.

Baron wsiadł do samochodu, Rossi zamknął za nim drzwiczki, usiadł za kierownicą i rolls-royce powoli odjechał.

- Żeby zacytować naszego nader wojowniczego przyjaciela, teraz przynajmniej wiemy, na czym stoimy, Charlie. - Blake pożegnał się ze wszystkimi. - Do zobaczenia.

Ferguson podszedł do daimlera, kierowca uprzejmie otworzył mu drzwiczki. Z tyłu siedział Dillon. Generał wsiadł, wyjął telefon komórkowy, wystukał numer. Odebrano natychmiast.

- Roper, tu Ferguson. Przyjedź zaraz pod Tajemniczego Człowieka z informacjami, które zebrałeś o von Bergerze. Mamy problemy.

- Sean będzie z tobą?

- Tak.

- Już jadę.

Samochód ruszył. Po chwili milczenia Dillon spytał:

- No i co?

- Nasz premier mocno go przydepnął. Von Berger nie ma szans na żadną współpracę z rządem. Będą mu szkodzili na wszystkie możliwe sposoby.

- Jak to przyjął?

- Wypowiedział nam wszystkim dżihad. Ku czci świętej pamięci Kate Rashid. Zapowiedział także, że nie jest kandydatem dla naszych czyszcicieli.

- Interesujące.

- On wie wszystko, Dillon. Jeden Bóg wie skąd, ale on wie wszystko. Jestem przekonany, że czas najwyższy zwołać radę wojenną.

- Rzeczywiście, to ma ręce i nogi. - Dillon zapalił papierosa. - Wróciły stare, dobre czasy - westchnął.

Wlekli się w zwykłych w Londynie, upiornych korkach. Dillon miał czas pomyśleć o von Bergerze i o tym, co się z nim wiązało. Tymczasem limuzyna skręciła w długą, wąską alejkę prowadzącą pomiędzy magazynami, którą dojechała na nabrzeże. Zaparkowali przy Tajemniczym Człowieku, pubie Saltera, na którego szyldzie widniała postać groźnie wyglądającego mężczyzny w długim czarnym płaszczu.

Główna sala barowa była bardzo wiktoriańska: lustra, mahoniowy bar, porcelanowe krany do piwa. Dora, barmanka, siedziała na wysokim stołku, czytając "Evening Standard".

Pub był prawie pusty, tylko jedną łóżę zajmowało pięciu mężczyzn. Byli to: Harry Salter, jego bratanek Billy, bramkarze Joe Baxter i Sam Hali oraz, na wózku inwalidzkim, major Roper.

Harry Salter podniósł głowę i przyjrzał się wchodzącym.

- Witam cię, Dillon, ty irlandzki sukinsynu. I pana też, generale. Co się dzieje?

- Dużo się dzieje, Harry. - Ferguson wcisnął się do łóży. - Mamy problemy i dotyczą one nas wszystkich. Co u ciebie, Roper?

Mężczyzna siedzący na wyjątkowo wymyślnym, niezwykle nowoczesnym wózku

inwalidzkim uśmiechnął się. Ubrany był w dwurzędową marynarkę z szerokimi klapami, włosy nosił długie, opadające na ramiona, twarz miał zniekształconą, pokrytą bliznami po poparzeniach. Świetną karierę sapera, eksperta Królewskich Wojsk Inżynieryjnych, kawalera Krzyża św. Jerzego, zakończyła, jak sam ją nazywał, głupia mała bombka, czyli samochód-pułapka w Belfaście.

Major Roper przeżył i odkrył w sobie niezwykle talent, który zapewnił mu nową karierę: świetnie znał się na komputerach. Jeśli ktoś chciał coś odnaleźć w cyberprzestrzeni, zwracał się do Ropera.

- Wszystko w najlepszym porządku, panie generale - odpowiedział major.

- I masz dane, o które prosiłem?

- Mam.

- Doskonale.

- Hej, o co chodzi? - zainteresował się Harry Salter.

- Dillon, zajmij się drinkami - polecił Ferguson - a ja tymczasem wszystko im opowiem.

Salter wysłuchał wyjaśnień, po czym powiedział:

- A więc chodzi o Kate Rashid? Miała zamiar nas załatwić, a teraz jej misję przejął ten stary dziwak?

Do stojącego przy barze Dillona podszedł Billy.

- Co o tym sądzisz? - spytał.

- To bardzo poważna sprawa.

- No cóż, załatwialiśmy już poważne sprawy.

- Owszem. Przy tych okazjach zarobiłeś kulę w szyję, szesnaście szwów na twarzy i dwie kule w biodro.

- Dillon, jestem już w pełni sprawny. Codziennie pracuję z fizykoterapeutą.

- Billy, kiedyś, dwukrotnie, skakałeś dla mnie ze stu metrów. Ta zabawa już się dla ciebie skończyła.

- Ale na ulicy nadal jestem dobry.

- Zobaczymy, młodszy braciszku.

Ferguson skończył mówić. Harry Salter nie bawił się w gładkie słówka.

- Cholerny z niego sukinsyn. Tak samo wściekły jak ten babsztyl.

- Na to wygląda. A ty co o tym sądzisz, Roper?

- Hm... połączenie Berger International i Rashid Investments stworzyło jedną z najpotężniejszych korporacji na świecie. Powiedziałbym, że to apoteoza kapitalizmu, ale nie chcę odgrywać marksisty.

Ferguson skinął głową.

- Wszystko to przypomina kiepską powieść. - Generał zwrócił się do Harry'ego Saltera. - Miałem cholernie ciężki ranek, Harry. Czy mógłbym poprosić o twoją słynną babkę pasterską i równie słynne kiepskie czerwone wino? Potrzeba mi pociechy cielesnej.

W gabinecie domu Rashidów na South Audley Street siedzieli baron i Marco Rossi.

- Masz jakiś plan? - spytał Marco.

- Zaczniemy od akcji przeciw pionkom. Tym gangsterom, Salterom.

- Coś wymyślę. Na moje polecenie Newton i Cook obserwują dom Dillona.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Nie, tylko chcę mieć na niego oko, sprawdzić, gdzie chodzi i do kogo. Dałem Newtonowi adresy tych, z którymi spotyka się regularnie, a także ich zdjęcia z komputera.

- A skąd je wzięłeś?

- Z komputera stojącego w tym domu, w gabinecie. Jest w nim mnóstwo informacji, w tym szczegóły różnych planów i operacji, które rozpoczęła Kate Rashid.

- Interesy?

- Coś w tym rodzaju.

- Tę sprawę na razie pozostawiam tobie, Marco. Połączenie dwóch konsorcjów zapewnia mi wystarczająco dużo pracy. Po prostu informuj mnie, co się dzieje.

- Oczywiście, ojciec - zapewnił Marco i wyszedł.

Rankiem następnego dnia "rada wojenna" zgromadziła się w mieszkaniu Ropera na Regency Square. Mieszkanie znajdowało się na parterze, miało osobne wejście i pochylnię, po której mógł wjechać wózek. Roper twierdził, że nie potrzebuje pomocy, sam sobie ze wszystkim poradzi; całe mieszkanie wraz z kuchnią dostosowane było do potrzeb niemogącego chodzić kaleki.

Duży pokój zmieniony został w profesjonalną pracownię komputerową, w której znajdowały się nawet maszyny ściśle tajne, głównie dlatego, że tak się podobało Charlesowi Fergusonowi. Po tragicznym wypadku w Belfaście i powrocie do zdrowia Roper szybko stał się legendą wśród komputerowców. Włamywał się do systemów na całym świecie od Moskwy po Waszyngton. Swoją przydatność udowodnił Fergusonowi i premierowi przy niejednej okazji.

Jako pierwszy pojawił się Sean Dillon. Zaparkował mini coopera, zadzwonił do drzwi. Chrypliwy głos z głośnika zapytał:

- Kto tam?

- Sean, idioto. Wpuszczaj, dobra?

Drzwi się otworzyły. Dillon wszedł do mieszkania, bezbłędnie trafił do dużego pokoju, poszedł do barku i natychmiast nalał sobie whisky.

- Paddy? Jakby nie patrzeć, to nie Bushmills, ale i tak gust ci się poprawił.

- Jestem na rencie, Dillon. Jeśli weźmiemy pod uwagę, jak skrupulatnie liczy wydatki Ministerstwo Obrony, należy uznać za szczęście, że w ogóle stać mnie na whisky.

- Zawsze możesz sprzedać medale. Krzyż Wojskowy nie wiele ci przyniesie, ale za Krzyż Świętego Jerzego mógłbyś pożyć w luksusie długi czas.

- Dowcipny jak zawsze. - Roper uśmiechnął się z trudem; niełatwo jest zmienić wyraz poszarpanej ranami, spalonej twarzy.

- Tylko nie zacznij się nad sobą użalać. Ferguson mówił, że coś znalazłeś.

- Owszem, ale poczekamy na niego. - W tym momencie zadzwonił dzwonek przy drzwiach. - O, są! - ucieszył się Roper i otworzył drzwi przyciskiem na konsolce. Do pokoju wszedł Ferguson w towarzystwie kobiety tuż po czterdziestce, rudej, ubranej w kostium od Armaniego. Wyglądała na wyższego menedżera dużej korporacji, w rzeczywistości była jednak asystentką generała, wypożyczoną mu przez Wydział Specjalny. Nazywała się Hannah Bernstein, miała magisterium z psychologii z Oksfordu, ale na służbie zabijała, i to wielokrotnie.

- Ach, jesteś, Dillon. Możemy przejść do rzeczy. Co masz dla nas, majorze?

- Chciałeś, żebym przyjrzał się von Bergerowi, zebrał o nim wszystkie dostępne informacje, ze szczególnym uwzględnieniem tego, w jaki sposób przejął Rashidów, prawda? No więc, rzeczywiście, znalazłem coś interesującego. Kilka lat temu dał Rashidom dwa miliardy na prace na polach naftowych w Hazarze i na pustyni Ar-Rub al-Chali.

Zapadła pełna zdumienia cisza, którą przerwała Bernstein:

- A skąd on, do diabła, wytrzasnął taką forszę?

- Szwajcarskie banki. Mój nos mówi mi, że coś tu jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

- Pozwolicie, że zgadnę? - spytał Dillon. - Wpadliśmy na trop złota nazistów.

- Nie tylko, nie tylko - mówił dalej Roper. - Kolejna historia pochodzi ze źródeł wywiadu Izraela. Von Berger był w Bagdadzie. Widział się z Saddamem, rozmawiali pewnie o dostawie broni. Na jednej z uliczek starego miasta zaatakował go tłum. Już mieli naszego barona zlinczować, kiedy na scenie pojawiła się Kate z Beduinami, wymachując pistoletem. No i go uratowała.

- Teraz rozumiem - przerwał mu Dillon.

- Ponieważ nie byłem w stanie zasnąć, nawet o wpół do trzeciej nad ranem, co, nawiasem mówiąc, zdarza mi się coraz częściej, zdecydowałem się cofnąć w poszukiwaniach. Wszyscy znacie opowieść o tym, jak von Berger uciekł z Berlina storchem, który był akurat na miejscu jako samolot zastępczy, na wypadek, gdyby coś stało się z arado von Greima. Amerykanom i Brytyjczykom baron opowiedział tę samą bajeczkę. Wynikało z niej, że umie korzystać z okazji. Wiedział, że samolot ukryto w garażu Goebbelsa, przejął go i fru... tyle go widzieli!

- Ale ty tego nie kupiłeś? - Dillon bardzo uważnie śledził opowieść majora.

- Nie, nie kupiłem. Za piękne to, żeby było prawdziwe. Sprawdziłem więc w komputerach bunkier Fiihrera. Najpierw wszedłem do archiwów, gdzie są protokoły z przesłuchań pana barona, a potem zalogowałem się do Uniwersytetu Berlińskiego, gdzie mają sporo o bunkrze, o jego mieszkańcach, tych, co zginęli, znikli lub wiali, próbując, na ogół na próżno, uniknąć złapania przez Rosjan. Ucieczkę von Bergera przygotowano bardzo starannie. I długo planowano.

- Dokąd nas to prowadzi? - spytała Bernstein.

- Dane są systematycznie uaktualniane. Chcecie wiedzieć, ilu ludzi z bunkra Fiihrera nadal żyje?

- Oprócz osiemdziesięcioletniego pana barona? - prychnął Ferguson.

- Tak. Zaraz... jak by się wam spodobała niejaka Sara Hesser ze służb pomocniczych SS, która była sekretarką Hitlera w ciągu tych ostatnich, decydujących sześciu miesięcy w bunkrze? W kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku miała dwadzieścia dwa lata, więc dziś ma siedemdziesiąt dziewięć.

- Jezu! - westchnął Dillon.

- Wygląda na to, że do czegoś zmierzasz... - odezwał się cicho Ferguson.

- Owszem, można tak powiedzieć. Nadeszła ostateczna klęska, wszyscy uciekali z bunkra, gdzie pieprz rośnie, a jej jakimś cudem udało się odnaleźć właściwą drogę w labiryncie podziemnych tuneli i dotarła na zachód. Dostali ją Brytyjczycy, przesłuchali w Monachium i wypuścili. W czterdziestym piątym spotkała brytyjskiego kapitana, niejakiego George'a Granta, służącego w armii okupacyjnej. Dwa lata później wzięli ślub.

- I co dalej? - spytała Bernstein.

- Przyjechała do Anglii. Jej mąż był prawnikiem. Nie mieli dzieci. Jeśli wierzyć zeznaniom, Rosjanie dopuścili się na niej zbiorowego gwałtu.

- Mój Boże! - westchnęła kobieta. - Co robi teraz?

- Jej mąż zmarł na raka pięć lat temu. Ona sama mieszka w Wapping, nad Tamizą, na Brickfield Lane, pod numerem dwadzieścia trzy. Z tego - Roper postukał w monitor - można się wiele dowiedzieć. Ma dwupiętrowy dom w doskonałym miejscu, który kupili z mężem czterdzieści pięć lat temu. Biorąc pod uwagę dzisiejsze ceny nieruchomości w Londynie, wart jest jakieś dziewięćset tysięcy.

- Muszę się napić. - Dillon nalał sobie kolejną szklaneczkę irlandzkiej whisky.

- Twierdzisz - powiedział z namysłem Ferguson - że namierzyłeś sekretarkę Hitlera z

ostatnich miesięcy w berlińskim bunkrze?

- Oczywiście. Wyszła za mąż za angielskiego oficera, zmieniła nazwisko i tak dalej. Gdzieś po drodze po prostu się zgubiła.

- Z pewnością знаła von Bergera. Musiała go znać - orzekł Dillon.

- Mnie też się tak wydaje.

- Ale co my będziemy z tego mieli? - chciała wiedzieć Bernstein.

- Jeden Bóg wie - westchnął Ferguson. - Ale chyba warto złożyć jej wizytę, nie sądzisz?

Daimler, w którym siedzieli Ferguson i Hannah Bernstein, ruszył pierwszy, po chwili mini cooper Dillona.

- Jedź za nimi - powiedział Newton do Cooka.

- Za którym?

- Może pojedą razem. W każdym razie sprawdzimy.

Zadzwoił do Marco Rossiego.

- Dillon pojechał do mieszkania Ropera na Regency Square. Przyjechali też Ferguson i Bernstein. Teraz wszyscy wyszli. Jedziemy za nimi.

- Dobrze. Pilnujcie ich, nie zgubcie. Gdy tylko gdzieś się zatrzymają, macie dzwonić! Natychmiast!

Brickfield Lane prowadziła do Tamizy. Po jednej stronie uliczki stały dziewiętnastowieczne domy, z których większość odnowiono. Frontowe drzwi wychodziły na ulicę i tylko na ulicy można było zaparkować. Po drugiej stał kościół Matki Boskiej, a za nim rozciągał się cmentarz. Wzdłuż rzeki biegł chodnik, odgradzony od niej niskim murem, prowadzącym do mola, reliktu dawnych dni, gdy Tamizą regularnie pływały barki. Na końcu Brickfield Lane stał sklep Patel's, prowadzony przez hinduskich imigrantów. Można tam było kupić dosłownie wszystko.

O tej porze dnia miejsc do parkowania nie brakowało, a przed numerem dwudziestym trzecim uliczka była zupełnie pusta. Przy krawężniku wystarczyło miejsca i na daimlera, i na mini coopera. Pierwszy wysiadł z samochodu Dillon, podszedł do drzwi. Pod mosiężną plakietką z nazwiskiem widać było przycisk dzwonka.

- George i Sara Grant - przeczytał na użytek Fergusona, który właśnie do niego dołączył.

Zadzwoił, usłyszał szczekanie psa, potem odgłos kroków. Szczęknał zamek, drzwi otworzyły się, ale łańcucha nie zdjęto.

- Cicho, Benny - powiedział kobiecy głos. W drzwiach pojawiła się twarz, zmęczona, pokryta zmarszczkami. Kobieta była siwa, włosy czesała do tyłu, miała bardzo jasne, jakby spłowiałe, niebieskie oczy. Przemówiła głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- O co chodzi?

- Pani Grant? - spytała Hannah Bernstein. Miała teraz swoje pięć minut.

- Tak.

- Jestem detektyw superintendent Bernstein. - Pokazała legitymację. - Wydział Specjalny Scotland Yardu. A to generał Ferguson.

- Chcemy zamienić z panią kilka słów - dodał generał.

Widać było, że kobieta jest zaniepokojona.

- Policja? Zrobiłam coś złego?

W tym momencie wtrącił się Dillon. Doskonale znał niemiecki.

- Nie martw się, leblich, nie jesteśmy z gestapo. Potrzebujemy tylko informacji.

- Ale jakich?

Instynkt podpowiedział Irlandczykowi, że musi być absolutnie szczery.

- Chodzi o bunkier Fiihrera, o te ostatnie kilka miesięcy. Szczególnie interesujemy się Sturmbahnfihrerem Maxem von Bergerem i tym, co się zdarzyło trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

- Och mój Boże - powiedziała po niemiecku pani Grant. - Przyszliście do mnie po tylu, tylu latach. - Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi. Pod jej nogami płątał się mały szkocki terier, szczekając piskliwie. Dillon wziął go na ręce.

Pies natychmiast przestał hałasować i próbował polizać go po twarzy. Stara dama powiedziała: - Nic nie rozumiem. On nie lubi obcych.

- Och, od dzieciństwa dobrze radzę sobie z psami. Wabi się Benny, prawda? - Oddał jej pieska. - Chcemy tylko zamienić z panią kilka słów. Nie mamy złych zamiarów. Daję pani na to moje słowo.

Trzymając psa jedną ręką, kobieta drugą dotknęła delikatnie twarzy Seana Dillona, a potem powiedziała po angielsku:

- Pan się nie przedstawił.

- Nazywam się Dillon, proszę pani.

W oczach pani Grant mignęła przez moment pustka. Patrzyła gdzieś w przestrzeń.

- Tak, wierzę panu - powiedziała w końcu. - Jest pan dobrym człowiekiem, panie Dillon... wbrew samemu sobie.

Sean Dillon był tak zdumiony, że stracił głos. Wziął głęboki oddech.

- Może mi pani ufać - powiedział po długiej chwili milczenia. - Na tym świecie nikt pani nie skrzywdzi. Przysięgam.

- A więc wejdźcie.

Newton i Cook zaparkowali na Brickfield Lane nieco dalej, tuż przy sklepie.

- Ty zostań, a ja się rozejrzę - powiedział Newton, wysiadł z samochodu i wolnym krokiem podszedł do domu.

Szofer Fergusona opuścił posterunek i pałac papierosa, szedł chodnikiem po drugiej stronie ulicy, w stronę rzeki. Newton szybko sprawdził nazwisko na mosiężnej plakietce nad dzwonkiem i natychmiast wrócił do samochodu.

- Sara i George Grant - poinformował Cooka. - Spróbuję dowiedzieć się czegoś w sklepie.

Hindus w średnim wieku stał oparty o ladę, pogrążony w lekturze "Evening Standard". Gdy otworzyły się drzwi, podniósł wzrok. Oprócz ich dwóch w sklepie nie było nikogo.

- Wygląda na to, że jak zwykle marnuję czas - zwrócił się do właściciela Newton - ale może pan będzie w stanie mi pomóc. Egzekwuję należności. Szukam mężczyzny nazywającego się Anthony Smith, zalegającego z ratami za samochód.

Sprawdzam adres, który mi podano, Brickfield Lane dwadzieścia trzy, tylko że według tabliczki na drzwiach mieszkają tam państwo Grant.

- Nabrano pana. - Patel uśmiechnął się lekko. - Grantowie mieszkali tu od zawsze. Pan Grant zmarł pięć lat temu, Pani Grant została sama. Bardzo miła osoba. Niemka.

- Doprawdy?

- Poza tym nie ma samochodu.

- Och! Mówi pan, że to Niemka?

- Z całą pewnością. Mówiła mi kiedyś, że jej panieńskie nazwisko to... Hesser, tak, Hesser. Sara Hesser.

- Zmarnowałem kupę czasu, ale to przecież nie pana wina. Dzięki.

Z samochodu Newton natychmiast zadzwonił do Rossiego i wyjaśnił mu, co się dzieje.

- Zostańcie na miejscu - polecił Marco. - Będziemy w kontakcie.

Kiedy jego syn wrócił do domu, baron siedział w salonie na South Audley Street, pogrążony w lekturze dokumentów.

- Ojciec, kiedy opowiadałeś mi o ostatniej rozmowie z Hitlerem, wspominałeś o sekretarce, dziewczynie ze służb pomocniczych SS, Sarze Hesser.

- Owszem. Czy to ważne?

- Ważne, bo pani Hesser żyje i mieszka w Wapping, na Brickfield Lane, pod numerem dwudziestym trzecim.

- Jesteś tego pewny?

- Całkowicie. - Marco opowiedział ojcu o wszystkim, czego się właśnie dowiedział. - Od razu pojechali do tej kobiety. To nam wiele mówi, prawda? Dzięki Bogu, że ten hinduski sklepikarz zna ją tak dobrze, inaczej nadal niczego byśmy nie wiedzieli. Co robimy?

- Nic - odparł spokojnie baron. - Jeśli ta kobieta powie im, co o mnie wie, Ferguson zechce zobaczyć się ze mną natychmiast.

- O co ci chodzi, tato?

Baron zmierzył go przenikliwym spojrzeniem.

- Nadszedł czas, żebym coś ci powiedział, Marco. Wprawdzie wiesz o dzienniku Hitlera, ale tylko tyle, ile zdecydowałem się ujawnić. Nigdy go nie czytałeś.

- No tak. Zawsze się zastanawiałem dlaczego.

- Ponieważ zawarta jest w nim pewna tajemnica. W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku Fuhrer rozpoczął negocjacje z prezydentem Rooseveltem. Złożył mu propozycję zawarcia pokoju i obrócenia armii niemieckiej oraz amerykańskiej przeciw Rosjanom, co dawało szansę pokonania wspólnego przeciwnika. Roosevelt był skłonny rozmawiać o tej ofercie, choć w końcu jej nie przyjął. Hitler wysłał do Szwecji generała Waltera Schellenberga z SS, Roosevelt multimilionera i senatora... Jake'a Cazaleta.

Zapadła cisza. Przerwał ją Marco, mówiąc z wahaniem:

- Ale... ale tak przecież nazywa się prezydent Stanów Zjednoczonych.

- I tak nazywał się jego ojciec, który był członkiem wewnętrznego kręgu doradców Roosevelta. Rozumiesz oczywiście, co to znaczy? Kompromitujący jest już sam fakt, że prezydent USA, przy pomocy swego agenta, skłonny był do negocjacji z Adolfem Hitlerem. Nic z tego nie wynikło, ale co by sobie o tym pomyśleli główni wrogowie Ameryki? Z całą pewnością oznaczałoby to koniec Cazaleta. - Max von Berger uśmiechnął się. - Trzymałem to w tajemnicy przez wiele, wiele lat, lecz byłem pewny, że przyjdzie czas, gdy będę mógł wykorzystać tę rewelację.

- Nie do wiary - westchnął Marco.

- A więc czekamy na Fergusona. - Baron znów się uśmiechnął. - Ale przynajmniej mamy okazję, żeby się napić.

Salon wypełniony był nie tylko ciężkimi meblami, lecz także pamiątkami oraz różnymi drobiazgami, które gromadzono tu od lat. W rogu stał wielki, stary fortepian zastawiony zdjęciami, w większości oprawionymi w srebrne ramki. Największe przedstawiało przystojnego młodego mężczyznę w mundurze kapitana armii brytyjskiej. Ferguson wziął je i przyjrzał mu się uważnie.

- To pani mąż, prawda?

- Tak, to George. Był żandarmem. Ja pracowałam jako tłumaczka. Tak się poznaliśmy. - Staruszka usiadła, przytulając mocno kulącego się na jej kolanach Benny'ego. - Wiecie, że byłam przesłuchiwana... przesłuchiwana przez wywiad. Należałam do ekipy bunkra.

Ferguson skinął na Hannah, która poprosiła:

- Proszę nam o wszystkim opowiedzieć, pani Grant.

- Naprawdę, niewiele jest do opowiadania. Byłam w służbie pomocniczej SS, pracowałam jako maszynistka, sekretarka. Miałam dwadzieścia dwa lata. Przeniesiono mnie z głównej siedziby SD w Berlinie. SD to był wywiad SS, ale, jak już mówiłam, byłam tylko bardzo młodą urzędniczką.

- Pracowała pani w bunkrze i mieszkała tam przez sześć miesięcy, aż do kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego i ostatecznej katastrofy? - spytała Hannah.

- Tak, tak. Byłam jakby zastępczynią sekretarki, najmłodszą z nich wszystkich. Parzyłam kawę, tego rodzaju rzeczy.

Dillon bardzo współczuł tej kobiecie. Nie tylko z powodu wieku i widocznej bezradności, lecz także dlatego, że żyła za długo, przeżyła swoje czasy. Była świadkiem historycznych wydarzeń, teraz pozostały jej tylko wspomnienia.

Współczuł jej, mimo iż ta kobieta kłamała.

- Więc znała pani Fiihrera? - spytała Bernstein.

- Tak, ale inni byli znacznie ważniejsi ode mnie, to znaczy były... inne sekretarki...

- Oczywiście. A Sturmbahnführer baron von Berger? Jego też pani znała?

- Ależ oczywiście. - Staruszka pogłaskała psa po głowie. - Mieszkał w bunkrze przez ostatnie trzy miesiące. Został ranny w Rosji. Dostał jakiś medal, spodobał się Fuhrerowi, został jego adiutantem.

- Rozumiem. Czy był on pod jakimś względem wyjątkowy?

- Nie, nie. Te ostatnie dni były straszne, po prostu straszne.

Panowało okropne zamieszanie. Potem Fiihrer i jego żona popełnili samobójstwo, więc wszyscy próbowaliśmy uciekać. Większość przez podziemne przejścia i tunele. Niektórym się udało. Ja po paru tygodniach dotarłam na zachód, do Amerykanów. - Kobieta potrząsnęła głową, jakby wpatrywała się w przeszłość, której nie chciała widzieć. - Ale przecież powiedziałam to wszystkim ludziom z wywiadu brytyjskiego przed bardzo wielu laty.

- A więc nie widziała pani von Bergera przez te ostatnie kilka dni? - wtrącił Ferguson.

- Był, potem znikł. - Starsza pani wzruszyła ramionami. - Ale to można powiedzieć o bardzo wielu ludziach.

Dalej przesłuchanie prowadziła Hannah Bernstein.

- A jednak wiemy, że von Berger uciekł z Berlina samolotem Storch. Przez kilka lat był jeńcem wojennym, potem wziął się do interesów i odniósł wielki sukces.

- Proszę mi wierzyć, że nie miałam o tym pojęcia. Nie byłam nikim ważnym, po prostu sekretarką, właściwie to nawet zastępowałam sekretarkę. - Jej oczy znów stały się puste, mówiła mechanicznie, jakby recytowała dawno przygotowany tekst. - Parzyłam kawę. - Nie kontrolowała się już i zapewne dlatego dodała: - Fiihrer lubił kawę czarną, ale niezbyt mocną.

Drugą filiżankę słodziłam brązowym cukrem. Oczywiście pod koniec życia cierpiał na chorobę Parkinsona. Ręce mu się trzęsły, musiałam sama tę kawę nalewać. Filiżankę podnosił obydwoma dłońmi. Trudno mu było dyktować.

Zapadła pełna zdumienia cisza.

- Fiihrer pani dyktował? - zdziwiła się Hannah. - Przecież twierdziła pani, że była nikim!

Staruszka spojrzała na nią nieprzytomnie, ukryła twarz w dłoniach. W tym momencie Dillon zachował się tak okrutnie, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Krzyknął do niej głośno, po niemiecku:

- Fraulein Hesser, nie była pani wobec nas uczciwa. Powie pani wszystko!

- Na litość boską, Sean... - zaprotestowała Bernstein, ale Dillon odepchnął ją i pochylił się nad przerażoną staruszką.

- Pisała pani pod dyktando Hitlera!?

- Tak - odparła przerażona kobieta.

- Co pani dyktował!?

Sara Hesser rozpaczliwie pokręciła głową.

- Nie mogę... nie śmiem powiedzieć. Przysięgałam na wierność Fiihrerowi...

Nienawidząc samego siebie, Dillon jeszcze podniósł głos:

- Co to było? Pani mi powie!

Staruszka się załamała. Odparła po niemiecku:

- Dzień w dzień, przez sześć miesięcy, dyktował mi swój dziennik.

Hannah Bernstein doskonale знаła niemiecki, a Ferguson posługiwał się tym językiem wystarczająco dobrze, by zrozumieć to proste zdanie.

- Święty Boże - westchnął. - Przeklęty dziennik Hitlera.

Sean Dillon przyklęknął, pocałował Sarę Hesser w czoło, przytulił ją.

- Bardzo mi przykro, że panią przestraszyłem - powiedział szczerze. - Teraz już wszystko będzie dobrze. Jest tylko jeden drobiazg. To, co powiedziałaś nam o Maksie von Bergerze, nie było prawdą...

Staruszka płakała.

- Kłamałam - przyznała. - Trzydziestego kwietnia odwiedził Fiihrera w jego gabinecie. Ja też tam byłam. Fuhrer powierzył mu misję. Von Berger uciekł z Berlina samolotem, ukrytym w garażu domu Goebbelsa.

- Jaka to była misja? - spytała Hannah Bernstein.

- Jak to, jaka? Miał ocalić dziennik. Fuhrer nazwał go świętą księgą. Powiedział, że nie wolno jej kopiować.

- Ten dziennik był kompletny? Aktualny? - upewnił się Ferguson.

- Och, oczywiście. Aż do ostatniego dnia. Fuhrer opisywał wszystko, co działo się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wojny. Wymieniał zdrajców i tych, którzy go zawiedli, pisał o wszystkim, o próbach porozumienia z prezydentem Rooseveltem, o spotkaniu w Szwecji.

Cisza, która zapadła po tych słowach, była przepelniona grozą.

- O czym? - spytał Ferguson zdławionym głosem.

- Ja nie kłamię. Zapisywałam każde słowo. Wszystko pamiętam.

Rzeczywiście, pamiętała. I opowiedziała.

Wyszli po półgodzinie. Zatrzymali się przy daimlerze.

- Boże, ależ z ciebie sukinsyn! - powiedziała Bernstein do Dillona.

- To na pewno - włączył się Ferguson. - Ale mu się udało.

- Tyle lat minęło, ale służba w SS nie kończy się nigdy - zauważył Dillon. - Wykrzyknąć rozkaz, byle pewnym głosem, i posłuszeństwo masz zapewnione.

- Mniejsza o to. Przynajmniej wiemy, skąd wzięły się miliony Bergera - stwierdził z uśmiechem generał.

- I nic nie możemy z tym zrobić - prychnęła Hannah.

- Posiedliśmy także wiedzę o pewnej niezręcznej sytuacji - przywołał ich do porządku generał. - Takiej mianowicie, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym Hitler złożył Rooseveltowi propozycję pokojową, którą pan prezydent potraktował wystarczająco poważnie, by wysłać ojca Jake'a Cazaleta do Szwecji, na spotkanie z emisariuszem samego Fiihrera.

- Generale, nic z tego przecież nie wyszło, więc czy ma to jakieś znaczenie? - spytała

Bernstein.

- Ależ oczywiście, kochane dziecko. Wielkie znaczenie. Zwłaszcza że jest w to wplątany ojciec urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Środki masowego przekazu będą miały zabawę. Roosevelt, Cazalet, Hitler... - generał pokręcił głową. - Prezydent ma ostro przechlapane.

- Prezydenta może to wykończyć - zauważył Dillon.

- Oczywiście. Jedziemy. Musimy spotkać się z baronem.

- Zgadzam się. - Dillon wskoczył za kierownicę mini coopera.

Daimler ruszył. Hannah Bernstein spojrzała na Fergusona.

- Mam nadzieję, że nie skrzywdziliśmy starszej pani, sir. Że nic jej nie będzie.

- Mnie też jest przykro, ale to było, niestety, konieczne.

- Co pan powie baronowi?

Ferguson uśmiechnął się.

- Nie mam zielonego pojęcia, pani superintendent.

Newton i Cook poczekali, aż samochody trochę się oddalały, a potem ruszyli za nimi. W chwilę później Newton zadzwonił do Rossiego.

- Właśnie mijamy Dorchester. Skracając w South Audley Street.

- Doskonale. Trzymajcie się blisko na wypadek, gdybym was potrzebował.

Rossi odłożył słuchawkę. Odwrócił się.

- Wygląda na to, że zamierzają złożyć nam wizytę.

- No cóż, to powinno być bardzo interesujące doświadczenie - mruknął Max von Berger z uśmiechem.

Drzwi domu Rashidów otworzyła ubrana na czarno pokojówka w białym fartuszk.

- Czy baron von Berger jest w domu? - spytała Bernstein. - Generał Ferguson chciałby zamienić z nim kilka słów.

- Oczywiście, proszę pani. Pan baron oczekuje państwa. Proszę za mną.

Poprowadziła ich po schodach i otworzyła przed nimi drzwi do salonu. Baron siedział przy kominku, Marco stał obok okna.

- Co za niespodzianka, generale. Co mogę dla pana zrobić?

- Pani superintendent, proszę mu wszystko opowiedzieć - polecił Ferguson.

Baron wysłuchał opowieści i pokręcił głową z wyraźnym podziwem.

- Co za niezwykła historia. Bzdurna, oczywiście, ale czego można spodziewać się po starszej pani, która podczas wojny przeżyła prawdziwy koszmar. Najwyraźniej cierpi na manię wielkości, ma złudzenia, wydaje jej się, że знаła Hitlera. Przez trzy ostatnie miesiące byłem jego adiutantem tam, w bunkrze. Doskonale znałem wszystkich ludzi z jego otoczenia. Nie przypominam sobie żadnej Sary Hesser.

- Z góry wiadomo było, co powiesz, staruszk, nie? - zakpił Dillon.

- Ten przypadek wydaje mi się szalenie interesujący. - Von Berger nie tracił pewności siebie. - Może pani superintendent zechce udzielić mi informacji o tym, jak to wygląda z perspektywy Scotland Yardu. Gdybym, na przykład, kontrolował depozyty złożone w prywatnych bankach w Szwajcarii, czy byłoby to przestępstwem według prawa Zjednoczonego Królestwa?

Bernstein zerknęła na Fergusona.

- Nie, sir, nie byłoby - odpowiedziała niechętnie.

- Gdyby ktoś dał mi na przechowanie swój dziennik, czy byłoby to nielegalne?

- Oczywiście, że nie, ale...

- Na litość boską, skończmy z tymi bzdurami i przejdźmy do faktów - nie wytrzymał Ferguson. - Nareszcie wiemy, jak się pan wydostał z Berlina i dlaczego. Znamy także źródło pańskich pieniędzy... tych pieniędzy, dzięki którym po wojnie mógł pan stworzyć potęgę swojej firmy. I jest jeszcze dziennik, ta "święta księga", o której mówiła Hesser.

- Bardzo dziwny pomysł.

- Bardzo ważny dziennik. Zwłaszcza jeśli zawiera zapiski dotyczące spotkania wysłannika Hitlera z ojcem prezydenta Cazaleta, które podobno odbyło się w Szwecji.

- Powtarzam, bardzo dziwny pomysł. - Baron uśmiechnął się. - Choć, gdyby do takiego spotkania rzeczywiście doszło, mogłoby to mieć bardzo negatywny wpływ na karierę polityczną pana Cazaleta. - Kolejny uśmiech. - Jak dobrze, że to wszystko nonsens. Opowieści o dzienniku Fihrera słyszy się od lat. Szarlatani i fałszerze regularnie produkują przeróżne jego wersje. A teraz mamy jeszcze majaczenia starej kobiety. To z całą pewnością nie wystarczy.

- Nawet jeśli źródła wywiadowcze, zarówno brytyjskie, jak i niemieckie wskazują wyraźnie, że stara kobieta rzeczywiście była w bunkrze?

- Och, doprawdy? No to macie problem. Obawiam się, że nie mogę dodać nic więcej, generale... choć przyznaję, że gdyby to, co od was usłyszałem, było prawdą, prezydenta czekałyby wielkie przykrości. Tak mi się przynajmniej zdaje. A panu?

- Mnie również. - Ferguson skinął głową na Bernstein i Dillona. - Idziemy! - rozkazał, ruszając w kierunku drzwi.

Marco nalał do szklaneczki irlandzkiej whisky i podał ją ojcu.

- Brawo! Zasłużyłeś sobie na to. Generał nie wiedział, co spadło mu na łeb.

- Ferguson to zdolny, sprytny człowiek, synu. Nie odpuści sobie tej sprawy. Za duże jest prawdopodobieństwo przecieku.

- Ale... czy przeciekiem nie osiągnąłbyś celu? Załatwiłbyś prezydenta.

- Nie chcę, by nastąpiło to teraz. Doprowadzę do upadku Cazaleta w wybranym przeze mnie czasie i na moich warunkach. - Baron pociągnął łyk whisky, westchnął ciężko. - Ale gra już się rozpoczęła. Jak mawiają Anglicy, piłka jest po stronie Fergusona. - Znów westchnął, pokręcił głową. - Hitler oferował jej miejsce w moim samolocie. Mogła uciec ze mną, ale odmówiła. Powiedziała, że jej obowiązkiem jest trwać przy Fuhrerze. Powinna zginąć tam, z nimi wszystkimi.

Marco zapalił papierosa, podszedł do okna i wyjrzał na South Audley Street.

- Jeśli się nad tym zastanowić... no, rzeczywiście, tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Marcowa pogoda, wczesny zmierzch, niesiony podmuchami wiatru, chłuszczący Tamizę deszcz, mrok pod dachem kościoła na Brickfield Lane.

Marco Rossi czaił się w ciemności, ubrany w ciemny płaszcz i kapelusz.

Ciągle nie był pewien, co robi. Ani słowem nie wspomniał ojcu o swoich zamiarach, a wydarzenia zaczęły żyć własnym życiem. Nie wziął samochodu, pojechał taksówką na Wapping High, a resztę drogi przeszedł piechotą. Być może to coś oznaczało?

Od godziny obserwował dom, nie wiedząc, na co czeka. Nagle zapaliło się światło nad drzwiami, które uchyliły się po chwili, poskrzypując. Pojawiła się w nich staruszka ze szkockim terierem na smyczy, w chustce na głowie i przeciwdeszczowym płaszczu. Otworzyła parasolkę.

- Dobry piesek - powiedziała i ruszyła w stronę sklepu, w którym nadal paliło się światło.

Rossi poszedł za nią, ale trzymał się po drugiej stronie kościelnego dziedzińca. Przystanął przy końcu muru, naprzeciw sklepu, w miejscu, gdzie stare molo wybiegało w nurt rzeki. Nie miało barierki, zaledwie jedna latarnia świeciła stłumionym blaskiem. Stara kobieta weszła na pomost, powoli przeszła do końca, piesek posłusznie dreptał przy jej nodze. Korzystając z

okazji, Rossi pobiegł za nią cicho jak cień i, kiedy jego ofiara wpatrywała się w błyszczące światła przepływającego obok pasażerskiego stateczku, oparł dłonie na jej ramionach i mocno pchnął.

Padając, pani Grant wypuściła z dłoni smycz, a Benny odbiegł, szczekając głośno. Marco Rossi widział, jak kobieta szarpie się chwilę i zaraz tonie. Zniknął równie szybko, jak się pojawił. Skrył się pod ścianą kościoła, po czym spokojnym krokiem wrócił na ulicę Wapping High.

Mniej więcej dwadzieścia minut później pan Patel wyszedł ze sklepu, zdenerwowany piskliwym szczekaniem. Benny stał na skraju moła, wpatrzony w wodę.

- Co się stało, piesku? - spytał, podnosząc smycz. I nagle dostrzegł, co się stało. Na wodzie unosiło się kruche ciało starej kobiety.

Telefon zadzwonił rano, gdy generał Ferguson jadł śniadanie.

- Sir, mówi Bernstein.

- Czy to nie za wcześnie nawet dla pani, pani superintendent?

- Niech pan słucha i nie przerywa, generale. Umieściłam panią Sarę Grant na głównej liście grupy specjalnej tylko po to, żebyśmy mieli na nią oko.

- I?

- Wczoraj w nocy znaleziono ją w Tamizie, przy końcu pomostu, tego na Brickfield Lane. Hindus, pan Patel, właściciel sklepiku, usłyszał szczekanie psa i wyszedł sprawdzić, co się dzieje. To on znalazł ciało.

- Wielki Boże! Dokąd je przewieziono?

- Do kostnicy w Wapping.

- Jesteśmy idiotami, pani superintendent! Posłuchaj, musimy przyspieszyć sekcję. Zadzwonię do profesora George'a Langleya, poproszę, żeby przeprowadził ją jeszcze dziś rano.

- To rzeczywiście szybko.

- Zrobi to dla mnie. Wykorzystaj swoją pozycję, żeby przejąć sprawę od policji w Wapping. Od tej pory dostaje najwyższy priorytet. Kod Jeden. Sam podpiszę nakaz. Nikt z zewnątrz nie ma prawa się do niczego wtrącać. Zawiadom Dillona.

Sean Dillon zamierzał pobiegać. Deszcz mu nie przeszkadzał, tyle że musiał naciągnąć na głowę kaptur dresu. Nie zdążył wyjść z domu, gdy zadzwoniła jego komórka.

- Tak?

- Sean, to ja.

- Jezu, dziewczyno, o tej porze? Czy ma to oznaczać, że wreszcie ci się spodobałem?

- Zamknij się i słuchaj, bo to zła nowina. - Opowiedziała mu wszystko. Dillon zdumiał się tak, że nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Sean, jesteś tam?

- Jestem, jestem.

- Co o tym myślisz?

- Sprawa śmierdzi pod niebiosa. - W głosie Dillona brzmiała z trudem hamowana furia.

- Słuchaj, opanuj się, nie zrób jakiegoś głupstwa - Hannah Bernstein bardzo starała się go uspokoić. - Musimy być pewni.

Jeszcze dzisiaj, za parę chwil, George Langley przeprowadzi sekcję zwłok. Jest najlepszy. Wsadził za kratki więcej morderców, niż nawet ty jesteś sobie w stanie wyobrazić. Jeśli coś jest nie tak, to choćby był to najmniejszy drobiazg, on go znajdzie.

- Lepiej dla niego, żeby znalazł. Na Boga, o wiele lepiej!

Bernstein się rozłączyła. Dillon stał chwilę bez ruchu, a potem rozpoczął poranny bieg.

Kiedy wrócił do domu, przebrał się i pojechał do Ropera. Major ślęczał oczywiście nad komputerami. Na jego widok powiedział:

- Ranny ptaszek? To oznacza, że coś się stało.

Dillon opowiedział mu wszystko, po czym znalazł butelkę whisky i nalał do szklanki.

- Trochę za wcześnie, nawet dla mnie, ale bardzo tego potrzebuję - wyjaśnił, pijąc. - Co o tym sądzisz?

- Z pewnością była kopalnią informacji.

- Jej informacje von Berger nazwał szaleństwem starej kobiety.

- Której to kobiecie natychmiast przydarzył się wypadek. Utopiła się w Tamizie. Bardzo korzystny wypadek.

- Owszem. Powiedziała nam samą świętą prawdę. O misji von Bergera, jego ucieczce z Berlina, dzienniku... niczego nie wymyśliła!

- A teraz źródło tak fascynujących informacji nie żyje - westchnął Roper. Dillon spojrzał na niego. Twarz miał ściągniętą.

- Obiecałem jej, że może mi zaufać. Przysiągłem, że nie stanie jej się nic złego. Wiesz, co mi powiedziała?"Jest pan dobrym człowiekiem, panie Dillon... wbrew samemu sobie".

- Bardzo mi przykro, Sean.

- Znam ludzi, którym będzie znacznie bardziej przykro, kiedy z nimi skończę.

- Zaczekaj na sekcję.

- Oczywiście, że zaczekam. - Dillon wybiegł z mieszkania Ropera. Wyglądał jak wcielony diabeł.

Profesor Langley poprosił, by wczesnym popołudniem tego samego dnia Ferguson, Hannah Bernstein oraz Dillon przyjechali do kostnicy w Wapping. Poczekalnia sprawiała przyjemne wrażenie. Hannah porozmawiała chwilę z młodą recepcjonistką, która na jej prośbę skontaktowała się telefonicznie z Langleyem.

- Profesor właśnie doprowadza się do porządku - powiedziała. - Przeprasza i zapewnia, że za chwilę do państwa dołączy.

Ferguson i Bernstein usiedli, Dillon stanął przy oknie, paląc papierosa.

- Jesteś jakiś niespokojny - zauważył generał.

- Nie, tylko wściekły.

- Spokojnie, wkrótce wszystkiego się dowiemy.

- Już wszystko wiemy. Wiemy, że zginęła, i nie próbuj wmówić mi, że to przypadek. Ani ja, ani ty nie wierzymy w przypadki. W naszej pracy nie mamy z nimi do czynienia.

Nim Ferguson zdołał mu odpowiedzieć, podszedł do nich niski, siwowłosy, energiczny mężczyzna.

- Cześć, Charles - powiedział na powitanie.

Generał potrząsnął jego wyciągniętą dłonią.

- Dziękuję, że tak się pospieszyłeś, George. Sprawą zajmuje się detektyw superintendent Bernstein. Sean Dillon jest naszym przyjacielem.

- Przepraszam za opóźnienie. Chcecie zobaczyć ciało?

- Owszem, chcemy - odparł natychmiast Dillon, nie dopuszczając innych do głosu. Ferguson skinął głową.

- W takim razie proszę za mną.

Wprowadził ich do sali wyłożonej białymi kafelkami, oświetlonej ostrym blaskiem jarzeniówek. Pośrodku stał równy szereg stołów operacyjnych. Na pierwszym z nich leżało ciało przykryte białym prześcieradłem.

- Pani Sara Grant - powiedział lekarz. - Znałeś ją, Charles?
- Wszyscy ją znaleźliśmy.
- W takim razie pokażę wam tylko twarz. Niżej widok jest raczej nieprzyjemny. Jak to zwykle po autopsji.
Sara Hesser sprawiała wrażenie osoby śpiącej spokojnym snem, nawet zmarszczki na jej czole i policzkach jakby się wygładziły. Wreszcie zaznała spokoju.
- Żadnych śladów - stwierdził raczej niż spytał Ferguson.
- Żadnych - przytaknął Langley. - Nie walczyła, nie znalazłem ran ani siniaków. Śmierć przez utonięcie.
- Jest pan tego pewien? - wtrącił Dillon.
- Najzupełniej. Miejscowy policjant spisał zeznania sklepikarza, według których wieczorami regularnie chodziła z psem na pomost. Szła do samego końca, lubiła przyglądać się przepływającym łodziom. Pojechałem na miejsce. Na pomoście nie ma barierki, a do powierzchni wody jest dobre dziesięć metrów.
- A więc na ciele nie ma śladów walki - podsumowała Bernstein. - Żadnych, nawet najmniejszych?
- Żadnych, nawet od uderzenia o wodę. Oczywiście, ta kobieta miała na sobie spodnie, sweter i gruby płaszcz przeciwdeszczowy.
- Co jeszcze może nam pan powiedzieć?
- Tylko to, że miała raka płuc. Zostało jej najwyżej parę miesięcy życia. Utonęła, Charles. Nic więcej nie mogę powiedzieć, nawet tobie.
- Niech to diabli! - nie wytrzymał Dillon. - Przecież musi być "coś więcej".
- Wcale nie musi, panie Dillon - tłumaczył patolog. - Spadła z pomostu do wody i utopiła się. Takie to proste. Wiem, co państwa gnębi, ale nawet jeśli ktoś pomógł jej spaść, to ja nie mam na ten temat nic do powiedzenia. Natomiast z całą pewnością wiem, że nie znalazłem na jej ciele najmniejszego nawet siniaka, co u kobiety w tym wieku i tak delikatnej oznacza, że nie zastosowano wobec niej przemocy, choćby najłagodniejszego rodzaju. - Langley spojrzał na Fergusona. - Charles, rozumiem, że jej śmierć ma coś wspólnego z wywiadem, że cała sprawa jest w jakiś sposób utajniona.
Cieszę się, że nie wiem o niej nic więcej. Niech to się nie zmieni.
- Bardzo ci dziękuję, George.
Panowie uścisnęli sobie dłonie.
- A więc niczego się nie dowiedzieliśmy. - Dillon był wściekły.
- Bardzo mi przykro. - Patolog odprowadził ich do drzwi. - Ach, poczekajcie chwilę, jest jednak coś jeszcze.
- Co takiego? - zainteresował się natychmiast Ferguson.
- Długo pracuję, przeprowadziłem tysiące autopsji, ale coś takiego widziałem po raz pierwszy. Pod lewą pachą miała wytatuowany numer. Nie na ramieniu, jak więźniowie obozów koncentracyjnych, ale właśnie pod pachą. Co oznacza, że służyła w SS. - Langley się uśmiechnął. - Ale na ten temat wiesz z pewnością więcej ode mnie, Charles.
Siedzący na tylnym siedzeniu daimlera Dillon zasunął szklaną szybę oddzielającą pasażerów od kierowcy.
- Oni to zrobili, generale. Te sukinsyny ją załatwiły.
- Ale jak? - spytała Bernstein. - Przecież nie wymieniliśmy adresu.
- Daj spokój, Hannah. Kiedy już dowiedzieli się, że istnieje, to jak myślisz, ile czasu zajęło Rossiemu jej wytopienie?

- Ale...

- Dość gadania - przerwał im Ferguson. - W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Pani superintendent, proszę mnie połączyć z von Bergerem.

Słuchawkę podniósł Marco. Natychmiast przekazał ją ojcu.

- Generale - powiedział baron - o co tym razem panu chodzi?

- Fraulein Sara Hesser wpadła do Tamizy i utonęła. Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali, teraz, bez zwłoki.

- Dlaczego?

- Wolałby pan, żebym przedstawił formalny nakaz i oficjalnie wezwał pana na przesłuchanie?

- Generale, nie ma najmniejszego powodu, byśmy przestali zachowywać się w sposób cywilizowany. Proponuję panu kulturalne wyjście z sytuacji. Piano Bar w Dorchester. O siódmej?

- W porządku. I niech pan zabierze ze sobą tego pańskiego specja od mokrej roboty. Połączenie zostało przerwane. Baron oddał słuchawkę synowi.

- Pan generał chyba nie bardzo cię lubi. A tak przy okazji, Marco... Ciało Sary Hesser wyłowiono dziś rano z Tamizy.

- Mój Boże! - westchnął Rossi, doskonale udając zdumienie i przerażenie.

- Wiesz coś o tym?

- Ojciec, przysięgam na życie...

Baron przerwał mu, unosząc w górę dłoń.

- No cóż, Ferguson jest najwyraźniej pewny, że maczaliśmy w tym palce. Wieczór zapowiada się bardzo interesująco.

A tak dla pewności zapamiętaj: Newton i Cook nie istnieją i nigdy nie słyszeliśmy o Brickfield Lane.

Kiedy przyjechali Ferguson, Bernstein i Dillon, w Piano Barze było zaledwie kilka osób. Dillon jak zwykle podszedł do fortepianu, usiadł, zagrał Mglisty londyński dzień. Hannah Bernstein stanęła obok niego.

- Nigdy nie byłam w stanie tego zrozumieć, Sean. Tak dobrze grasz. I w ogóle tak dobrze robisz tak wiele rzeczy.

- Chodzi ci o to, że dobrze zabijam? - uśmiechnął się Dillon. - Nie daj się oszukać, Hannah, dobry barowy pianista to najdoskonalszy wytwór ewolucji.

- Jesteś wściekły. Zawsze mnie to przerażało.

- A tak. Dobry i wściekły. Jestem złym człowiekiem, Hannah. Widziałem za wiele trupów, ale w śmierci Sary Hesser jest coś, czego nie mogę znieść. Zasłużyła sobie na lepszy los.

Kelner nalewał szampana, kiedy von Berger i Rossi pojawili się na prowadzących do sali restauracyjnej schodach. Baron zajął miejsce naprzeciw Fergusonowi, Rossi i Dillon stali obok siebie, jakby lada chwila zamierzali udowodnić, który z nich jest lepszy, cokolwiek miałyby to znaczyć..

- O co chodzi, generale? - spytał Max von Berger.

- Proszę powiedzieć mi o wszystkim, pani superintendent.

Kiedy opowieść dobiegła końca, baron westchnął ciężko.

- A więc ta biedna kobieta spadła z pomostu. Wasz profesor Langley potwierdził, że utopiła się, i nie znalazł żadnych powodów do podejrzeń. A więc... co to wszystko ma wspólnego ze mną?

- Sam fakt, że się utopiła, jest powodem do podejrzeń - warknął Dillon.

- Dillon, czepiasz się jak pijany płotu. Nie masz nic do powiedzenia. To spotkanie jest więcej niż bez sensu, zaczyna być obraźliwe - nie wytrzymał Rossi.

- Dość! - rzucił Ferguson. - Nie rozważamy subtelności prawnych. Mówimy o prawdzie. Pewnie, że nie udałoby się nam doprowadzić do aresztowania was, ale przynajmniej wiemy już, co się stało.

- Nie wiemy nic - stwierdził stanowczo baron. - Marco ma świętą rację, próbujecie nas obrazić. - Powiedziawszy te słowa, wstał.

- Co zrobiłeś? Pchnąłeś ją? - warknął Dillon. Rossi zrobił krok w jego stronę. Interweniowała Hannah Bernstein.

- Daj sobie spokój - powiedziała ostro.

Baron Max von Berger spojrział na wszystkich poważnie.

- Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli teraz wyjdziemy. - Odwrócił się i odszedł. Syn ruszył za nim.

Gdy znaleźli się w samochodzie, baron powiedział cicho:

- Nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią tej kobiety? Przysięgnij.

- Przysięgam na życie. To była zwykła staruszka, której przytrafił się nieszczęśliwy wypadek. Nie jej jednej.

- Ferguson miał rację. To dla nas bardzo korzystny wypadek.

Oczywiście von Berger zdawał sobie sprawę z tego, że jego syn może kłamać, ale odsunął od siebie tę myśl, usiadł wygodnie i przygotował się na długą drogę do domu.

Gdy tylko znalazł się w limuzynie, generał Ferguson przystąpił do działania. Wyłączył telefon. Przez specjalną linię radiową, Codex Four, połączył się z biurem Piwnicy Białego Domu. Johnson przyjął rozmowę natychmiast.

- Tak?

- Ferguson.

- Jak leci, Charles?

- Prawdę mówiąc, kiepsko. Przed chwilą rozmawiałem z premierem. Chce, żebym poleciał do Waszyngtonu, porozmawiał z prezydentem osobiście. Zabiorę ze sobą Dillona.

- Przykro mi, Charles, ale prezydent wyjechał na weekend do swojego domu w Nantucket. W czym rzecz?

- Sprawa jest bardzo poważna i dotyczy go osobiście.

Johnson namyślał się przez długą chwilę.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Lećcie do bazy Andrews. Dostaniecie helikopter i wylądujecie na plaży. Ja wszystko załatwię. - Zawahał się. - Jest bardzo źle, Charles?

- Bardzo.

- A więc ja też będę uczestniczył w spotkaniu.

- Sądzę, że to mądra decyzja, stary przyjacielu. Znow idziesz na wojnę. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Na tym rozmowa się skończyła. Johnson siedział przy biurku, marszcząc czoło. W końcu wybrał numer prywatnej linii prezydenta.

NANTUCKET

Daimler przyjechał na lotnisko Farley Field, pozwolił wyprzedzić się policyjnemu radiowozowi i podjechał za nim pod citation ten, czekający z opuszczonymi schodkami.

Dowódca dywizjonu Lacey i pilot porucznik Parry udekorowani zostali Krzyżem Lotniczym, nagrodą za wiele ryzykownych misji, wykonywanych na żądanie Fergusona. Przy

więcej niż jednej okazji z pilotowanych przez nich maszyn skakał ze spadochronem Dillon, niepewny, jakie powitanie czeka go po wylądowaniu. Bez nich nie istniałaby stworzona przez generała jednostka, głęboko utajniona i nieznana niemal nikomu. Obaj nosili mundury RAF-u.

- Jak widzę, dla odmiany ubraliście się przyzwoicie - zauważył generał.

- W bazie Andrews mamy najbliższych przyjaciół, panie generale.

- Ach tak, oczywiście.

Po schodkach zeszła sierżant RAF-u, młoda, niewysoka, pełna dobrych chęci dziewczyna.

- Jestem June Walters, generale. Mam się wami zaopiekować. Proszę za mną.

Poprowadziła ich do samolotu. Ferguson kroczył za nią posłusznie jak dziecko.

- Hej, chłopaki, oto jesteśmy - przywitał pilotów Dillon.

- To coś poważnego, Sean? - spytał Lacey.

- No cóż, osobiście nie planowałbym urlopu na najbliższe kilka tygodni.

- Wspaniale! - prychnął Parry. - Gdziekolwiek się pojawisz, zawsze robi się ciekawie.

- Ładny macie samolocik. - Zmienił temat Dillon.

- Owszem. Nowy. Podoba ci się? Najszybszy samolot pasażerski na świecie, oprócz concorde'a - wyjaśnił Lacey.

- Zaimponowałaś mi. No, to lecimy. - I Dillon wszedł na pokład.

Wystartowali wkrótce potem, a ich lot był zarejestrowany jako priorytetowy. Kierując się na zachód, weszli na pułap piętnastu tysięcy metrów. Gdy znaleźli się nad Atlantykiem, pojawiła się sierżant Walters.

- Mamy zupełne minestrone, melony, steki, młode ziemniaki oraz warzywa. - Spojrzała na Dillona. - Jak rozumiem, pan woli proste jedzenie. Pozwolę sobie zaproponować danie zwane irlandzką babką ziemniaczaną z baraniną, cebulą i kluskami.

- Jezu, kobieto, nazywasz to zwykłym jedzeniem?

Pani sierżant uśmiechnęła się miło.

- A co w nim takiego niezwykłego? Czego się, panowie, napijecie?

- Mnie przynieś Bushmillsa. I otwórz butelkę jakiegoś szampana, wystarczy, żeby był znośny. Podzielimy się nim.

Kobieta z trudem powstrzymała śmiech, spojrzała na Fergusona, który skinął głową, i wyszła. Dillon zapalił papierosa.

- Co pan powie Cazaletowi? - spytał generała.

- Prawdę o całej tej sprawie. Taką, jaka jest nam znana.

- A co powie on?

- Bóg jeden wie. To godny podziwu, uczciwy człowiek. Życie osobiste nie ułożyło mu się najszcześliwiej; żona zmarła na leukemię, ojciec, stary Jake, o którym Hitler pisze podobno całkiem sporo, zginął przed laty w wypadku samochodowym. O porwaniu córki nikt nie wie więcej od ciebie, bo to ty i Blake ją uwolniliście.

Dillon przyjął szklaneczkę z rąk sierżant Walters i natychmiast ją opróżnił.

- Ale jeśli tajemnica von Bergera przecieknie do prasy, amerykańskiej opinii publicznej będzie doskonale obojętne, przez co przeszedł, nie?

Pani sierżant podała szampana.

- Jesteś cynikiem, Sean - stwierdził Ferguson.

- Tylko realistą. Ale słuchajcie, słuchajcie! Pan generał łaskawie znów zwraca się do mnie po imieniu.

- Czy to coś znaczy?

- Że chce pan, bym zaczął twardo pogrywać. - Dillon uniósł kieliszek. - Twoje zdrowie, Charlie.

- Twoje zdrowie, Sean. Na tobie zawsze można polegać.

Prezydent przechadzał się plażą Nantucket, wyspy, na której stał jego stary, rodzinny dom. Towarzyszył mu jego ulubiony ochroniarz, wielki Murzyn, były żołnierz piechoty morskiej, Clancy Smith oraz Blake Johnson. Pies, labrador Murchison, biegał jak szalony, to wpadał do wody, to z niej wyskakiwał. Może było wzburzone, wiał silny wiatr. Na prośbę prezydenta Clancy zapalił mu papierosa pod osłoną kurtki.

- Przecież tłumaczę panu, panie prezydencie, że wyborcy mogą mieć do pana pretensję o papierosy - mówił Johnson.

- Wszyscy mamy prawo do słabości, Blake, a dzięki papierosom i ty, i ja przetrwaliśmy Wietnam. - Podbiegł do niego Murchison, prezydent poklepał go po łbie. - Ubyłyby mi tysiące wyborców, gdybym uderzył to wspaniałe stworzenie.

Blake Johnson także zapalił papierosa, kryjąc zapalniczkę pod połą ciężkiego płaszcza.

- Poddaję się, panie prezydencie.

- Ferguson nie wspominał ci, o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie. Mówił tylko, że sprawa wygląda kiepsko.

- A więc musimy uznać, że jest bardzo kiepska.

Usłyszeli ryk, głośniejszy niż świst wiatru. Odwrócili się jak na komendę. Na plaży obok domu lądował helikopter.

- Nienawidzę tego dźwięku - powiedział prezydent. - Za bardzo przypomina wojnę. Chodźmy, przywitamy gości i dowiemy się, co poszło nie tak.

Cazalet bardzo cenił sobie spokojne weekendy w rodzinnym domu. Zgodnie z jego życzeniem opiekowała się nim pani Boulder, gospodyni i kucharka, mająca prawo, w miarę potrzeby, zatrudniać ludzi do prac porządkowych pod nieobecność gospodarza. W salonie zajęli więc miejsce tylko Cazalet, Blake i Smith, zaś po przeciwnej stronie stołu usiedli Ferguson i Dillon. Generał opowiedział o wszystkim, niczego nie ukrywając. Gdy skończył, na długą chwilę zapadła cisza. Przerwał ją prezydent.

- Blake, oczywiście, poinformował mnie o tym, co zaszło na pogrzebie Kate Rashid, ale to... Czegoś takiego się nie spodziewałem.

I znów wszyscy umilkli. Tym razem jako pierwszy zabrał głos Blake:

- Naprawdę tak źle to wygląda, panie prezydencie? Przecież właściwie nic się nie stało.

- Czy mogę odpowiedzieć, panie prezydencie? - spytał Dillon.

- Oczywiście.

- Pański ojciec, senator Jake Cazalet... jego udział w tej sprawie wydaje się jasny. Działał zgodnie z rozkazami i w dobrej wierze, jako wysłannik prezydenta Roosevelta, w trudnej, tajnej i delikatnej misji.

- To prawda.

- Może się to wydawać dziwne, ale emisariusz Hitlera, generał Walter Schellenberg z SS, znalazł się w podobnej sytuacji. Nie należał do partii nazistowskiej. Po wojnie sądono go i uznano za winnego wyłącznie przynależności do nielegalnej organizacji, SS.

- I co z tego?

- Ja mógłbym zostać uznany za winnego przynależności do IRA od tak wielu lat, że nie chce mi się pamiętać, ale to nie zmienia ani mojej sytuacji, ani tym bardziej Schellenberga. Był po prostu gońcem, mówił to, co kazał mu powiedzieć Fihrer, i takim samym gońcem był pański ojciec.

- Uważaj, co mówisz, Dillon - ostrzegł generał Ferguson.

- Nie. - Cazalet uniósł dłoń. - Twój człowiek ma rację.

Dillon skinął głową.

- Musimy poznać wszystkie, ale to wszystkie szczegóły. Wejść głębiej. Bo to właśnie zrobi prasa.

- Co pan ma na myśli? - spytał Johnson.

- No cóż, wielu ekspertów, historyków, powie zapewne, że Roosevelt być może okazał zainteresowanie propozycją, ponieważ zawierała ona haczyk: pomysł na zatrzymanie Czerwonej Zarazy, powoli przenikającej na Zachód. Powiedzmy więc, że Roosevelt bawił się tym pomysłem, inaczej przecież nie wysłałby Cazaleta. Mam rację?

- Niech pan mówi dalej - poprosił prezydent.

- Ale rozważył wszystkie implikacje i zmienił zdanie. I właśnie na tym, że zmienił zdanie, skupią się eksperci oraz prasa.

- O czym ty gadasz, Dillon? - zdenerwował się Ferguson.

- O tym, że tuż przed końcem wojny armia amerykańska przekroczyła Łabę. Czołgi generała Pattona mogły spokojnie ruszyć słynnymi niemieckimi autobahnami i dotrzeć do Berlina w dwadzieścia cztery godziny. Tylko że nie ruszyły. Eisenhower nakazał im zostać na miejscu, bo Roosevelt po rozmowie ze Stalinem zdecydował, że Rosjanie mają prawo zdobyć Berlin. I tak zaczęła się czterdziestopięcioletnia zimna wojna. Że nie wspomnę o stu tysiącach zgwałconych Niemek.

Cisza, która zapadła po tej przemowie, była wyjątkowo ciężka. Wszyscy czekali na to, co powie prezydent.

- Ma pan rację - przyznał. - Każde pańskie słowo jest świętą prawdą.

- I świat uczepli się każdego mojego słowa. Pański ojciec jest częścią tej afery, właśnie dlatego że wysłał go prezydent, a ponieważ był pańskim ojcem, pan, panie prezydencie, będzie jej częścią. Moim zdaniem baron Max von Berger właśnie tak sobie to wszystko obmyślił.

Dillon miał rację. Obecni poruszyli się niespokojnie, wymienili spojrzenia.

- Jak, do diabła, mamy z nim walczyć? - spytał Johnson. - Oplacaliby się nam ubiec go i ujawnić te rewelacje?

- Problemem są właśnie te rewelacje - powiedział Ferguson.

- Oczywiście - przytaknął prezydent. - Panowie, w tej chwili biorę udział w bardzo znaczących wydarzeniach związanych z polityką międzynarodową. Nie mogę dyskutować z ONZ na temat Iraku z takim mieczem Damoklesa wiszącym nad głową. Ściągnąłbym nieszczęście na siebie... i nie tylko na siebie. Opozycja w kraju rozerwałaby mnie na strzępy, a przeciwnicy za granicą wykorzystaliby to bez skrępowań.

- Co oznacza...? - zaczął Ferguson, patrząc Cazaletowi w oczy.

- Panie Dillon? - Jake Cazalet uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było za grosz wesołości. - Gdybyśmy mieli ten dziennik...

Sean Dillon skinął głową.

- Zobaczą, co da się zrobić, panie prezydencie. - Spojrzał na Johnsona. - Wchodzisz w to, Blake?

Blake Johnson uśmiechnął się szeroko.

- Jestem z tobą, Sean.

LONDYN
SZKOCJA

IRLANDIA

Tymczasem Marco Rossi przekopywał się przez komputerowe pliki dokumentów Rashid Investments, rozpoznając dopiero skalę operacji Kate Rashid nie tylko w południowych krajach arabskich, ale także tuż pod bokiem, w Irlandii. Prawdę mówiąc, Kate handlowała bronią na wielką skalę, zarówno z IRA, jak i z grupami protestanckich lojalistów. Jedno trzeba jej było przyznać, nie kierowała się uprzedzeniami.

Jedno nazwisko z jej listy znał doskonale, człowieka bardzo niegdyś ważnego dla Stowarzyszenia Obrony Ulsteru, który, po publicznym sporze z macierzystą organizacją, przeniósł się do Czerwonej Ręki Ulsteru, najbardziej chyba ekstremistycznej z organizacji lojalistycznych. Przeptywające w tym kierunku pieniądze okazały się znaczące, nawet w skali Rashidów i von Bergerów. Uznał, że nie ma sensu ich marnować.

I to wyjaśniało, dlaczego tego mrocznego wieczoru Marco Rossi szedł przez Kilburn, najbardziej irlandzką z londyńskich dzielnic Londynu, ubrany w czarną kurtkę, z waltherem PPK w kaburze pod pachą. Za chwilę miał spotkać się z niejakim Patrickiem Murphym, właścicielem pubu Orange George, którego zewnętrzna ściana wymalowana była w sposób przywołujący wspomnienia protestanckiej części Belfastu.

Przez chwilę stał na ulicy, słuchając dobiegającej ze środka irlandzkiej muzyki, potem pchnął drzwi i wszedł do środka. Pub był pełny, grała, oczywiście, irlandzka kapela. Stanął przy końcu baru, nie rzucając się w oczy. Podeszła do niego przystojna kobieta w średnim wieku.

- Pan Murphy mnie oczekuje - powiedział.

- Doprawdy? - Kobieta obejrzała go sobie dokładnie i uśmiechnęła się. - Może chce mnie pan poderwać na ten tekst?

Marco pogłaskał ją po policzku.

- To bardzo kusząca propozycja. Później się nad nią zastanowimy. Ale naprawdę mam spotkać się z panem Murphym.

Powiedz mu jedno słowo: "Marco". Jak ci na imię?

- Janet.

- Kto wie, co przyniesie nam przyszłość, Janet?

Kobieta zarumieniła się ślicznie i odeszła. Od bardzo, bardzo dawna nie była tak zaciekawiona... i podekscytowana.

Murphy siedział w pokoju za barem, gruby mężczyzna w średnim wieku, pochylony nad księgą przychodów i rozchodów. Podniósł wzrok na Marca, którego przyprowadziła do jego gabinetu Janet.

- Ach, pan Rossi. Proszę usiąść. - Skinął na Janet, która natychmiast posłusznie odeszła, wyjął butelkę whisky i dwie szklanki, napełnił obie.

- Na zdrowie! - Wypił, ale Rossi nie odwzajemnił toastu.

Czekał, paląc papierosa.

- Rozmawiamy czy nie? - spytał w końcu.

- Pański telefon wytrącił mnie z równowagi - powiedział Murphy. - Chodzi mi oczywiście o Derry'ego Gibsona. Skąd ktoś taki jak ja ma znać desperata takiego jak on?

Marco nie miał wątpliwości, z kim rozmawia: pionkiem, posłańcem, w drobnych sprawach oczywiście użytecznym, prawdopodobnie rozkoszującym się przekonaniem, że jest rebeliantem, że buntuje się przeciw systemowi.

- Stąd, że przed rokiem nawiązał pan kontakt z Kate Rashid i pośredniczył w organizacji jej spotkania z Derrym Gibsonem, który dysponował znaczącymi pieniędzmi z handlu narkotykami, a chciał kupić broń. Na początku tego roku, w hrabstwie Down, znalazły się dwa

ładunki, dostawa trzeciego została uzgodniona tuż przed śmiercią pani Rashid. Ten trzeci, wart dwa miliony funtów, miał znaleźć się na miejscu w ciągu tygodnia.

- Nie znam Derry'ego Gibsona.

- A więc tracę czas. Znajdę innego kupca na AK47 i rakiety stinger. Może IRA będzie nimi zainteresowana?

Trzasnęły tylne drzwi i do gabinetu wszedł mężczyzna sprawiający wrażenie bardzo twardego. Miał mniej więcej czterdzieści pięć lat, długie jasne włosy, ubrany był w marynarkę z tweedu z Donegal i rozpiętą pod szyją czarną koszulę. Mówił z wyraźnym ulsterskim akcentem i w jakiś dziwny sposób przypominał Rossiemu Dillona.

- Niech pan zostanie. Jestem Derry Gibson.

- No, no, co za niespodzianka. A ja myślałem, że przebywa pan w Drumgoole, na północnym wybrzeżu.

- Bo tam właśnie byłem aż do wczorajszego telefonu tego idioty. Można powiedzieć, że przyleciałem tu w pośpiechu. O co chodzi?

- Prosta sprawa. Handlował pan z Kate Rashid. Kate Rashid nie żyje, a jej firmę przejął mój ojciec, baron Max von Berger.

Nie wątpię, iż wie pan, że nazywam się Marco Rossi. Zajmuję się zabezpieczeniem operacji zarówno Rashid Investments, jak i Berger International.

- Doprawdy?

- Owszem. I nie tylko tym. Choć, szczerze mówiąc, zastanawiam się, dlaczego Kate, mając tyle forsy, zajmowała się tak drobnymi sprawami. Dwa miliony? Wygląda na to, że była romantyczką.

Twarz Gibsona, pozornie nieruchoma, zmieniła się nagle; wyglądało to bardzo dziwnie. Jego prawa ręka przesunęła się w kierunku kieszeni.

- Do diabła, jak pan śmie z niej kpić! To była wielka dama!

- Pozwoli pan, że coś panu zaproponuję - ciągnął spokojnie Marco. - Wyłóżmy karty na stół. Obaj. I nie tylko karty.

Sięgnął ręką do kabury, wyjął z niej walthera, odłożył na bok.

Derry Gibson wahał się tylko przez chwilę. Okazało się, że w prawej kieszeni marynarki także ma walthera.

- Rossi, ma pan doskonały gust... jeśli chodzi o broń. Dobrze, pogadajmy.

- Dysponuję hiszpańskim trałowcem do połowów na pełnym morzu, "Mona Lisa", który doskonale nada się do tego celu - powiedział Marco Rossi. - Pływa pod włoską flagą. Europejskie przepisy dotyczące połowów morskich pozwalają mu wpłynąć na wody irlandzkie. Podpłyniemy do Drumgoole uzgodnionej nocy. Nie widzę problemu. - Rossi uśmiechnął się. - Nie każę panu stać na brzegu z gotówką w garści, ponieważ zna pan reguły tej gry. I z pewnością zechce pan ubić z nami kolejny interes.

- A pan, Rossi? Co skłania pana do zajmowania się tak drobnymi sprawami? Jak rozumiem, pan też nie cierpi na brak gotówki.

- Owszem, ale dzięki nim się nie nudzę. Lubię, kiedy coś się dzieje, panie Gibson. Zawsze lubiłem. W każdym razie, gdy „Mona Lisa” przyplynie do Drumgoole, będę na pokładzie. Wyplynie łodzią z wyspy Man i przesiądę się na trawler na morzu.

- W porządku. Pora wypić za powodzenie. - Gibson sięgnął po butelkę whisky.

- Jest jeszcze coś. Chciałem prosić o przysługę. Sprawa tutejsza, londyńska. Zna pan przypadkiem gangstera Harry'ego Saltera i jego bratanka, Billy'ego?

Murphy, który słuchał ich rozmowy, stojąc przy drzwiach, nie wytrzymał.

- Ci dwaj? Prawdziwi dranie! Harry Salter trząsał kiedyś East Endem, był równie ważny jak Kraysowie. Podobno od paru lat jest legalny, przynajmniej tak mówią. Ale mówią też, że szmugluje papierosy z Holandii. Hurtowo. Zarabia krocie.

- Papierosy opłacają się bardziej niż heroina - dodał Gibson.

- Pan wie najlepiej.

- Może. Co pan ma przeciwko Salterowi?

- A słyszał pan może o pewnym swoim krajanie, który kiedyś był wielką figurą w IRA, Seanie Dillonie?

- W naszym biznesie wszyscy znają Dillona. Cholerny fenianin. Teraz pracuje dla Angoli.

- O tym też pan wie?

- Oczywiście. Charles "Pieprzony" Ferguson. Od wieków był biczem na IRA, ale lojalistom też się nie przysłużył, nasz stary Charles, a teraz, z tak sprawną prawą ręką jak Sean jest kimś, z kim trudno sobie poradzić.

- Mówi pan tak, jakby znał pan Dillona osobiście.

- Zetknęliśmy się. Pewnego dnia, po rozruchach w Derry, znaleźliśmy się w tym samym kanale; armia brytyjska zawsze miała kłopoty z odróżnieniem IRA od Proków. Sean Dillon wyprowadził mnie nad rzekę. Powiedział: "Wiej. I pilnij, żeby więcej na mnie nie wpaść, bo cię zabiję". - Gibson nalał sobie kolejną szklaneczkę, zapatrzył się w nią z zadumą. - Mówią, że zabija wszystkich, ale mnie wyciągnął z kanału, a przecież byliśmy wrogami. Ciągle się zastanawiam, dlaczego zachował się tak elegancko.

- Mnie nie pytaj, ja się nie zajmuję filozofią. Problem w tym, że Ferguson i Rashidowie wypowiedzieli sobie wojnę.

Może słyszał pan o pechu trzech braci? To Dillon ich zabił.

- Kate Rashid też?

- Och, z tym z pewnością też miał coś wspólnego. Ferguson i Salterowie także. Ujmijmy to w ten sposób: chciałbym, żeby spotkały ich poważne przykrości.

- Te najpoważniejsze?

- Jeszcze nie. Najpierw kilka niewinnych kawałów. Słyszałem, że Salter jest właścicielem łodzi wycieczkowych?

- Tak jest - odparł Murphy. - Pływają w górę i w dół rzeki, zatrzymują się w Westminsterze i przy Charing Cross.

Lepsze niż autobus.

- Jest wśród nich "River Queen"?

- To jego duma i radość. Wybudowano ją w latach trzydziestych, a on ją przerobił i wyposażył. Wydał na to fortunę. - Murphy westchnął. - Piękna łódka.

- Doskonale. Panie Gibson, niech pan ją dla mnie zatopi. Jeśli pan to zrobi, ładunek broni zamówiony przez pana u Kate Rashid będzie do odbioru w Drumgoole dziesiątego tego miesiąca.

- Za cztery dni? - zdumiał się Derry Gibson.

- "Mona Lisa" już wypłynęła z Hiszpanii. Założyłem, że jest pan rozsądnym człowiekiem.

Irlandczyk roześmiał się głośno.

- Och, to prawdziwa przyjemność robić z panem interesy, panie Rossi. Oczywiście dotyczy to także tego interesu z Salterami.

Gibson i Murphy dojechali do Wapping land-roverem po północy. Minęli Tajemniczego

Człowieka i zatrzymali się przy Cable Wharf, gdzie cumowała "River Queen". Ta część nabrzeża Tamizy pozostawała zrujnowana, stały tu głównie walące się magazyny. Mrok rozpraszało światło kilku samotnych lamp z drugiego brzegu. O tak późnej godzinie na rzece nie było żadnego ruchu. Nie widzieli nikogo... ale okazało się, że oprócz nich ktoś tam jednak jest. Życie lubi robić niespodzianki.

Nie dostrzegli ruchu wśród sterty skrzynek, w której gnieździł się stary włóczęga, alkoholik Wally Brown. Obudzony hałasem, wypełził z kryjówki i oczywiście nadstawił uszu.

- Jezus, Derry, wcale mi się tu nie podoba.

- Murphy, przecież to sprawa najprostsza z prostych. Dostanę się na dół przez właz do maszynowni i otworzę klapy balastów. Balasty wypełnią się wodą, łódź zatoni. Rób, co ci kazałem, a skończymy tak szybko, że będziesz miał wrażenie, jakby nigdy cię tu nie było. A jak coś spieprzysz, ciebie też będą wyławiali z rzeki.

- Nie musisz mnie straszyć, Derry.

- Może i nie muszę, ale ta broń od Rossiego znaczy dla mnie bardzo wiele. Jeden ładunek i będę mógł na serio wziąć się za IRA. Znowu będzie jak w dawnych, dobrych czasach.

- No to do roboty.

Weszli po trapie na pokład "River Queen". Wally Brown, który usłyszał każde słowo, odpełził do swojej skrzyni.

Murphy stał na pokładzie, na czatach. Gibson ruszył do maszynowni. Latarkę włączył dopiero, gdy zszedł do środka po stalowej drabinie. Silniki łodzi były naprawdę piękne. Wszystko tu było piękne, Irlandczykowi wychowanemu w dokach autentycznie żal było "River Queen".

- Szkoda jej - szepnął do siebie. - Ale...

Wiedział, że będą tu przynajmniej cztery klapy, i miał rację.

Znalazł cztery mocne, mosiężne koła. Pierwsze poruszyło się gładko, pozostałe też. Gdy odkręcał czwarte, woda już przelewała się po pokładzie, sięgała kostek.

Wyszedł z maszynowni, podszedł do Murphy'ego.

- Rzucić przednią cumę, ja rzucę tylną. Spotkamy się na nabrzeżu. Tylko szybko.

Zrobili, co mieli do zrobienia, wciągnęli trap na nabrzeże, cofnęli się od jego krawędzi i przyglądali, jak "River Queen" odpływa i powoli tonie.

- Przykry widok - westchnął Gibson, gdy woda przelała się przez górny pokład. - Ale zrobiliśmy, co musieliśmy zrobić. Z samego rana wracam do Belfastu. Jeśli będę cię potrzebował, zadzwonię.

- Jedno wiem - stwierdził Murphy, wsiadając do land-rovera - Harry'emu Salterowi wcale się to nie spodoba.

I miał rację. Salter zadzwonił do Dillona z samego rana, przerywając mu jogging.

- Jakiś cholerny sukinsyn zatopił "River Queen". Przy nabrzeżu!

- Jak to? - zdziwił się Dillon.

- Przecież ta pieprzona łódź nie zatonała sama! Jest już Billy, ma sprzęt do nurkowania. Sprawdź, co się stało.

- Harry, on nie powinien tego robić. Zaledwie parę miesięcy temu w Hazarze postrzelono go, i to ciężko. Już jadę.

Wyłączył telefon, myślał przez chwilę, po czym zadzwonił na Cavendish Place, do Fergusona.

Na końcu Cable Wharf czekali już na niego Harry, Joe Baxter i Sam Hali. Przyglądali się tym niewielkim fragmentom "River Queen", które ciągle wystawały nad powierzchnię wody.

Shogun Billy'ego stał zaparkowany z otwartymi tylnymi drzwiami, w bagażniku widać było części ekwipunku nurka oraz kilka butli z tlenem.

- Gdzie Billy? - spytał Dillon, wyskakując z morrisa.

- Zszedł pod wodę piętnaście minut temu.

- Do cholery, on nie powinien nurkować. Trzeba to było zostawić ekspertom.

W tym momencie przyjechali Ferguson i Hannah Bernstein i jednocześnie wynurzył się Billy. Ściągnął z pleców butlę, podał ją Dillonowi. Okazało się, że nie jest w stanie wspiąć się po drabince na nabrzeże, Baxter i Hali musieli mu pomóc. Zdjął maskę. Twarz miał siną z zimna.

- Ty cholerny idioto! - Dillon niemal krzyczał.

- No, tego akurat uczyłem się od ciebie. Klapy balastów wszystkie cztery. Szeroko otwarte. Zamknąłem je. To była ciężka robota.

- A więc wystarczy wypompować wodę i "River Queen" wypłynie?

- Pozostaje tylko jeden problem. Nie wiemy, kto to zrobił.

Zapadła cisza, którą zupełnie niespodziewanie przerwał ochryply, drżący, przepity głos.

- Ja wiem, panie Salter. Widziałem ich i słyszałem.

- Wally Brown! - zdziwił się Joe Baxter. - To bezdomny - wyjaśnił. - Sypia tu w skrzyni.

- Słyszałeś ich? - zainteresował się Harry.

- Tak. Jeden nazywa się Murphy, ale rozkazy wydawał ten, któremu Murphy mówił "Derry". Powtórzył to imię parę razy. Mieli śmieszny akcent, jakby irlandzki, ale nie irlandzki. - Wskazał Dillona. - Tak sobie myślałem i wyszło mi, że mówili jak ten pan.

- Derry. I mówi jak ty, Dillon. Północny Irlandczyk?

- Być może chodzi o Derry'ego Gibsona z Czerwonej Ręki Ulsteru? - wtrąciła Hannah Bernstein.

- Upiór wrócił, by mnie prześladować - westchnął Dillon. - Ale dlaczego?

- Ten Derry wspominał jakiegoś Rossiego - dodał stary Wally.

Zapanowała grobowa cisza.

- Zabiję go - syknął Harry, który jako pierwszy odzyskał mowę. - Zabiję sukinsyna.

- Nie, nie zabijesz, Harry, a przynajmniej nie teraz - powiedział stanowczo Ferguson. - Wracamy pod Tajemniczego Człowieka. Panu dziękuję, panie Brown. Okazał się pan bardzo pomocny. Czy słyszał pan coś jeszcze?

Zajęli obszerną, narożną lożę. Barmanka Dora podała kawę i herbatę. Harry i Billy Salterowie, Ferguson, Hannah oraz Dillon siedzieli wygodnie na kanapach, Baxter i Sam Hali stali obok, oparci o ścianę. Przy małym stoliku w kącie Wally Brown łączywie pożerał jajecznicę na bekonie.

- Wypowiedzieli nam wojnę - orzekł Harry.

Dillon skinął głową.

- To prawda - przyznał - ale, wybacz mi, Harry, nie to jest najważniejsze. Rossi dogadał się z Gibsonem i dostarcza mu broń, to najistotniejsza wiadomość. Według naszego informatora Murphy nie był szczęśliwy, zatapiając "River Queen", a Derry mu groził. Powiedział, że transakcja z Rossim, ta ostatnia dostawa broni, umożliwi mu dobranie się do IRA.

- Co proponujesz? - spytał Ferguson.

- Opuścimy sobie na razie barona i jego syna. Najpierw mam zamiar pogadać z Patem Murphym.

- Z tym sukinsynem? Jadę z tobą. - Harry Salter niemal krzyczał.

Generał zgodził się z nimi natychmiast.

- Tylko niech po tej rozmowie nie wypłynie w Tamizie, Sean - poprosił.

- Nie wygłupiaj się, Charles. Jeśli tu, w Londynie, prowadzi interesy dla Derry'ego Gibsona i Czerwonej Ręki, jest zbyt cenny, żeby go zabijać.

Marco wraz z ojcem siedzieli w salonie na South Audley Street. Baron uznał to, o czym dowiedział się od syna, za dość zabawne.

- Och, wielki Harry Salter będzie bardzo, ale to bardzo rozczarowany. Ale jest jeszcze ta druga sprawa. "Mona Lisa", transport broni. Uważasz, że to mądre posunięcie?

Marco powiedział ojcu dokładnie to, co chciał usłyszeć.

- Przecież było to jedno z ostatnich posunięć Kate Rashid, ojciec. Wcześniej też często współpracowała z Gibsonem. - Uznał, że to może nie wystarczyć, i dodał: - Gibson zawsze ją podziwiał i nadal podziwia. Kate jest dla niego "wielką damą", sam mi to powiedział.

- Naprawdę? No to przynajmniej możemy go pochwalić za dobry gust. A ten hiszpański trawler, "Mona Lisa"... jak liczną ma załogę?

- Kapitan, niejaki Juan Martino i pięciu marynarzy. Same łotry, oczywiście.

- Masz zamiar wziąć w tym udział?

- Owszem. Po drodze do Drumgoole, czyli na północne wybrzeże Irlandii Północnej, muszę zbliżyć się do zachodniego brzegu wyspy Man. Skontaktowałem się z naszymi ludźmi, załatwią mi szybką łódź motorową. Podrzuci mnie na pokład.

- Czy to konieczne, Marco?

- Nie. Ale przynajmniej nie będę musiał siedzieć w biurze.

Starzec roześmiał się wesoło.

- Idź już, łobuzie... ale wróć bezpiecznie. Bardzo cię potrzebuję.

Bar Orange George otwierano o dziewiątej; właściciel miał na to pozwolenie, ponieważ serwował pełne irlandzkie śniadanie. Gdy Dillon wszedł do środka, sala była pusta. Janet, barmanka, spokojnie czytała gazetę.

- Powiedz Patrickowi, że chcę się z nim zobaczyć - polecił.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich Murphy. Na widok gościa zbladł jak papier. Sean obszedł bar.

- Patrick, mój stary przyjacielu, to rzeczywiście ja, Sean. - Wepchnął Murphy'ego do prowadzącego do kantoru korytarzyka. - Rób, co mówię. No już, otwórz tylne drzwi. - Przerażony Murphy natychmiast wykonał jego polecenie. Do środka weszli Harry i Billy Salterowie. Wepchnęli gospodarza do pokoju, zamknęli za sobą drzwi. Harry pchnął go na krzesło, uderzył w twarz otwartą dłonią.

- Ty skurwysynu, zatopiłeś moją łódź!

- To nie ja, panie Salter. Przysięgam!

Billy odepchnął wuja.

- Zostaw go mnie - powiedział groźnie, ale Dillon go powstrzymał.

- Ja to załatwię. - Z jednej kieszeni wyjął walthera, z drugiej tłumik. Nakręcił go na lufę pistoletu. - Ten sposób jest znacznie skuteczniejszy - powiedział tonem nauczyciela zwracającego się do dzieci. - Cichy. Zacznę od lewego łokcia, a potem się zastanowię. Może prawe kolano? Przez pół roku będzie chodził o kulach.

- Mój Boże, nie - szepnął przerażony Murphy. - Czego chcesz?

- Derry'ego Gibsona. Na razie wszyscy zapomnimy o tym, że zatopiłeś piękną łódź naszego wspólnego przyjaciela, pana Saltera.

Opowiedz mi o transakcji Derry'ego i Rossiego. O dostawie broni.

- Boże, on mnie zabije. To sadysta!

- Mylisz się. Sadystą jestem ja - powiedział Billy Salter i dwa razy mocno uderzył

Murphy'ego w żołądek. - A teraz grzecznie powiesz panu Dillonowi wszystko, co chce wiedzieć... albo skończysz w betonie jako utwardzenie pod nawierzchnię tego nowego przedłużenia North Circular Road.

Murphy doskonale zdawał sobie sprawę, że wpadł w bardzo złe towarzystwo. Zaczął mówić.

Podjechali pod mieszkanie Fergusona. Murphy został w samochodzie, pilnowany przez Baxtera i Halla. Gospodarz, obaj Salterowie i Dillon usiedli wygodnie, Hannah Bernstein stała oparta o ścianę.

- Szykuje się nieszczęście - zaczął Ferguson. - Wszyscy wiemy wprawdzie, że proces pokojowy legł w gruzach, dowodzi tego aktywność dysydenckich gmp związanych z IRA, ale taki ładunek broni dla lojalistów da im przewagę, która całkowicie zburzy równowagę sił.

- Powinniśmy przekazać sprawę policji Irlandii Północnej, sir - powiedziała z szacunkiem Hannah Bernstein.

- Na to nas nie stać - stwierdził z przekonaniem Dillon. - Jeśli ruszymy policję z regionu Drumgoole, Derry Gibson natychmiast się o tym dowie. Jest na swoim terenie, ale nie tylko o to chodzi. On ma nawet krewnych w policji.

- Więc co proponujesz?

- Jeśli pojawi się tam ktoś obcy, natychmiast wzbudzi podejrzenia.

- To co mamy zrobić? Wysłać SAS?

- Nic aż tak oficjalnego. Kiedy poprzednio załatwialiśmy podobną sprawę, pożyczyliśmy sobie łódź motorową z Obanu, z Bazy Powietrznej Morskiej Służby Ratowniczej RAF. Nie widzę powodu, by nie pożyczyć jej znowu. Zarezerwujcie łódź, zapewnijcie mi odpowiedni sprzęt do nurkowania i właściwą ilość semteksu, a pošlę "Monę Lisę" do piekła.

- Sam? - zdumiał się Ferguson.

- Czemu nie? Będzie to przynajmniej prawdziwa tajna operacja.

- Ten pomysł mi się nie podoba - powiedziała Bernstein. - Przecież to nielegalne.

- A co ze mną? - spytał Billy. - Kiedy ostatnim razem próbowałeś takiego numeru, wzięłeś ze sobą i mnie, i panią superintendent.

- Pani superintendent nie jest zainteresowana, ponieważ doznała ataku wyrzutów sumienia, a ty nie możesz, bo parę miesięcy temu dostałeś kulę w szyję i dwie kule w biodro. Jak mawiali Niemcy, biorąc kogoś z naszych do niewoli: "Dla ciebie wojna się skończyła".

- Pieprz się!

Dillon spojrzał na Fergusona.

- Chce pan załatwić sprawę czy nie, panie generale? A możemy sporo zyskać. Być może osiągniemy to, co jest nam w tej chwili najbardziej potrzebne: sprowokujemy von Bergera, zmusimy go do popełnienia błędu. Przecież zatopimy im statek z cennym ładunkiem. Dzięki temu złapiemy być może jakiś namiar na ten cholerny dziennik.

- Masz rację. Musimy to zrobić i sporo możemy zyskać. Warto zaryzykować. Hannah, zamknij Murphy'ego w bezpiecznym domu w St. John Wood. Dopilnuj, żeby zadzwonił do Orange George i podał jakiś sensowny powód nieobecności.

- Jeśli tego pan sobie życzy, sir...

- Dillon da ci listę broni i materiałów wybuchowych, których będzie potrzebował. Wyposażenia dopilnuje kwatermistrz. Zamów gulfstreama, pilotować ma dowódca dywizjonu Lacey. Jutro rano o pierwszej? Co ty na to, Dillon?

- Niech będzie, Charles.

- Świetnie. W takim razie do zobaczenia... bo lecę z tobą.

- Co? Pan oszalał!

- Z pewnością nie aż tak jak facet, który jest pewny, że samotnie dopłygnie z Obanu do północnego wybrzeża Irlandii. Dla twojej wiadomości - to raczej niespokojne wody. Nie słyszałeś o tym, że każdy musi kiedyś spać? Nie słyszałeś, że jestem więcej niż dobrym żeglarzem i nieźle znam się na nawigacji?

Dillon uniósł ręce w geście poddania.

Następnego dnia Dillon zgłosił się na Farley Field, do kwatermistrza, emerytowanego starszego sierżanta gwardii. Obaj znali się dobrze i często ze sobą współpracowali.

- Proszę, panie Dillon: trzy walthery, trzy pistolety maszynowe uzi, granaty paralizujące i semtex. Są jeszcze zapalniki: dziesięciominutowe, półgodzinne i godzinne. Tego pan chciał?

- Dokładnie tego. A co ze sprzętem do nurkowania?

- Będzie czekał na pana w Obanie, na "Highlanderze"; zdaje się, że używał pan już kiedyś tej łodzi. Dwa standardowe kombinezony, płetwy, wszystko, czego pan może potrzebować.

- Dlaczego dwa?

- Bo dwa zawsze lepsze niż jeden, nie uważa pan?

- Co prawda, to prawda.

W tym momencie pojawił się daimler, z którego wysiedli Ferguson i szofer. Szofer wręczył torbę Parry'emu, który wniósł ją po stopniach i przekazał sierżantowi Waltersowi.

- Wyglądasz jak prawdziwy żeglarz džentelmen, Charles. Sztruksy, sweter. Ślicznie - zakpił Dillon.

- Bardzo zabawne - prychnął generał. I umilkł, ze zdziwieniem przyglądając się podjeżdżającemu shogunowi. Za kierownicą siedział Harry Salter, a obok niego, na przednim siedzeniu, Billy. Wysiedli. Billy ubrany był w czarną kurtkę, w rękę trzymał torbę.

- A to co, do cholery? - Dillon niemal krzyknął.

- To ja. Zabieram się z wami. W końcu obaj macie już swoje lata. Przyda wam się pomoc kogoś młodszego. - Billy uśmiechnął się szeroko.

Sean Dillon spojrzał na Fergusona, który bezradnie wzruszył ramionami.

- Facet cholernie nalegał. Pomyślałem sobie: czemu nie? Niech idzie do piekła własną ścieżką.

- Zwróć mi go w jednym kawałku, Dillon - powiedział Harry. - Bo jeśli nie...

- Dobra, rozumiem. - Sean spojrzał na Billy'ego i pokręcił głową.

- Mamy swoje lata, co? No to w drogę.

Jako ostatni do samolotu wsiadł Ferguson.

Przywitał ich sam dowódca bazy RAF-u w Oban, zapewne przez szacunek dla rangi Fergusona. Dał im też nieoznakowany samochód, którym pojechali z dwoma sierżantami, Smithem i Brianem.

- Mam wrażenie, że kiedyś już się spotkaliśmy - powiedział Dillon.

- W dokumentach nie ma na ten temat żadnej wzmianki. - Brian uśmiechnął się. Byli już blisko przystani. - Ale z pewnością rozpozna pan "Highlandera". Stoi tam, dwieście metrów dalej.

- Nie powiem, żeby zrobił na mnie wrażenie - powiedział Ferguson.

- I dobrze, bo nie o to chodzi - odparł Dillon. - Ale ma dwie śruby, echosondę, radar, automatycznego pilota... i robi dwadzieścia pięć węzłów.

- Rzeczy przywieziemy naszą łodzią ratowniczą - zaproponował sierżant Brian.

Czterdzieści minut zajęło im przetransportowanie wszystkiego na pokład. Brian pożegnał

ich słowami:

- Nie wiem, co planujecie, ale tak czy inaczej życzę szczęścia. Macie pierwszej klasy pontony z przyczepianym silnikiem.

Powinny wam dobrze posłużyć. No, na mnie czas.

Ferguson podziękował mu uprzejmie. Łódź ratownicza odpłynęła.

- Billy był już wcześniej na pokładzie "Highlandera" - powiedział do Fergusona Dillon. - Wszystko ci pokaże. Ja skontaktuję się z Roperem. Warto sprawdzić, czy coś dla nas ma.

Major siedział przy komputerach, z zadowoleniem przyglądając się efektom swojej pracy i talentu, który pozwolił mu spenetrować komputery Rashidów.

- Co wiesz o "Monie Lisie"? - spytał Dillon.

- Łowi z małego portu rybackiego na północy Hiszpanii, San Miguel. Odbywa się tam mnóstwo nielegalnych transakcji, ale "Mona" jest przyzwoitym hiszpańskim trawlerem do połowów na pełnym morzu, z europejską licencją na wody przybrzeżne Kornwalii, Walii i Morze Irlandzkie.

- Jakim kursem odpłynęła?

- Zgodnie z tym, co podała Straży Przybrzeżnej, ma zamiar trzymać się zachodniego brzegu wyspy Man, którą minie jutro, a łowić u północnych wybrzeży Irlandii.

- Bardzo wygodne. Masz coś jeszcze?

- Właściwie nie. Bo z pewnością nie zainteresuje cię taki drobiazg jak informacja o tym, że jeden z samolotów Berger International odleciał na Man i że jego pasażerem był niejaki Marco Rossi.

- No proszę, proszę! - powiedział Dillon ze śmiechem.

- Jeśli planuje wycieczkę na morze, to niech się dobrze przygotuje. Na jutro i jutrzejszą noc zapowiadają silny wiatr, deszcze i wysoką falę. Kto się tam znajdzie, nie będzie miał wątpliwości, gdzie jest.

- Brzmi interesująco.

- Masz jakiś plan, Sean?

- Bardzo prosty. Płyniemy na miejsce, wysadzamy "Monę Lisę" i... deponujemy broń wartą okrągłe dwa miliony na dnie Morza Irlandzkiego.

- A załoga? Mam na liście kapitana Martino i pięciu marynarzy: Gomeza, Fabia, jakiegoś Artura, Enrica i Sancha.

Zabijesz ich wszystkich?

- Czemu nie? Jeśli nawet nie są łotrami, to bardzo dobrze ich udają. Podobno przemycali wszystko, od heroiny po ludzi, tak mi przynajmniej mówiono, a teraz jeszcze wzięli się za broń. Jeśli nie lubią ryzyka, nie powinni zajmować się tego rodzaju robotą.

- Mnie to bez różnicy. Będziemy w kontakcie. Odezwę się do ciebie jutro.

- Doskonale. Nie odpuszczaj von Bergerów, dobra? Jestem pewien, że to Rossi odpowiada za śmierć Sary Hesser.

- Sprawdzę, co da się zrobić.

W Obanie lało, nad morzem wisiała gęsta mgła. Za Kerrera, w Firth of Lorn, morze było wzburzone, a szczyty gór skrywała gęsta powłoka chmur.

- Zawsze powtarzałem i będę powtarzał, że to cholernie pieprzone miejsce. Nic tylko leje i leje.

- Mylisz się, Billy - sprostował Dillon i zwrócił się do Fergusona. - Tu pada sześć dni w tygodniu. Dobrze mówię, panie generale?

- Jak zwykle.

- Cieszę się z tego komplementu. I proszę ze mną do sterówki.

Po jednej stronie tablicy kontrolnej znajdowała się skrytka. Dillon otworzył ją, naciskając guzik. Była w niej skrzynka bezpieczników oraz kilka nietypowych uchwytów. Dillon rozpiął jedną z toreb z bronią, wyjął browninga z założonym magazynkiem mieszczącym dwadzieścia jeden pocisków, umieścił go w jednym z nich. Dodał do niego walthera.

- Strzał w dziesiątkę - powiedział, zamykając skrytkę.

- Mój Boże, trzeba przyznać, że poważnie traktujesz ten interes - westchnął generał.

- Traktuję poważnie każdy z moich interesów, Charles. A teraz możemy popłynąć na brzeg i coś zjeść.

Zmierzch zapadł wcześniej, jak to na północy. Dillon zapalił światła na pokładzie, po czym wszyscy trzej popłynęli pontonem na brzeg. Znajdujący się blisko nabrzeża pub miał w menu babki ziemniaczane zapiekane z mięsem, które oczywiście zamówili.

- Napiłbym się whisky i niech będzie duża. Billy, co dla ciebie?

- Billy nie pije - uświadomił Fergusonowi Dillon.

- Nienawidzę smaku alkoholu!

- Wszystko jak w Biblii: wino oszukuje człowieka, a mocne alkohole sprowadzają na niego szaleństwo - zakpił Sean.

- No, ale ty przecież pijesz.

- A owszem. Najchętniej bushmillsa. I, co więcej, zaraz wypiję drugiego.

- Bardzo mi ciebie żal, Dillon - odciął się Ferguson, ale w tym momencie podano im jedzenie i rozmowa się skończyła.

Później, gdy wrócili już na pokład "Highlandera" i usiedli na rufie osłoniętej brezentowym daszkiem, o który bębnił deszcz, Ferguson spytał:

- A więc jaki masz plan?

- Roper powiedział, że jutro "Mona Lisa" przepłynie wzdłuż zachodniego wybrzeża wyspy Man. Zgadnijcie teraz, kto leci na wyspę samolotem Berger International? No dobrze, możecie się nie głowić: Marco Rossi.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś? - zirytował się Ferguson.

- Tym miłsza niespodzianka, im dłużej się na nią czeka. Moim zdaniem bardzo mu się podoba pomysł nocnego rejsu do Drumgoole.

- Bardzo prawdopodobne. A kiedy to my dotrzemy na miejsce... co zamierzasz zrobić?

- Powtórzę wam, co powiedziałem Roperowi: wysadzę w powietrze tę cholerną balię i lepiej nie martwcie się o jej załogę. O nich wszystkich Włosi powiedzieliby: animal. Może i Rossi będzie na pokładzie? Jeśli dopisze szczęście, rzecz jasna.

- Faktycznie, Dillon, jesteś jedyny w swoim rodzaju. Ale... martwi mnie Derry Gibson.

- Jak to, martwi?

- Może przysporzyć nam wielu kłopotów. Czerwona Ręka Ulsteru? Skąd oni biorą te kretyńskie nazwy?

- To prości Irlandczycy, Charles. Sądziłem, że potrafisz ich zrozumieć, w końcu twoja święta mamuśka pochodzi z Cork.

- Dobra, już rozumiem, co chcesz powiedzieć. Nie załatwia to jednak sprawy Derry'ego Gibsona. Może wybuchnąć wojna domowa gorsza niż kiedykolwiek: katolicy przeciw protestantom.

- Więc co mam według ciebie zrobić, generale? Zastrzelić go?

- To wcale nie jest zły pomysł.

- Wręcz przeciwnie, znakomity! - zakpił Billy Salter. - On jest Wyatt Earp, ja jestem Doc

Holliday, a Derry i Gibson już spoczywają w trumnach wystawionych w oknie przedsiębiorcy pogrzebowego, złożone ręczki, zamknięte oczy. Dodge City, jak rany.

- Wiesz co, Billy? Sam nie potrafiłbym ująć tego lepiej. - Ferguson wstał. - Dobry dzień, by wcześniej położyć się spać. Do zobaczenia rano. Aha, jest jeszcze jedna sprawa. Kiedy już przyplłyniemy pod Drumgoole... czy miejscowi nie zaczną się zastanawiać, kim, u diabła, jesteśmy?

- Nie, jeśli wyciągniemy sieci, które mamy w ładowni i rozłożymy je na pokładzie. Tam, na północy, kręci się mnóstwo kutrów rybackich.

- To mi wystarczy. - Ferguson zszedł pod pokład.

- Prawdziwy dżentelmen - mruknął z namysłem Billy. - Ale wiesz co? Mam wrażenie, że jest twardszy od Harry'ego, a to wielki komplement.

- Po pierwsze i najważniejsze, to ludzie tacy jak on uczynili z Anglii imperium - odparł Dillon. - A po drugie, pomyśl trochę, jeśli chodzi o Gibsona, staruszek ma świętą rację. Muszę to sobie przemyśleć.

- Uważasz, że warto go załatwić?

- A czemu nie? Zabijałem ze znacznie błahszych powodów. Wiesz, że kiedyś uratowałem gościowi życie? Siedzieliśmy w kanale w Londonderry, polowali na nas brytyjscy spadochroniarze, więc chociaż byliśmy przeciwnikami, wyciągnąłem go z gówna. Ale zapowiedziałem, że ma wiać i nie wracać, bo jeśli jeszcze raz wejdzie mi w drogę, to go zabiję.

- I teraz...?

- Wygląda na to, że wrócił i jednak wlaź mi w drogę. No, pora do łóżka.

Dillon zszedł do kajuty. Billy poszedł za jego przykładem.

Następnego dnia oczywiście padał deszcz. Kiedy Ferguson wyszedł na pokład, zobaczył najpierw przewieszzonego przez reling Billy'ego, a potem Dillona, pływającego w morzu i bawiącego się z dwiema fokami.

- On jest szalony - stwierdził z podziwem Billy.

- Też mi odkrycie. Ja to wiem od ładnych paru lat.

- A mówi się, że w tej temperaturze ludziom odmarzają jaja. Brrr...

Dillon podpłynął do barierki i bez wysiłku wciągnął się na pokład.

- Cześć, Charles. Nie masz pojęcia, jak dobrze poranna kąpiel robi na apetyt. - W sterówce zatrzeszczało radio służące do komunikacji z ładem. - Przyjmij rozmowę, dobrze? To pewnie Roper. Ja się tymczasem przebiorę.

Rzeczywiście był to Roper.

- Ach, to pan, generale. Dzień dobry. Mam kilka nowych informacji. Samolot Rossiego wylądował w Ronaldsway na wyspie Man dziś o jedenastej rano. "Mona Lisa" jest w tej chwili pięć mil od brzegu, na wody przybrzeżne Irlandii Północnej ma wpłynąć po południu. Pogoda nie jest tam najlepsza, powiedziałbym więc, że w pobliżu Drumgoole znajdzie się dopiero wieczorem. Ale trudno być czegokolwiek pewnym. Nie przy tej pogodzie.

- W porządku. Dzięki, majorze.

Dillon wszedł do sterówki, Ferguson natychmiast powtórzył mu treść rozmowy. Przede wszystkim przyjrzeni się mapom.

- Trochę już tu pływałem, więc wiem, co robię, ale pogoda rzeczywiście jest parszywa. Rozejrzyj się, Charles.

Oban spowijała gęsta mgła.

- Wszystko tu jest popaprane - poskarżył się Billy. Dillon tylko skinął głową.

- No tak - liczył szybko. - Powiedzmy, że ląduje o jedenastej, potem ktoś wiezie go do

portu, wsadza na łódź. Pięć mil po wzburzonym morzu. Na pokładzie "Mony Lisy" znajdzie się najwcześniej o drugiej i dopiero wtedy popłyną do Ulsteru, ale przy tej pogodzie... - pokręcił głową. - A ty co o tym sądzisz, Charles?

- Najwcześniej trzecia, a pewnie i to nie.

- Zgoda. Kotwicę podnosimy o drugiej. A na razie pora na pyszne szkockie śniadanko. A Billy dostanie pyszne szkockie pastylki przeciw chorobie morskiej.

Lot z Londynu do Ronaldsway nie należał do najprzyjemniejszych. Rossi, pilot myśliwca z dużą praktyką na tornadach, chętnie sam zasiadał w fotelu pierwszego pilota, ale i on miał kłopoty, zwłaszcza nad lotniskiem, gdzie wiały zdradliwe zmienne wiatry. Mimo to nie przekazał sterów i wylądował gładko. Miejscowy pracownik Rashid Investments już na niego czekał. Zawiózł go samochodem do niewielkiej wioski, gdzie zacumowano łódź motorową z dwuosobową załogą.

Wyłynęli natychmiast. Zaraz za osłoną falochronu łodzią zaczęły miotać wysokie fale. Widoczność była niemal zerowa. Odnalezienie "Mony Lisy" zajęło im pełną godzinę. Wreszcie podłynęli burta w burtę do hiszpańskiego trawlera, którego rufa obwieszona była sieciami. Obie jednostki zderzyły się dwukrotnie, załogi czuwały przy burtach z bosakami. Marco Rossi zaryzykował; wyczuł odpowiednią chwilę i po prostu przeskoczył z łodzi na trawler. Widząc to, załoga tylko mu pomachała i łódź natychmiast odplynęła.

Trójka, może czwórka stojących przy relingu mężczyzn zmierzyła Marca nieprzyjawnymi, podejrzliwymi spojrzeniami. Zignorował ich i ruszył prosto do sterówki. Na jego spotkanie wyszedł mężczyzna w marynarskim płaszczu i kapitańskiej czapce, mocno niedogolony, z wiszącym w kąciu ust niezapalonym papierosem. Na oko wyglądał na niesympatycznego twardziela. Przyjrzał się gościowi z nieukrywaną pogardą.

- Jestem Martino, kapitan - powiedział niedbale.

- A ja jestem Marco Rossi, twój szef.

Kilku członków załogi się roześmiało. Kapitan zapalił mocno zaślinionego papierosa.

- Powinno mnie to onieśmielić? - spytał.

Rossi chwycił go za lewe ucho. Wciskając w nie kciuk, wyciągnął walthera i wpakował lufę pod brodę pana kapitana.

- Masz wybór, przyjacielu - syknął. - Albo nadal będziesz pracował dla Rashidów i zarabiał kupę forsy, albo przestrzelę ci gardło, gębę i, na końcu, mózg, o ile go masz. Całość wyleci przez podstawę czaszki. Ktoś będzie to musiał posprzątać, a to, wierz mi, parszywa robota.

Martino spróbował się uśmiechnąć.

- Eee... seńor, to chyba jakaś pomyłka.

- Z pewnością nie moja, więc wychodzi na to, że wszystko przez ciebie. Spróbuj drzeć ze mnie łacha, a już nie żyjesz. Czy dobrze się rozumiemy?

- Doskonale, seńor.

- Cieszę się. A teraz do roboty.

Wszedł do sterówki. Marynarze spojrzeli na kapitana, a on tylko skinął głową. To im wystarczyło. Wzięli się do roboty.

Południe minęło już jakiś czas temu. "Highlander" zmagął się z wysoką falą. Miał za sobą Oban, minął już wyspę Man, właśnie wpływał na Morze Irlandzkie. Dillon stał przy sterze, Billy wpatrywał się w mapy, a Ferguson spokojnie zszedł pod pokład.

Mgła była gęsta jak śmietana, deszcz lał nieprzerwanie; popołudnie tego dnia niczym nie różniło się od zmierzchu, który zapadał tu wcześniej. Dillon dostrzegł jeden z irlandzkich

promów; przez mgłę przebijały się tylko zielone i czerwone światła pozycyjne.

Do sterówki wszedł Ferguson z tacą, na której stały trzy kubki herbaty. Postawił ją na stole, zerknął na mapę, włączył radio i niemal natychmiast złapał prognozę pogody.

- Będzie gorzej, nim zrobi się lepiej - powiedział spokojnie. - Dillon, teraz ja powinienem stanąć przy sterze.

Sean Dillon nie zamierzał się z nim kłócić. Ferguson przede wszystkim zmienił kurs o kilka stopni, potem zwiększył szybkość, bez strachu wbijając łódź w nadchodzący ze wschodu front atmosferyczny. Fala była coraz większa.

- Jezu, jak ja się boję - jęknął Billy.

- Nie ma powodu - uspokoił go Dillon. - On wie, co robi. Zejdę do kuchni i zrobię nam parę kanapek z boczkiem.

- Dla mnie możesz się nie fatygować. Zaraz będę rzygał.

- Zawsze możesz wziąć jeszcze kilka pastylek - stwierdził spokojnie Dillon i znikł pod pokładem.

Wrócił pół godziny później z tacą kanapek i bez szczególnego zdziwienia stwierdził, że Ferguson został sam.

- A co z naszym cudownym dzieckiem? - spytał.

- Zażyłoby lekarstwo i zwało pod pokład. Ale fajnie pachną!

- Bierz, nie krępuj się.

Ferguson włączył automatycznego pilota i natychmiast poczęstował się kanapką z boczkiem. Dillon nalał whisky do dwóch plastikowych kubków. Jedli i pili w przyjacielskiej ciszy. Zapadał prawdziwy zmrok, znacznie wcześniejszy niż zwykle, tylko morze lekko fosforyzowało.

- Radzisz sobie z łodzią na wysokiej fali, jakby to była najprostsza rzecz na świecie - powiedział cicho Dillon.

- Zawsze lubiłem morze. Od dzieciństwa. Wybrzeże zachodniego Sussex aż do wyspy Wight. - Generał dopił whisky. - Dobrze te kanapki. - Wziął jeszcze jedną. - Ten browning z magazynkiem na dwadzieścia pocisków, który wsadziłeś w uchwyty tam, w sterówce, przypomniał mi przeszłość.

- Jak to?

- A tak. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim wziąłem długi urlop. Byłem już wtedy majorem, raczej nieźle jak na moje lata. Przepłynąłem samotnie Atlantyk, z Portsmouth na Long Island. To musiała być Long Island, bo tam mieszkał mój stary wujek. Nawiasem mówiąc, też generał. Amerykański łącznik w rodzinie.

- To nie było co - przyznał Dillon.

- Terapia, przede wszystkim terapia. - Generał dokończył kanapkę, znów położył dłonie na kole sterowym.

- Musiałeś się leczyć?

- Przestrzelono mi bark, ale nie tylko o to chodziło. Poważniejszy był problem psychologiczny. Pogodzenie się z tym, do czego jestem zdolny.

Dillon napełnił szklaneczki.

- A do czego jesteś zdolny?

- Nigdy nie byłem w SAS. Nie mówiłem ci, ale służyłem w wywiadzie. Kod Dziewięć.

Wymienił nazwę jednej z jednostek zajmujących się partyzancką, podziemną walką z IRA. Cieszącej się najgorszą sławą.

- Jezu!

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim był to raczej parszywy sposób zarabiania na życie. Zwłaszcza w Londonderry... Aleja tam byłem. Miałem trzydzieści lat. Oksford, Sandhurst, Malaje, komunistyczni rebelianci w Jemenie, EOK. na Cyprze, no a potem przysłała kolej na Irlandię. Nie mogłem się doczekać, kiedy z gwardii grenadierów przejdę do wojny z powstańcami.

- Chciałeś znowu poczuć zapach prochu?

- Zapach wojny, Dillon. Od trzech lat byłem zaręczony ze śliczną dziewczyną, Mary. Pochodziła z wojskowej rodziny, ale jakoś nigdy nie rozumiała, co jest najważniejsze. Mimo to została ze mną... aż do tej rozróby na Cork Street. - Ferguson mówił tak, jakby był w sterówce sam. Nawet wzrok zwrócony miał w przeszłość.

- Cork Street? A co się tam właściwie stało?

- Zarobiłem na Wojskowy Krzyż Zasługi. Jeden z tych, które dawali za Irlandię, ale bez podania powodów.

- A jaki był ten niepodany powód, generale? - spytał cicho Dillon.

- No cóż, pełniłem funkcję łącznika między dwoma bezpiecznymi domami, utrzymywanymi przez SAS. Jechałem z jednego do drugiego, było dość późno. Już po fackie dowiedzieliśmy się, że zostałem zdemaskowany. W dokach, na Cork Street, miałem na ogonie samochód. Drugi wyjechał z bocznej uliczki i zablokował mnie z przodu.

- Hej, chwileczkę. Lipiec siedemdziesiątego trzeciego, Derry, Cork Street. Nazwali to masakrą. SAS zabiło pięciu Provo. Podobno było to prawdziwe piekło.

- SAS nie miało z tym nic wspólnego. Ja zabiłem pięciu Provo.

Dopiero w tym momencie Dillon zdał sobie sprawę z tego, że przed chwilą usłyszał jakiś dziwny dźwięk. Odwrócił się. Billy otworzył drzwi sterówki; stał na progu, cały zamieniony w słuch.

Ferguson obejrzał się przez ramię.

- Wejź, Billy - powiedział. - No więc tak, Dillon, ten drugi samochód zablokował mnie na dobre, a pierwszy omal nie wjechał mi w bagażnik. Z przodu miałem trzech, z tyłu dwóch. Wrzeszczeli: "Wyłaż, wyłaż, pieprzony Angolu". Nie przestaje mnie to śmieszyć, przecież jestem półkrwi Irlandczykiem.

- I co pan zrobił?

- Miałem to, co i ty tu masz, dwudziestozrzałowego browninga. Leżał na siedzeniu pasażera. Jeden z tych ludzi otworzył drzwi od mojej strony. Trafiłem go między oczy, a jego dwóch przyjaciół załatwiłem przez drzwiczki. Wydrążone kule... wiesz, jaki dają efekt.

- I?

- Ci dwaj z tyłu ledwie zdążyli wyskoczyć z samochodu. Jeden z nich strzelił, tak naprawdę w powietrze, ale miał facet szczęście, trafił mnie w lewe ramię. Strzelałem w ich wóz, to był tylko odruch, ale zabiłem i jego, i szofera. Potem odjechałem, dotarłem jakoś do kryjówki, SAS mnie polatało i następnego dnia rano wróciłem do domu.

- Jezu! - westchnął Billy. - Zabił pan pięciu ludzi.

- Wszyscy poszli do wielkiego i wspaniałego nieba IRA. Lekarze jakoś poskładali mnie do kupy, a moi szefowie dali mi Wojskowy Krzyż Zasługi, bo nie mieli wyboru. Utrata pięciu członków Brygady Londonderry stała się dla Provo wydarzeniem tak przerażającym, że po prostu musieli ogłosić, iż to kolejny przykład ludobójstwa, jakiego dopuścił się SAS. I takim pozostało w mitologii irlandzkich republikanów.

Dillon wyczuł, że to nie koniec historii.

- A co potem? - spytał.

- Och, dostałem telefon, że tego a tego dnia z rąk Jej Królewskiej Mości mam odebrać ten Wojskowy Krzyż Zasługi. Poprosiłem Mary, żeby poszła ze mną. Odwiedziła mnie w szpitalu i oczywiście chciała wiedzieć, jak się tam znalazłem. Więc powiedziałem jej całą prawdę.

- Co się stało?

- Odesłała mi pierścionek zaręczynowy z listem informującym, że nie może poślubić człowieka, który zabił pięć osób.

- Niech ją wszyscy diabli! - sapnął przejęty Billy.

- Można i tak powiedzieć. W każdym razie poszedłem do pałacu sam. To był okropny, wilgotny dzień. Regiment był ze mnie dumny. Dostałem urlop.

- Który wykorzystałeś na samotny rejs do Nowego Jorku. Sądziłeś, że długa, trudna podróż pomoże ci zapomnieć? - domyślił się Sean Dillon.

- Mniej więcej.

- Ale na początku i na końcu wycieczki byłeś tym samym mężczyzną, zabójcą pięciu ludzi?

- Słusznie.

- Panie generale, ale przecież oni sami się o to prosili - zaprotestował Billy.

- To prawda. Wypełniłem swój obowiązek... i zapłaciłem utratą Mary. - Generał spojrział na Dillona. - Bóg jeden wie, dlaczego ci o tym wszystkim opowiedziałem. Przecież minęło już tyle lat... Mam wrażenie, że staję się zrzędlwym starcem.

Przejmij ster, pora na odpoczynek. - Ferguson wyszedł.

- Mój Boże - westchnął Billy - wiedziałem, że jest twardszy od Harry'ego, ale nawet mi się nie śniło, że potrafi dokonać czegoś takiego.

- Z pewnością zabijał wcześniej, Billy, we wszystkich tych obrzydliwych małych wojnach, o których wspomniał, a Cork Street było po prostu ukoronowaniem jego działalności. - Dillon zapalił papierosa. - Pamiętasz, co ci mówiłem o ludziach zajmujących się tymi wszystkimi okropnymi rzeczami, czymś, czego zwyczajny człowiek nie tknąłby nawet długim drągiem? O żołnierzach? Ja jestem żołnierzem, czy to się ludziom podoba, czy nie, ty nim jesteś i mamy także naszego Charlesa Fergusona, przyzwoitego, honorowego człowieka, który mógłby być prawnikiem albo bankierem, ale poświęcił życie ratowaniu ojczyzny.

Generał zatrzymał się za drzwiami do sterówki i słyszał tę wymianę zdań.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, Dillon, ale... nie przesadzajmy, a jeśli chodzi o sterowanie łodzią, powiedziałbym, że powinniśmy skrócić kilka stopni na zachód.

Tymczasem w Drumgoole, w tylnej sali gospody, Derry Gibson zjadał jajka na bekonie podane mu przez właściciela, Keitha Adaira, który był jego prawą ręką w miejscowym małym porcie.

- Czy mogę służyć ci czymś jeszcze? - spytał Adair.

- Skąd, pogratulować obsługi. Nie podoba mi się tylko pogoda. Jest źle, a będzie jeszcze gorzej. Miałem nadzieję, że „Mona Lisa” przybije do nabrzeża przy starych kamieniołomach, ale jeśli mam rację, będzie musiała stanąć na kotwicy w zatoce.

- To bardzo utrudni rozładunek, Derry. Pamiętaj, że wielu miejscowych rybaków zamierzało coś przy tym zarobić.

- Pamiętam i wcale się temu nie dziwię. Co z gliniarzami?

- Zamknęli posterunek. Wynikły jakieś problemy w Castledown, więc pojechali tam z koleżeńską pomocą.

- Wspaniale. Wiedzą, skąd się bierze maselko do ich chleba powszedniego.

Zadzwoił telefon. Właściciel gospody podał słuchawkę gościowi.

- Panie Gibson, mówi Janet z Orange George.
- Wiem, kim jesteś, Janet. Coś się stało?
- Właściwie nic, tylko pomyślałam sobie, że pan może wie, gdzie jest Patrick. Znikł przed paroma dniami. Zadzwoił raz, powiedział, że jego wuj Arthur zmarł gwałtowną śmiercią i że ja mam teraz prowadzić pub, ale zaraz potem połączenie zostało przerwane. Lada chwila zaczną spływać rachunki, a ja nie mam nawet prawa do podpisywania czeków, więc pomyślałam, że porozmawiam z panem, bo przecież wiem, kto jest prawdziwym właścicielem i...

- Chwileczkę, chwileczkę - Derry przerwał potok jej wymowy. - Przecież Murphy nie ma wuja imieniem Arthur!
- Ale tak powiedział.
- Kiedy widziałas go po raz ostatni, Janet?
- Późnym rankiem tego dnia, kiedy odleciał pan do Belfastu. Przygotowywałam zestawy śniadaniowe. Przyszedł taki niewysoki facet w lotniczej kurtce, miał śmieszne włosy, jasnoblond, prawie białe. Spytał o Patricka, a on wszedł na salę prawie dokładnie w tej samej chwili.
- Co dalej?
- No... ten mały człowieczek powiedział: "Patrick, mój stary przyjacielu, to ja, Sean Dillon". Mówił z akcentem z Belfastu, właściwie prawie tak jak pan, panie Gibson. Gibson poczuł, że robi mu się zimno. Zadrżał.
- No i...? - spytał słabym głosem.
- To wszystko, proszę pana. Potem zadzwonił i... nie, zaraz, jest jeszcze jedna sprawa. Rozmawiałam ze starym Kellym, tym, co sprzedaje gazety przed naszym pubem, i on powiedział, że strasznie się zdziwił na widok Patricka wsiadającego do shoguna z trzema facetami, bo dwóch z nich zna, Harry'ego Saltera i jego bratanka Billy'ego. Twierdzi, że to gangsterzy. Ale tacy prawdziwi.
Derry Gibson wiedział już wszystko, co chciał, a raczej czego nie chciał wiedzieć.
- Dzieje się tu mnóstwo rzeczy, o których nie masz pojęcia, Janet - powiedział poważnie.
- Ciebie nie dotyczą, po prostu prowadź biznes jak zwykle. W prawej górnej szufladzie biurka Patricka znajdziesz firmową kartę kredytową, którą możesz płacić rachunki. Będę w kontakcie.
Przerwał połączenie, spojrzął na Adaira.
- Sean Dillon i ci Salterowie. To mi śmierdzi Fergusonem.
- Jezu, przecież oni wycisną Murphy'ego jak cytrynę - jęknął Adair. - No, to sprawę mamy z głowy.
- Nie. Ferguson i Dillon nie działają w ten sposób. - Derry Gibson mówił spokojnym głosem, twarz miał nieruchomą. - Dla nich każda robota to tajna robota. Nie będzie policji, nie będzie SAS, tylko Sean Dillon sam lub co najwyżej z towarzystwem, które sam wybrał. Zawsze pogrywał w ten sposób.
- I co to znaczy?
Gibson roześmiał się, jakby cała ta sytuacja bardzo go bawiła.
- Już jest na morzu. Poluje na "Monę Lisę".
- Co zrobimy?
- Przyjmiemy go gościnnie. Jak nikt. I nigdy. Połączę się z Rossim, niech wie, co go czeka.
Kapitan Martino zrećnie prowadził trawler po wzburzonym morzu, w zapadającym szybko zmroku. Obok niego stał Marco Rossi. Odezwało się radio, Martino powiedział coś i

oddął mikrofon gościowi.

Rossi uważnie wysłuchał tego, co miał mu do powiedzenia Gibson. Był bardzo spokojny, jakby nic się nie wydarzyło i nic nie zagrażało jego planom.

- Murphy wpadł w łapy tego drania, Seana Dillona. Nie łudźmy się, powie mu wszystko, co wie, a nawet więcej. Dillon tak już działa na ludzi.

- Co robimy?

- Przy tej pogodzie decyzja należy do kapitana - powiedział Gibson. - Jeśli uzna, że uda mu się dobić do nabrzeża, fajnie. Jeśli nie, rzućcie kotwicę w zatoce. Tu, w Drumgoole, będę miał tylu ludzi, ilu mi potrzeba, ale wy przygotujcie broń i pilnujcie, żeby nie zbliżyła się do was żadna podejrzaną wyglądająca łódź.

- Naprawdę sądzisz, że on już jest na morzu?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło. Dla niego... i Fergusona... "Mona Lisa" jest celem podstawowym. Już oni postarają się rozwiązać ten problem jak wszystkie inne, po swojemu. Posłuchaj, całe to gówno o Irlandii Północnej i inicjatywach pokojowych jest właśnie tym, gównem. Spytasz, dlaczego? Bo IRA i Sinn Fein nadużywają systemu, a rząd brytyjski im na to pozwala. Ja jestem tym dobrym, lojalnym, oranżystowskim Prodem i wiem, co mówię. Przecież Ferguson klasyfikuje mnie gdzieś blisko IRA!

- Co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć?

- Że Ferguson nie gra według przyjętych reguł, bo wie doskonale, że system sprawiedliwości zwyczajnie nie działa.

Dlatego trzyma przy boku Seana Dillona. Jeśli już coś robią, robią skutecznie.

Rozmowa została przerwana. Rossi milczał przez chwilę, a potem spojrzał na kapitana Martino.

- Proszę rozdać załodze broń i rozkazać im, by od tej chwili wyteżali wzrok. Do wszystkich jednostek pływających zbliżamy się z największą ostrożnością.

- Dlaczego, seńor?

Marco Rossi uśmiechnął się ponuro.

- Będziemy mieli towarzystwo, kapitanie.

„Highlander” mozolnie przedzierał się przez wysokie fale w kierunku wybrzeża Irlandii Północnej. Dillon rozmawiał przez radiotelefon z Roperem.

- Jest trudno - oznajmił właśnie - a będzie jeszcze trudniej.

- Jeśli "Mony Lisy" nie ma jeszcze w Drumgoole, spróbuj schronić się w zatoczce przy starych kamieniołomach. Jest tam przystań. Da się wpłynąć do środka, przesmyk ma ponad sto metrów szerokości.

- Dzięki, to przydatna wiadomość.

- Ale uważaj, proszę. Sporo się tam u was dzieje. Pamiętaj, na Boga, o tym, że liczy się nie tylko wielki Sean Dillon i jego misja ocalenia świata.

W radiotelefonie rozległy się zgrzyty i trzaski. Dillon spojrzał na Fergusona i Billy'ego, którzy przysłuchiwali się rozmowie.

- Przyjąłem i zrozumiałem, Roper - powiedział głośno i wyraźnie. - Idący na śmierć pozdrawiają cię. Tylko że ja wcale nie zamierzam umierać, przynajmniej na razie. Zła pogoda może okazać się najlepszym, co mogło nas spotkać. Bez odbioru.

Z szafki, w której trzymano rakiernicę i rakiety, Dillon wyjął butelkę rumu Lamb's Navy, wyciągnął korek zębami i upił wielki łyk. Podał butelkę Fergusonowi.

- Przyda ci się, Charles.

Generał nawet się nie zawahał. Wypił, otarł szyjkę, zachęcającym gestem podał rum

Billy'emu, który na jego widok wstrząsnął się z obrzydzeniem.

- Dziękuję, jakoś sobie poradzę. Jestem tak przerażony, że przeszła mi choroba morska.

Przy sterze stał Ferguson, bardzo zdziwiony tym, jak posłusznie łódź poddaje się obrotom koła.

- I co teraz? - spytał.

Dillon pochylił się nad mapami.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Jeśli "Mona Lisa" przybije do nabrzeża, jest nieźle. Jeśli rzuci kotwicę w zatoce, schodzę pod wodę z semteksem i zapalnikami. Prosta robota typu "wszedł wyszedł". Z dziurą w kadłubie na bank zatonię, a o to nam przecież chodzi.

- Przy nabrzeżu nie zatonię zbyt głęboko.

- Poczekamy, zobaczymy, choć rzeczywiście lepiej by było, żeby rzuciła kotwicę. Z pewnością będzie tam straszne zamieszanie. Niech Bóg wspomaga wszystkie małe jednostki, w tym łódzie rybackie.

- A więc tak to ma wyglądać? - Ferguson pokręcił głową.

- Dokładnie tak, Charles. - Dillon się uśmiechnął. - Jeśli wolno mi wyrazić się metaforycznie, wszystko spoczywa teraz w rękach pogody. Schodzę na dół po kombinezon.

- Ja też! - Billy aż palił się do wyprawy.

- Po moim trupie! Możesz sterować pontonem, podrzucić mnie blisko "Mony Lisy", ale to wszystko. Sięgnij do torby, młody, i uzbrój się. Zaraz wracam.

W porcie w Drumgoole panował bałagan bliski chaosu. Wiejący od strony Morza Irlandzkiego wiatr nasilił się do sztormu. Mniejsze łódzie już zrywały się z cum i roztrzaskiwały o kamienne molo. Większe dryfowały do zatoki, gdzie czekał je podobny los, tyle tylko że po drugiej stronie falochronu.

W środku tego zamieszania "Mona Lisa" pojawiła się nagle niczym Latający Holender, ze światłami pozycyjnymi w najlepszym porządku. Staroświecka, a przez to odporna na kaprysy morza, choć wysoko wynurzona. Na mostku stali Martino i Rossi.

W słuchawce radiotelefonu odezwał się głos Gibsona:

- Nie próbujcie wejść do portu, roztrzaskacie się o to stare molo. Rzućcie kotwicę, jeśli będziecie mieli szczęście, znajdziecie dno na dwudziestu, dwudziestu paru metrach, ale jest tam też kanał o głębokości do przeszło setki. Na razie nie jestem w stanie wam pomóc.

- Masz jakieś wiadomości o naszych przyjaciółach? - spytał Marco Rossi.

- Jezu! Słuchaj, jeśli są gdzieś w pobliżu, mają takie same kłopoty jak wszyscy inni. Spotkamy się za jakąś chwilę. Mam tu ponton jednostki ratowniczej marynarki wojennej. Jest w stanie poradzić sobie prawie ze wszystkim. Do zobaczenia.

Daleko, u wejścia do zatoki, pojawił się "Highlander". Ferguson rzucił kotwicę. Dillon, który zdążył włożyć kombinezon pletwonurka, przyglądał się "Monie Lisie" przez lornetkę na podczerwień. Drugą taką lornetkę miał Billy.

- Sean, słuchaj, widzę łódzie wypływające z portu. Odbijają się od "Mony Lisy" jak gumowe piłeczki.

- Ale nie są z gumy. One się o nią roztrzaskują! Conajmniej trzy zaczynają tonąć. "Mona Lisa" rzuciła kotwicę.

Dillon położył na stole torbę z bronią, wyjął z niej kaburę do mocowania pod pachą oraz browninga z magazynkiem na dwadzieścia pocisków, takiego jak ten, który ukrył w sterówce, założył kaburę, umieścił broń na miejscu, przerzucił torbę przez ramię. Następnie wcisnął w trzy kostki semtekstu dziesięciominutowe zapalniki. Zapiął wodoodporny pas.

- Nie zabezpieczyłeś się przed postrzałem? - zdziwił się Ferguson.

- Pod kombinezonem mam tytanową kamizelkę, najlepszą, na jaką mnie stać.
- Co mam robić?
- Przepłyn za rufą "Mony Lisy". Będziemy dryfowali jak wszyscy inni. Podpłynę do nich i wejść na pokład po łańcuchu kotwicznym.
- Jeśli szczęście dopisze...
- Och, Charles, wszyscy potrzebujemy szczęścia. Od czasu do czasu.
- A ja? - spytał Billy.
- Jeśli przeżyję, a szczerze mówiąc, tego się właśnie spodziewam, przeskoczę przez reling, no i będziesz pewnie musiał odebrać mnie dinghy. Robi do czterdziestu węzłów. Wystrzeżę rękę.

- Nie przy tej pogodzie - wtrącił generał.
Potężny szkwał obrócił ich o prawie dziewięćdziesiąt stopni. Wszyscy stracili równowagę, chwytały się za to, co mieli pod ręką.

- Nie możesz, Sean - jęknął Billy. - To szaleństwo.
Sean Dillon położył mu dłoń na ramieniu. Powiedział spokojnie, choć z naciskiem:
- Jesteś fajnym facetem, Billy, więc spróbuj zrozumieć, że mnie po prostu nie zależy. Rozwałę ten trawler ze wszystkimi, którzy akurat będą na pokładzie, Rossim, Gibsonem... nawet ze mną.

„Mona Lisa” znów się zatrzęsała, trafiła w nią kolejna dryfująca łódź. A potem była następna i jeszcze jedna. Na pokładzie panowało nieprawdopodobne zamieszanie; załoga, która jeszcze przed chwilą stała w gotowości z AK47 w rękach, teraz zaczęła miotać się w panice, przerażona głębokimi przechyłami łodzi.

„Highlander” płynął na najwolniejszych możliwych obrotach. W chwili, gdy znajdował się najbliżej trawlera, Dillon znikł za burtą niczym duch. Fale wciągnęły go pod powierzchnię wody, a potem wyrzuciły i miotały nim wściekle, lecz w końcu udało mu się uchwycić łańcuch kotwiczny. Gumowe rękawice zapobiegły ześlizgnięciu się dłoni. Przez chwilę Dillon obserwował oddalającego się "Highlandera", po czym rozpoczął wspinaczkę. Szło trudno, stale atakowały go fale, ale w końcu dotarł do luku kotwicznego i dostał się na pokład.

Przed nim stali Fabio i Gomez, chwiejący się na mokrym pokładzie, z przerażeniem patrzący na kolejne przelewające się przez reling fale, kurczowo ściskający kałasznikowy. Dostrzegli intruza dzwigającego się na kolana, ale nim zdążyli zareagować, trafieni w głowę zginęli od strzałów błyskawicznie wyrwanego z kabury browninga.

Stojący wysoko na mostku Gibson usłyszał trzaski i rozpoznał, że to strzały.

- On tu jest! Sukinsyn dostał się na pokład!
- Kto? - spytał Martino.
- Dillon, przeklęty idioto! - Gibson podszedł do barierki, spojrzał w dół, dostrzegł dwa bezwładne ciała zmywane wodą do szpigatów. - Nie widzisz? - wrzasnął do kapitana.
- Nie wierzę własnym oczom!

W tym momencie na rufie pojawili się Arturo i Enrico, kurczowo trzymający się relingu. Dillon, który nie ruszył się z miejsca i nadal klęczał, ich także zastrzelił. Następnie przeszedł na dziób wzdłuż lewej burty, otworzył luk prowadzący do maszynowni i po prostu wrzucił przez niego trzy kostki semteksu z dziesięciominutowymi zapalnikami.

Kule rozerwały pokład tuż za nim. Obrócił się, dostrzegł Sancha, stojącego na szeroko rozstawionych nogach, prującego z AK47. Przy relingu stali Rossi i Gibson. Martino został na mostku.

Seanowi Dillonowi śmierć zajaśniała w oczy. Był na nią gotowy, lecz... dokładnie w tym

momencie czyjeś kule dosięgły najpierw Martina, a potem Sancha, który bezwładnie upadł na pokład. Gibson pochylił się i najzwyczajniej w świecie uciekł.

Przy burcie "Mony Lisy" pojawiła się pędząca dinghy z Billym kurczowo trzymającym ster. Ferguson stał na dziobie z browningiem, tym ze sterówki. Trzeba przyznać, że umiał się nim posługiwać.

Sean Dillon przeskoczył przez reling. Zdołał uchwycić holowaną przez ponton linę.

- Znikamy! - krzyknął do Rossiego Gibson. Zbiegł po metalowej drabinie, wyrzucił za burtę dinghy i zdążył nawet włączyć jej silnik, nim dołączył do niego Rossi. Nie minęła minuta, a już pruli wzburzone fale. Uciekli w samą porę, ponton z "Highlandera", nadal holujący Dillona, zawrócił i znów znalazł się tuż obok trawlera. Ale generał nie miał już do kogo strzelać.

- To byli Ferguson i młody Salter - stwierdził Marco Rossi.

- I Dillon - syknął Gibson.

Trzy kostki semtekusu eksplodowały w maszynowni "Mony Lisy". Trawler po prostu się rozleciał, kawałki kadłuba wystrzeliły w powietrze, a potem opadły na wzburzone fale. Stateczek przechylił się, rufa poszła w górę, wspięła się na ostatnią falę i zatonała jak kamień. Rozległa się kolejna, stłumiona eksplozja, morze zawrzało, co w szalejącym sztormie robiło niesamowite wrażenie, a potem zapadła przedziwna cisza. Wiatr ustał i tylko deszcz padał nadal z taką samą siłą. Ponton bezpiecznie dopłynął do "Highlandera", Ferguson i Billy weszli na pokład, Dillon stał jeszcze na drabinie.

- Charles - powiedział - w młodości musiałeś być wspaniały, bo nawet teraz bywasz po prostu niezrównany.

- Nie zapomnij o Billym i pamiętaj, że komplementami niczego u mnie nie zwojujesz. Właż, na co czekasz? Wracamy do Obanu. Zrobiliśmy to, co mieliśmy do zrobienia.

- Tylko że Mario Rossi i Derry Gibson przeżyli.

- Załatwimy ich przy innej okazji. Jutro też jest dzień.

Marco Rossi przede wszystkim zadzwonił do ojca.

- Wracam jutro. Zamierzam jak najszybciej wynieść się z tego przekłętego kraju.

- Dlaczego? Co się stało?

Marco powiedział mu wszystko i, nie do wiary, baron potraktował jego opowieść jak dobry żart.

- Ferguson? W jego wieku? Musisz przyznać, Marco, że dokonał godnego podziwu wyczynu.

- Być może, ale mój trawler z ładunkiem broni wartym dwa miliony leży na dnie Morza Irlandzkiego, a to trudno uznać za godne podziwu.

- Wracaj do domu, porozmawiamy.

Baron Max von Berger odłożył słuchawkę. Palił papierosa, pił koniak z wielkiego kieliszka i, nie do wiary, uśmiechał się.

„Highlander” wracał do domu. Ferguson stał przy sterze. Billy przyniósł mu kanapki z boczkami.

- Wiesz co, stary łotrze, byłeś znakomity, po prostu znakomity. Harry nie uwierzy, kiedy mu o wszystkim opowiem.

- Ty też nieźle wypadłeś, Billy.

Pojawił się Dillon, wysuszony, przebrany w dzinsy i koszulę. Generał spojrzał na niego z podziwem.

- Nareszcie mam okazję to powiedzieć: jesteś szalony, jesteś kompletnie szalony - powiedział z podziwem. - Mam nieodparte wrażenie, że zapraszasz śmierć do walca.

- Jak zwykle masz rację, generale. Ale zrobiłem przecież, co do mnie należało.

- Moim zdaniem powinieneś znów spotkać się z profesor Haden-Taylor.

- Jeśli chodzi o mnie, pani profesor umyła ręce. Pan Bóg także. Więc cieszymy się tym, że nasza misja się powiodła i osiągnęliśmy to, co zamierzaliśmy osiągnąć. Mniej broni dla Irlandii Północnej to już dobrze, a jestem skłonny się założyć, że mocno podrażniliśmy nasze ulubione szerszenie, Rossiego i von Bergera. Przyczaimy się teraz i sprawdzimy, do czego nas to doprowadzi. Jeśli będziemy mieli szczęście, to do dziennika Hitlera. A tak przy okazji, skontaktowałem się z Harrym i powiedziałem mu, że jego bratanek pozostał w krainie żywych.

- Dziękuję ci, Sean - powiedział z wdzięcznością Billy.

- Nie ma sprawy. On naprawdę się o ciebie troszczy. Ale, ale... mogę zjeść jedną z tych twoich kanapek z boczkim?

W Drumgoole zapanował chaos, ale Irlandia Północna przyzwyczajona była do chaosu, żyła w nim od co najmniej trzydziestu lat. Przy stoliku w pubie Derry Gibson już planował kolejne posunięcie.

- Przez jakiś czas będzie się tu kręciło mnóstwo policjantów - mówił do Rossiego. - Przyczaję się. - Upił łyk whisky, pokręcił głową. - Sean Dillon... co za sukinsyn z niego, a ten Ferguson nie lepszy.

- Owszem. Nie wolno nie doceniać przeciwnika. Jutro z samego rana wynoszę się z tej dziury. Jeśli o mnie chodzi, Irlandię Północną można oddać choćby Indianom.

- Powiedziałbym, że to niezbyt uprzejme określenie.

- Potrafię być o wiele bardziej nieuprzejmy. Na tyle nieuprzejmy, by wspomnieć, że nie zapłaciłeś mi za broń z "Mony Lisy". Statek zatonął, a Rashid Investments straciło dwie bańki.

- Co się stało, to się nie odstanie. Panowie Dillon i Ferguson wyrolowali ciebie, ale wyrolowali i mnie.

- I mnie chodziło po głowie to barwne określenie. Pora, żeby zrobić coś z tymi dwoma fantami.

- Mogę pomóc?

- Zapewne. Odpisałbym ci sporą kwotę od długu. - Rossi milczał przez chwilę. - Jak sądzisz, gdzie jest teraz Murphy?

- Ferguson trzyma go w bezpiecznym domu. Te sukinsyny tylko od niego mogły dowiedzieć się o broni.

- Owszem. Coś ci proponuję: nie wracaj do Orange George. Zadzwoń do tej twojej Janet i powiedz jej, że chwilowo to ona rządzi.

- To gdzie mam mieszkać?

- W jednym z naszych mieszkań służbowych na South Audley Street.

- Jak długo?

- Póki nie wymyślę sposobu, jak załatwić to pewnie i skutecznie.

- Jakie "to"? Dillona?

- Jego też, ale na początek powinien pójść sam wielki człowiek, czyli Ferguson.

Gibson wydawał się zachwycony.

- Coś ty, u diabła, wymyślił?

- Musisz uzbroić się w cierpliwość, Derry. Dowiesz się we właściwym czasie.

Zapalił papierosa. Derry zastanawiał się nad jego słowami, aż wreszcie stwierdził:

- Ciebie to bawi. Powinieneś być zdruzgotany utratą statku i ładunku, a ty niczym się nie przejmujesz. Nawet dwoma milionami.

- To tylko pieniądze, a pieniądze są zaledwie środkiem wymiany. Najważniejsza jest gra.

- To brzmi jak Szekspir.

- Prawie. Sam dobrze wiesz, że chodzi tylko o grę. Tobie, mnie, Dillonowi, Fergusonowi, nawet Salterom. Kiedy grasz, czujesz, że żyjesz. Gra jest warta wszystkiego.

Zaraz po powrocie do Londynu Ferguson zażądał spotkania z premierem. W cztery oczy, bez przedstawicieli innych agencji bezpieczeństwa, nawet Scotland Yardu. Kiedy wprowadzono go do gabinetu, okazało się, że premier podpisuje dokumenty dla ministra spraw zagranicznych, któremu generał Ferguson nigdy się nie podobał.

- Doszły mnie plotki, jakoby znów zajmował się pan tymi swoimi nonsensownymi głupstwami, generale - powiedział minister.

- Ja, panie ministrze? Nie wiem, o czym pan mówi. Przez ostatnie kilka dni ślęczałem nad papierami Ministerstwa Obrony.

- Ach tak? - W głosie ministra brzmiało wyraźne niedowierzenie.

Premier podał mu podpisane dokumenty.

- To na dzisiaj wszystko. Wy dwaj macie natychmiast zaniechać kłótni. Obaj jesteście mi potrzebni. Bardzo potrzebni, wręcz niezbędni.

- Pax - powiedział Ferguson. Minister uśmiechnął się kwaśno i odszedł.

- Proszę usiąść, generale, i powiedz mi wszystko, co ma mi pan do powiedzenia. Nie wątpię, że będą to same złe wiadomości.

Słuchał uważnie, a gdy generał skończył, powiedział:

- To najgłębiej utajniona operacja, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Nic dziwnego, że nie chciałeś, by był tu ktokolwiek oprócz nas. Już zaczynają krążyć plotki. Niech nam Bóg pomaga, jeśli szczegóły kiedykolwiek przedostaną się do wiadomości publicznej.

- Ludziom wyda się to zbyt fantastyczne. W coś takiego nikt nigdy nie uwierzy.

Premier skinął głową.

- Dopiero kiedy wygrałem wybory, opowiedziano mi o pańskim wydziale, bo to przecież sekret przekazywany wyłącznie premierom, a wy tylko przed nimi odpowiadacie i wyłącznie od nich przyjmujecie rozkazy. Nie podobała mi się wtedy wasza działalność, ale przekonałem się, że są sytuacje, w których tylko pan i Dillon możecie uratować kraj. Proces pokojowy w Irlandii Północnej rozpadł się jak domek z kart, ale przecież nadal próbujemy coś tam poskładać do kupy. Gdyby Czerwona Ręka Ulsteru dostała tę broń, najprawdopodobniej mielibyśmy wojnę domową.

- Taka jest i moja opinia, panie premierze.

- A więc przysłużyliście się słusznej sprawie. Tylko... jedna rzecz mnie w tym wszystkim niepokoi. Mogę zrozumieć Dillona i młodego Saltera, ale ty, Charles? W twoim wieku takie strzelaniny po prostu nie przystoją. Są nie tylko poniżej godności, ale mogą też okazać się niebezpieczne. Nie próbuj więcej takich szaleńczych wygłupów, dobrze?

- Tak jest, panie premierze, obiecuję.

- Hmm... oczywiście, wierzę ci, ale rozumiesz chyba, że chciałbym mieć pewność. Wiesz o programie "Omega", Charles?

- Oczywiście, panie premierze. "Omega" to implant zawierający mikroprocesor pozwalający śledzić każdy krok nosiciela.

- Dokładnie. Wszczepili go mnie i ministrom mojego gabinetu. Uznałem, że tobie też się należy.

- Czy to konieczne, panie premierze?

- Tak, Charles. Jesteś dla mnie zbyt cenny, nie mogę cię stracić. - Podał Fergusonowi wizytówkę. - Profesor Henry Merriman. Przyjmuje na Harley Street. Zgłosisz się do niego jutro

rano o dziewiątej. Zabieg zajmuje jakieś pół godziny. Nie boli, nic a nic.

- Dillon też jest kandydatem do "Omegi"?

- Nie. To opcja wyłącznie dla najwyższych rangą polityków. A poza tym powiem ci szczerze, Charles, ja nie chcę wiedzieć, gdzie każdego dnia i w każdej godzinie jest Dillon.

- Dwóch amerykańskich prezydentów zawdzięcza mu życie.

- O tym akurat wiem.

- A jednak nie dostał żadnego odznaczenia.

- Tak, generale. Życie jest cholernie niesprawiedliwe.

Ferguson przemyślał to sobie i skinął głową.

- Niech i tak będzie. Oczywiście stawię się jutro na Harley Street o wyznaczonej godzinie, zgodnie z pana życzeniem.

Wstał, ruszył w kierunku drzwi, ale premier miał jeszcze coś do powiedzenia.

- Von Berger. Charles, nie zapominaj o von Bergerze.

- Co pan ma na myśli, panie premierze?

- Nie dopuszczę do tego, by szantażował prezydenta i mnie. To nie przejdzie. Załatw go, Charles... przy użyciu wszelkich dostępnych ci środków.

- Oczywiście, panie premierze. - Ferguson wyszedł, nie zegnając się, zlekceważył doradcę premiera i zbiegł po schodach do samochodu, w którym czekali na niego Dillon i Hannah.

Sean Dillon przesiadł się na jedno z rozkładanych siedzeń limuzyny daimler, zamknął szybę, odgradzającą ich od szofera.

- I jak poszło? - spytał.

Generał opowiedział im o rozmowie z premierem.

- Moim zdaniem "Omega" to dobry pomysł, a pan jest bardzo ważną osobą, panie generale - powiedziała Bernstein.

- O wiele ważniejszą niż ci kręcący się wszędzie i wsadzający nos w nie swoje sprawy przygłupi ministrowie. Przynajmniej na razie - dodał Dillon.

- Bardzo ci dziękuję, Sean.

- Takie są fakty. Po prostu. Nie będę panu przypominał, od jak wielu lat bierze pan udział w grze wywiadów, ale w moim przekonaniu nikt na Zachodzie nie ma takiego doświadczenia jak pan.

- Powinieneś zostać moim agentem prasowym.

- Z przyjemnością. Wracając do rzeczy, w rozmowie pojawiło się nazwisko von Bergera?

- Premier nie pozostawił wątpliwości co do swoich intencji. Mamy go załatwić.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Chyba że chcecie, żebym go dla was rozwalił.

- Na litość boską! - parsknęła Hannah Bernstein.

Dillon otworzył okno, zapalił papierosa.

- Jak już powiedziałem, Wszzechmogący niewiele ma wspólnego z tą sprawą. Załatwię Rossiego i nie stracę przy tym dobrego humoru. Podoba ci się ten pomysł?

- Jesteś głupcem!

- Dajcie sobie spokój. - Ferguson przerwał tę wymianę uprzejmości. - A co właściwie wiemy o Rossim, pani superintendent?

- Opuścił Belfast dziś rano.

- Zadzwoń do Ropera - polecił Dillonowi generał. - Może mieć coś na ten temat.

- Oczywiście, że mam - powiedział spokojnie Roper. - Wylądował na Gatwick. Jeden pilot, dwóch pasażerów.

- Według prawa tego typu maszyna musi mieć dwóch pilotów.
- Owszem, ale Marco Rossi ma wszystkie wymagane papiery. To on był drugim pilotem.
- A ten trzeci?
- Niejaki Charlie Mackenzie, paszport brytyjski wystawiony w Irlandii Północnej, z zawodu, jak się zdaje, księgowy.
- Jak się zdaje?
- Sprawdziliśmy ten nowy system wizualizacji, który mają na przejściach granicznych. Przyjrzelśmy mu się, to Derry Gibson.
- Jakbym nie wiedział!
- Za mało wiesz, Sean. Nie powiesz mi na przykład, czego ten gość szuka w Anglii. Oni obaj z pewnością cię nie kochają.
- Twierdzisz, że od dziś powinienem zacząć oglądać się przez ramię?
- Mówimy o Czerwonej Ręce Ulsteru, przyjacielu.
- Wystraszyłeś mnie na śmierć, staruszk. Na razie.
- O co wam właściwie chodzi? - spytał Ferguson.
Dillon zrelacjonował mu treść rozmowy.
- Hm... wiesz, tak sobie myślałem. Wysłanie "Mony Lisy" to był niezły pomysł, ale niby czemu mamy czekać, aż oni zrobią następny ruch? Dlaczego nie naciskać ich coraz mocniej? Powinniśmy wiedzieć więcej o niemieckich posiadłościach von Bergera: zamek Adler, Neustadt, Schwarze Platz, obojętnie, jak je nazywa. - Generał spojrzął na Hannah Bernstein. - Porozmawiaj z Roperem, poproś, żeby zrobił komputerową analizę okolicy. Sprawdź, czy mamy tam jakieś źródła wywiadowcze. Spotkamy się u Salterów, w Harry's Place. Dobrze zjemy i wysłuchamy, co ma nam do powiedzenia. Ale najpierw wpadniemy do Tajemniczego Człowieka.
Na ognie, bezpieczni za kilkoma samochodami, siedzieli im Newton i Cook.
Przed wieczorem Tajemniczy Człowiek był na ogół miejscem spokojnym tak jak dziś. Gdy Ferguson wszedł do pubu wraz z towarzystwem, Henry i Billy siedzieli jak zwykle w narożnej łozie, Joe Baxter i Sam Hali kręcili się tu i tam.
- Co za miła niespodzianka, generale - ucieszył się Harry Salter. - Niech pan siada... siadajcie wszyscy. - Uśmiechnął się do Dillona. - Spełniłeś moją prośbę! Billy wrócił w jednym kawałku.
- A przy okazji otoczył się nimbem chwały.
- No, to chyba raczej pan generał - wtrącił skromnie Billy.
Harry Salter spojrzął na Dillona.
- A ty załatwiłeś sprawę według własnych, wysokich kryteriów załatwiania spraw?
- Mniej więcej.
- Więc o co chodzi?
- Dziś rano Rossi wrócił z Belfastu. W samolocie miał pasażera z paszportem na nazwisko Charles Mackenzie.
- Ale ten Mackenzie nazywa się naprawdę Derry Gibson - uzupełniła jego relację Hannah Bernstein.
- Czego tu szuka ten sukinsyn?! - zdenerwował się Harry.
- O kurwa! - wyrwało się Billy'emu. - Dla mnie to oczywiste. Szuka ciebie, Dillon. Sean Dillon zapalił papierosa.
- Pewnie każdego z nas.
- Niech próbuje! - ucieszył się Harry. - Zatopił moją łódź. Mam zamiar mu za to zapłacić!

- Najważniejsze to dowiedzieć się, co planują baron i Rossi - powiedział spokojnie Ferguson. - Roper jak zwykle ślęczy przy komputerach, próbuje dowiedzieć się, co kryją posiadłości von Bergerów w Niemczech. Zaproponowałem mu, żebyśmy spotkali się w twoim lokalu, Harry. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ skąd! - ucieszył się Harry Salter.

Newton znów zadzwonił do Rossiego.

- Jechaliśmy za nim do tego pubu w Wapping, do Harry'ego. Siedzą w środku. Razem z Roperem na tym jego wózku inwalidzkim.

- Zostańcie na miejscu.

Marco Rossi odłożył słuchawkę i spojrzał na ojca.

- Słyszałeś?

- Interesujące - mruknął baron von Berger i nagle, z błyskiem w oku, dodał: - Wiesz, Marco, moim zdaniem powinniśmy się z nimi spotkać. A tak, zabierz ze sobą pana Gibsona. Pójdziemy razem. Zamieszkamy w ich kociołku. Przynajmniej będzie wesoło.

- Ubaw po pachy - westchnął jego syn.

Harry's Place był to po prostu kolejny zrujnowany niegdyś magazyn na Hangman's Wharf, przywrócony do nie byle jakiego życia. Ceglane mury oczyszczono, wybite szyby zastąpiono oknami w mahoniowych ramach. Przed lokalem ustawiały się kolejki, przede wszystkim młodzieży, pragnącej dostać się do baru, szybko zyskującego sobie opinię miejsca, w którym koniecznie trzeba się pokazać. Dobudowane do wejścia schody czyniły je imponującym, wręcz niedostępnym. Przy nich znajdowała się rampa, którą wykorzystał Roper, gdy podjechał na miejsce czarną londyńską taksówką.

Kolejki pilnowali wbici w smokingi Joe Baxter i Sam Hali. Zeszli na ulicę, pomogli Roperowi wydostać się z auta.

- Miło znów pana widzieć, majorze - powiedział uprzejmie popychający wózek inwalidzki Joe.

Na początku kolejki stał młody człowiek w jedwabnej wiatrówce, w towarzystwie dwóch dziewczyn. Na własne nieszczęście nie wytrzymał.

- Czy trzeba być kaleką, żeby dostać się do środka? - wybuchnął.

Sam Hali, nie wysilając się, niemal niezauważalnie, uderzył go w twarz wierzchem dłoni i złapał za kurtkę pod szyją.

- Ten człowiek jest bohaterem - powiedział bardzo spokojnie. - Masz małe szanse zobaczyć kogoś takiego jak on, choćbyś żył sto lat. A teraz pryskaj na koniec kolejki. Albo spadaj stąd, mnie jest akurat wszystko jedno.

Przeżaszony chłopak uniósł ręce w pojednawczym geście.

- W porządku - powiedział, pociągnął za sobą dziewczyny i znikł, jakby nigdy go tu nie było.

- Bardzo pana przepraszam za ten incydent. - Joe Baxter był wyraźnie zakłopotany.

- Przyzwyczaiłem się, Joe. Nie martw się, nic mnie to nie obchodzi. Szczęście, że w ogóle się tu znalazłem.

Weszli do środka. Natychmiast podszedł do nich maitre d'hotel, energiczny Portugalczyk Fernando.

- Major Roper, co za przyjemność! Bardzo proszę za mną.

Major wraz z Baxterem weszli do restauracji, urządzonej przepięknie w stylu art deco. Był tam mały parkiet, do tańca przygrywała czteroosobowa orkiestra, bar sprawiał wrażenie żywcem przeniesionego z lat trzydziestych. Kelnerzy nosili mundury stewardów marynarki

wojennej. Obaj Salterowie, Ferguson i jego ekipa zajęli największą lożę. Na widok Ropera Harry wstał i zwichrzył mu sięgające do ramion włosy.

- Ciągłe wyglądasz jak jakiś przeklęty hippis - stwierdził.

- W ten sposób wyrażam moją indywidualność, Harry.

Salter spojrział na pokrytą bliznami, zniekształconą twarz, po czym przytulił majora do piersi.

- Ty jesteś naprawdę dobry, Roper - powiedział.

- Nie lituj się nade mną, bardzo cię proszę. Jeśli dowiedzą się o tym poza East Endem, będziesz skończony. W porządku - zwrócił się do Fergusona. - Wiecie już dużo, ale jeszcze nie wszystko. Wrzosowiska Holstein zawdzięczają wiele temu, że przez pomyłkę nie przypadły ani Niemcom Wschodnim, ani Zachodnim. Najwłaściwiej będzie powiedzieć, że były to Niemcy neonazistowskie, choć sam baron oczywiście nigdy nie należał do partii. Stał się jednak ostoją hitlerowskiej tradycji.

Przez wiele powojennych lat cała policja składała się tam z byłych esesmanów i tak dalej.

- Przerwał, wypił łyk whisky. - Von Berger często odwiedza zamek Adler, na ogół w towarzystwie Rossiego. Przylatują helikopterem, lądują na łące w pobliżu, ale to jest ogromna łąka, wystarczająca dla samolotów.

- Znajdziemy tam kogoś? - spytał Ferguson.

- To niewielka, bardzo tradycyjna społeczność o silnych wewnętrznych więzach. Ale znalazłem coś interesującego.

Mniej więcej czterdzieści kilometrów od Neustadt, na samej granicy Schwarze Platz, znajduje się mała wioska, Arnheim.

Dosłownie kilka domów... i baza Luftwaffe z czasów drugiej wojny światowej. Mocno zniszczona, oczywiście, ale pas startowy jest w dobrym stanie i może na nim lądować niemal wszystko. Używa go niejaki Max Kubel. Generale - zwrócił się do Fergusona - on od lat jest na pańskiej liście potencjalnych... kontaktów. Przemysłnik bez specjalizacji, zajmuje się wszystkim, łącznie z wyciąganiem ludzi z Niemiec Wschodnich. Ma starego storcha, którego często używa. Jego ojciec był pilotem Luftwaffe. Doskonale zna Neustadt. Rozmawiałem z nim.

- Wiedzieć to jedna rzecz, a móc wykorzystać tę wiedzę, zupełnie inna - zauważył Dillon.

- Kubel szmugluje papierosy, zatrudnia ludzi. Jest wśród nich Hans Klein z Neustadt, którego farmę baron przejął za długi i który go nienawidzi. To może być dobre źródło informacji.

Rozmowę przerwał im kelner, Fernando, mówiąc do Saltera:

- Proszę mi wybaczyć, ale baron von Berger i signor Rossi chcą się z panami zobaczyć.

Bobby Salter spojrział na Fergusona. Generał skinął głową, a kiedy Fernando odszedł po gości, powiedział:

- Spokojnie, panowie, rozmawiamy uprzejmie, nie dajemy się wyprowadzić z równowagi.

Baron wszedł do restauracji w towarzystwie syna i Derry'ego Gibsona.

- Co za niespodzianka! - powiedział, zwracając się do Fergusona.

- Bardzo w to wątpię - odparł Ferguson.

Dillon uśmiechnął się do Gibsona.

- Derry, miałeś cholernie dużo szczęścia, żeś się nie zamoczył.

Gibson uśmiechnął się niewyraźnie.

- Idź do diabła, Sean.

- Prędzej czy później, przyjacielu, prędzej czy później.

- Stolik dla pana, baronie? - spytał starszy Salter. - Jestem pewien, że to by się dało załatwić.

- Dziękuję, ale nigdy nie lubiłem art deco. Przyszedłem, żeby zamienić z panami kilka słów. - Uśmiechnął się. - A właściwie oznajmić panom, że nieustannie o nich myślę. - Odwrócił się do syna i Gibsona. - Możemy iść. - Generała i Dillona pożegnał słowami: - Uważajcie na siebie. Nie chciałbym, by stało się wam coś złego.

Kiedy wyszli, Harry pokręcił głową i powiedział do Dillona:

- Nie rozumiem, o co mu chodziło. Niech stary sukinsyn robi wszystko, co potrafi, co nam do tego?

- Jemu chodziło o to, żeby sprowokować nas, byśmy zrobili więcej, niż potrafimy - odparł spokojnie Sean Dillon.

Samochód wyjechał na jezdnię. Marco Rossi pochylił się i zamknął szybkę oddzielającą ich od kierowcy.

- A więc podjąłeś decyzję? - powiedział baron. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak. Na początek bierzemy Fergusona. Mam zamiar go porwać.

- Bardzo mi się podoba ten pomysł! - ucieszył się Gibson.

- Po co? Po co mamy go porwać? - spytał baron.

- Zabiorę generała do zamku Adler i... poszukam kupców, jeśli można tak powiedzieć. Biorąc pod uwagę życiorys i doświadczenie pana generała, jestem pewien, że będzie to fascynująca licytacja. Rosjanie, Arabowie... spodziewam się tłumu chętnych.

- Daj spokój, Marco, mnie nie oszukasz. Chcesz dopaść Fergusona tylko po to, żeby sprowokować Seana Dillona. Jak ja nie masz wątpliwości, że Dillon natychmiast ruszy mu na pomoc.

- Niech spróbuje! - Rossi uśmiechnął się szeroko.

- Moim zdaniem nie doceniasz go, Marco. Nie doceniałeś go od samego początku. Nie igra się z tygrysem, tygrysa trzeba zabić, zanim zaatakuje. Ale to twoja sprawa. Jeśli chcesz porwać Fergusona, nie dam ci mego błogosławieństwa, ale i nie stanę ci na drodze.

- Dziękuję, ojczu.

- Daj mi papierosa.

Baron rozsiadł się wygodnie. Pałac, myślał o synu, przystojnym synu, bohaterze wojennym, kawalerze orderów, absolwencie Yale, a przy tym wszystkim głupcu. Tak, po prostu głupcu.

NIEMCY

LONDYN

NIEMCY

Kiedy Roper zadzwonił do niego na telefon komórkowy, Max Kubel siedział w berlińskim barze Tabu. Urodzony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku był synem asa lotnictwa nocnego Luftwaffe, Maxa Kubela seniora, kawalera Krzyża Rycerskiego. Jego ojciec należał do tej licznej grupy ludzi, którzy nie potrafili odnaleźć się po wojnie. Podczas Zimnej Wojny wielokrotnie latał nad Niemcy Wschodnie i okazało się, że zaryzykował o raz za dużo. Pewnej nocy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku zestrzelił go radziecki mig.

Wojennym losom ojca Max zawdzięczał rządowe stypendium, dzięki któremu przeszedł kurs pilotażu w Luftwaffe. Szło mu i dobrze, i źle. Dobrze, bo po ojcu odziedziczył talent, źle, bo jego wybuchowy temperament nie pozwalał mu podporządkować się dyscyplinie.

Mijały lata, szczerze mówiąc, nudne. Rząd niemiecki nie zamierzał prowadzić działań

bojowych, piloci nie mieli szans na popisywanie się umiejętnościami w stylu Kubela seniora, a Max uwielbiał ojca, jego talent i całe jego życie. On jednak nie liznął walki, latał tylko dla ONZ w krajach afrykańskich i na Środkowym Wschodzie, transportując ładunki, biorąc udział w misjach humanitarnych... i nienawidził tego całym sercem.

Lecz pewnego razu, w locie z Arabii Saudyjskiej, przewożąc trójkę funkcjonariuszy ONZ, na granicy Iraku przechwycony został przez migę, który otworzył do niego ogień. Bez wahania zastosował stary manewr ojca: zszedł nisko, w ostatniej chwili zmniejszył szybkość, wysunął klapy i migę, usiłując uniknąć kolizji, rozbił się na pustyni. Jego pasażerowie byli oczywiście szczęśliwi, pozostając w krainie żywych, a jeden z nich, kobieta z Irlandii, powiedziała nawet, że powinien dostać medal. Zamiast medalu wydano go jednak z Luftwaffe. Złamał obowiązujący w jej szeregach zakaz walki.

Zdecydował się na przemyt... i bardzo mu się to spodobało. Miał starego storcha jeszcze z czasów drugiej wojny światowej, wykorzystywał ciemności nocy ze zręcznością odziedziczoną po ojcu i potrafił dolecieć nawet do Polski.

Max Kubel miał jasne włosy i niebieskie oczy o beczelnym spojrzeniu. Nosił starą, czarną skórzaną kurtkę ojca, którą traktował jak relikwię. Siedział spokojnie, zamyślony, rozważając implikacje odbytej właśnie rozmowy. Roper zrobił na nim bardzo dobre wrażenie, wysilił się nawet na tyle, by mówić płynnie po niemiecku. Wspomnienie nazwiska Fergusona załatwiło sprawę. Facet chciał tylko, by śledzić działania barona w Neustadt, ale musiało być w tym coś więcej. Sprawa zapowiadała się niezłe, a już z pewnością nie miała być nudna. Kubel znał najważniejsze fakty z życiorysu barona, słyszał przekazywane szeptem plotki o Rossim, szanował starego za jego zdolności pilota, którymi wykazał się w czasie wojny. Tak, oczywiście, praca wyglądała na bardzo interesującą, no i miał przecież w garści tego durnia i pijaka, Hansa Kleina, którego zatrudniał czasami, gdy przemyczał papierosy.

Podeszła do niego barmanka. Oddalił ją niecierpliwym gestem i zadzwonił do Kleina. Głos, który odezwał się w słuchawce, niewyraźny i bełkotliwy, świadczył o tym, że facet znów jest pijany.

- Kto to?

- Max Kubel. Gdzie można cię znaleźć?

- Mieszkam jak świnia, w takim nędznym domku za kościołem. Przecież wiesz, że baron ukradł mi gospodarstwo, a ten jego synalek...

- Zbił cię na kwaśne jabłko. Wiem.

- Doczekam się sprawiedliwości, zobaczysz. Czego chcesz? Masz dla mnie robotę przy papierosach?

- Na to musisz jeszcze poczekać, Hans. Na razie chcę wiedzieć, co się dzieje w Neustadt. Co robią von Berger i Rossi? Są na miejscu, czy gdzieś wyjechali?

- Po co ci to?

- Nie pytaj, baranie. Płacę niezłe, a poza tym i tak na to pójdziesz, bo ich nienawidzisz. Masz numer mojej komórki, tak? No to bierz się do roboty.

Rozłączył się. Nagle poczuł się doskonale i kiedy barmanka do niego podeszła, pogłaskał ją po włosach.

- Napijesz się, Max? - spytała nieśmiało.

Przesunął dłoń na jej udo.

- Z przyjemnością. Whisky, lieblich, z jednego ekstraktu. Napijemy się oboje.

- A potem? Mam przyjść?

- Zobaczymy, Elso, zobaczymy.

Posiłek w Harry's Place zakończył się, a jego uczestnicy ruszyli każdy w swoją stronę. Ale nim pożegnali się na chodniku, Dillon powiedział:

- Pojadę z Roperem jedną taksówką.
- Jak chcesz. - Ferguson wzruszył obojętnie ramionami.

Odjechali, przyjechała taksówka, kierowca wysunął rampę, wózek Ropera wjechał do środka popychany przez Dillona, który również zajął miejsce w samochodzie.

- Stable Mews - rzucił kierowcy, a kiedy ruszyli, spojrzął na majora. - Gadaj.

- O co ci chodzi?

- Mnie? O nic. Po prostu nie mogę usiedzieć w miejscu.

- Dlatego zaczynam się o ciebie martwić.

- Niepotrzebnie.

- Jakoś nie potrafisz ci uwierzyć.

- Zamordował Sarę Hesser. - Dillon zapalił papierosa. - W życiu niczego nie byłem tak pewny jak tego. Powinienem go zastrzelić, ale Ferguson mówi "nie", choć zdejmowaliśmy już ludzi równie parszywych jak nasz Marco.

- Być może Ferguson ma pomysł na inne, lepsze załatwienie tej sprawy?

- A może Marco Rossi ma inny, jeszcze lepszy pomysł na załatwienie tej sprawy? Może niczym się ode mnie nie różni?

Taksówka podjechała pod Stable Mews. Dillon otworzył drzwiczki.

- Sean... cokolwiek planujesz, nie rób tego - powiedział cicho Roper.

- Majorze, jesteś wspaniałym człowiekiem, jednym z niewielu na tym nędznym, zepsutym świecie, których szanuję, ale, jak mawiamy w Belfaście, życzę panu dobrej nocy.

Wysiadł. Taksówka odjechała, a Sean Dillon wszedł do domu. Poszedł na piętro, przebrał się w dżinsy i kurtkę, zszedł, otworzył skrytkę pod schodami, wyjął z niej walthera, wsunął go za pasek spodni. Po zaledwie kilku minutach wyszedł i wskoczył do mini coopera.

Po spotkaniu w Harry's Place Rossi zadzwonił do Newtona i Cooka i kazał im stawić się natychmiast na South Audley Street.

- Przyczepcie się do Fergusona - powiedział bez wstępu, gdy tylko się zjawili. - Od jutra chcę wiedzieć, co robi i gdzie idzie, krok po kroku.

- Ale dlaczego? - zainteresował się Newton. - W jakim celu?

- Po to, durniu, że zdejmujemy go, kiedy nadejdzie właściwa chwila.

Obaj silnorecy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Słuchaj, my się na to nie piszemy - próbował zaprotestować Cook.

- Piszecie się na wszystko, na co każę wam się pisać, albo już nigdy nie będziecie pracowali. Róbcie, co wam każę, i nie próbujcie mnie wyrolować, bo popamiętacie.

Zapadła cisza. Przerwał ją Newton.

- Cokolwiek pan powie, panie Rossi.

- Oto właściwe podejście do rzeczy. Biercie się do roboty. Zostawcie tu swój samochód, weźcie białą furgonetkę albo coś równie anonimowego.

Goryle wyszli. Gibson, który przysłuchiwał się rozmowie z sąsiedniego pokoju, powiedział:

- Oni byli w SAS? Nic dziwnego, że Provo tak dobrze sobie radzili. Co teraz?

- W Fotley jest stara baza RAF-u, pas startowy pozostawia sporo do życzenia, ale ciągle nadaje się do użytku. Podstawimy tam jeden z naszych samolotów. Kiedy zgarniemy Fergusona, załadujemy go do tej maszyny. Sam będę pilotował.

- Dokąd chcesz go odstawić?

- Do zamku Adler. Tak naprawdę zacznie się nasza gra, Derry. Gra, w którą wygramy Seana Dillona.

- To mi bardzo odpowiada - uśmiechnął się Derry Gibson.

Dillon zaparkował niedaleko South Audley Street. Wysiadł z samochodu i w lekkim deszczu przeszedł kilkanaście metrów, dzielących go od bocznej uliczki, przy rogu której stał dom Rashidów. Ukrył się w cieniu, znieruchomiał, wyteżył wzrok. Nagle na ulicy pojawili się Newton i Cook. Rozpoznał ich natychmiast, cofnął się głębiej w cień, a kiedy wsiadali do samochodu, przebiegł przez ulicę i przyłożył lufę walthera do skroni Newtona.

- Dobry wieczór, panowie. Jestem waszym najgorszym koszmarem, czyż nie?

- Chryste! To ty, Dillon?

- Tak. Jak zawsze. Co kombinujecie z Rossim?

- Na litość boską, my tylko pracujemy w ochronie Rashid Investments. Rossi jest naszym nowym szefem. To wszystko, przysięgam!

Bał się, bał się naprawdę i Dillon bezbłędnie to wyczuł.

- Dobra, spadajcie, ale jeśli jeszcze raz wejdziecie mi w drogę, zabiję was. Wierzycie mi?

Chyba uwierzyli, bo strasznie im się spieszyło. Odjechali z piskiem opon. Dillon też miał już odejść, kiedy otworzyły się drzwi domu i pojawił się w nich Rossi w niebieskim dresie, z rękami na szyi, przygotowany do codziennego joggingu.

- Hej, sukinyń! - krzyknął Dillon.

Rossi odwrócił się wystarczająco szybko, by go zobaczyć.

- To ty, Dillon? Co masz zamiar zrobić? Zastrzelić mnie?

- Bardzo bym chciał, ale na razie obowiązuje na ciebie okres ochronny. - Dillon spokojnie wyjął papierosa, zapalił, zaciągnął się. - Zabiłeś tę starą kobietę, ty, bohater wojenny... chyba nie sprawiło ci to szczególnej przyjemności, prawda?

- Pieprz się!

- Nie mam zamiaru! W moim czasie, w moim miejscu, dorwę cię i zabiję, Marco! To była miła starsza pani. Nie powinieneś jej krzywdzić.

Odwrócił się i odszedł spokojnie, powoli. Marco Rossi odetchnął głęboko i pobiegł, jakby nic się nie stało. Nie usłyszał, jak za jego plecami cicho zamykają się drzwi. Baron poszedł za nim, chciał z nim jeszcze porozmawiać, i przypadkowo usłyszał wymianę zdań syna z Dillonem. Wrócił do gabinetu z ciężkim sercem.

Następnego dnia rano na Cavendish Place podjechał służbowy daimler Fergusona. Newton i Cook czekali w pobliżu w furgonetce British Telecom, ubrani, oczywiście, w służbowe ciepłe, żółte kurtki. Jechali za generałem aż na Harley Street, zatrzymali się w dyskretnej odległości i czekali. Cook otworzył tylne drzwi samochodu, wyjął wielką skrzynkę z narzędziami i starał się sprawiać wrażenie jak najbardziej zajętego. Newton przespacerował się słynną ulicą lekarzy, notując w pamięci ich nazwiska. Kiedy wrócił, oparł się o samochód i zapalił papierosa.

- To jakiś chirurg o nazwisku Merriman - powiedział cicho.

Profesor Henry Merriman był potężnie zbudowanym mężczyzną, roztaczającym wokół atmosferę zaufania. Fergusona potraktował niczym stryj ukochanego bratanka. Towarzyszyła mu młoda pielęgniarka, stojąca przy stoliku, na którym rozłożone były groźnie wyglądające narzędzia.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie generale. Jeśli pan pozwoli, przejdziemy do rzeczy. Procedura nie jest skomplikowana. Proszę rozebrać się do pasa. Emily zajmie się pańskimi rzeczami.

Ferguson rozwiązał krawat, zdjął marynarkę i koszulę.

- Mam nadzieję, że to nie boli - powiedział wesoło.

- Miejscowe znieczulenie wystarczy. - Doktor już trzymał w ręku plastikową ampulkę. - Proszę usiąść i podnieść lewe ramię. Działanie jest natychmiastowe.

Ferguson poczuł lekkie ukłucie i natychmiast stracił czucie w ręku.

- Wspaniała sztuczka - westchnął z podziwem.

Pielęgniarka Emily stała obok niego, trzymając w dłoni coś, co wyglądało jak mały aluminiowy pistolet. Podała go doktorowi.

- Nazywam to strzałem oszłamiającym, ale oczywiście tak tylko sobie żartuję. - Przyłożył "lufę" do ramienia Fergusona, przycisnął coś w rodzaju spustu. Rozległ się cichy, niemal niesłyszalny trzask. Lekarz wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego. - Może się pan teraz ubrać, panie generale.

Oddał "pistolet" pielęgniarce.

- To wszystko? - zdziwił się Ferguson, wkładający koszulę. - I co teraz?

- Nic. Pański implant został już zainstalowany w komputerze programu "Omega". Będzie pana śledził w każdym zakątku świata.

Ferguson skończył się ubierać. Nie miał wesołej miny.

- A kiedy pójdę do toalety, też mnie tam zlokalizuje?

Młoda pielęgniarka z jakiegoś powodu uznała to za bardzo zabawne i roześmiała się głośno. Merriman też się uśmiechnął.

- Jest to bardzo prawdopodobne - stwierdził.

- Do widzenia, panie profesorze. Doskonale się bawiłem.

Dillon podjechał do Ropera. Znalazł go siedzącego, jak zwykle, przed rzędem monitorów. Na jego widok major przerwał pracę.

- Zrobiłeś jakieś głupstwo? - spytał zaciekawiony.

- Chyba tak. - Sean pokrótce opowiedział o tym, co zaszło.

- Niech cię diabli! Straszny z ciebie idiota. Zarzucasz przynętę, kołyszysz łodzią...

- Chodzi o Rossiego. Chcę go widzieć...

- Wiem, w piekle. Powiedziałeś generałowi?

- Skąd! Nie pogłaskałby mnie za to po główce. A zresztą rano poszedł wszczepić sobie "Omegę". Możesz zdobyć do niej dostęp?

- Już to zrobiłem. Odkryłem jego kod.

- Przecież procesor założyli mu zaledwie dziś rano!

- Ale w systemie instalują go wcześniej, tylko aktywuje się po wszczępieniu. Masz, popatrz. - Palce Ropera zatańczyły na klawiaturze, na monitorach pojawiła się mapa Anglii. - O, tu jest. Widzisz tę żółtą kropkę? A teraz zbliżenie, Londyn...

Znów go mamy. Jeszcze bliżej... aha, Pali Mali, porusza się. Jak znam Fergusona, oznacza to lunch w Refonn Club.

- Dziękuję za tę cenną informację, ale na razie mam zamiar trzymać się od niego z daleka - uśmiechnął się Dillon.

Rossi wylądował w Fotley, starej bazie RAF-u, którą wybrał sobie na centrum operacyjne, i zastał tam czekającego Gibsona. Dokołował do końca pasa, zawrócił maszynę, wyłączył silniki. Zaczekał na zbliżający się szybko samochód.

- A więc znalazłeś drogę?

- Gdybym nie znalazł, toby mnie tu nie było. Dziwne miejsce. Wszystko się tu wali i gnije.

- Owszem, od końca wojny minęło parę lat, ale pas startowy ciągle nadaje się do użytku i tylko o to chodzi.

- Naliczyłem trzydzieści parę kilometrów.

- Mnie też się tak wydawało. Wracamy do miasta.

- Po co? - zapytał Derry, skręcając w boczną dróżkę.

- Zobaczysz.

Ku jego wielkiemu zdumieniu, nie było tak, jak się spodziewał. Przed domem Rashidów stał zaparkowany rolls-royce, kierowca ładował walizki do bagażnika. Na progu pojawił się baron Max von Berger w filcowym kapeluszu i czarnym skórzanym płaszczu narzuconym na ramiona, ciężko oparty na lasce.

- Zatrzymaj się, ale siedź na miejscu i ani drgnij. Ja to załatwię. - Rossi wyskoczył z samochodu. - Co się stało, ojcze? - spytał zaniepokojony.

- Postanowiłem wyjechać, Marco. Do zamku Adler.

- Ale dlaczego?

- Potrzebuję czasu i spokoju. Mam wiele spraw do przemyślenia. Słyszałem, jak wczoraj wieczorem rozmawiałeś z Dillonem. Okłamałeś mnie. Nie powinieneś kłamać, synu. Zachowałeś się niehonorowo.

- Ależ...

Baron nie miał mu nic więcej do powiedzenia. Wsiadł do rollsa i odjechał bez pożegnania.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - spytał Gibson.

- Dillon - syknął Marco Rossi przez zaciśnięte zęby. - Niech go wszyscy diabli! Znow wszedł mi w drogę, a co za dużo, to niezdrowo. Kiedy już go dopadnę...

W tym momencie odezwał się jego telefon komórkowy. Dzwonił Newton.

- Stoimy na bocznej uliczce przy Reform Club na Pali Mali. Ferguson wszedł do środka.

- Prawdopodobnie na lunch. Dobra, nie musicie tam ster czeć. Jedźcie na Cavendish Place i siedźcie cicho. Podeślę wam Gibsona. Zrobimy to dziś.

- Hej, proszę pana - Newton mocno się zaniepokoił. - Nie jestem pewien...

- Ale ja jestem. A teraz posłuchaj mnie bardzo, bardzo uważnie. Mogę cię wykończyć, ale mogę też wypłacić ci całkiem sporo forsy. Co wybierasz? Wchodzisz czy wychodzisz?

Jak zwykle zwyciężyła zachłanność połączona ze strachem.

- Wchodzę, oczywiście - rozległ się głos w słuchawce.

Dillon wszedł do gmachu Ministerstwa Obrony. Hannah Bernstein była akurat w pracy, siedziała, jak zwykle, przy komputerze. Na jego widok oderwała się od monitora.

- Co się stało?

- A co się miało stać?

- Sean, przecież dobrze cię znam.

- No cóż, przypuszczam, że wczoraj wieczorem nie zachowałem się najmądrzej.

- Opowiedz mi wszystko.

Zapalił papierosa i oczywiście opowiedział, a kiedy skończył, Hannah Bernstein powiedziała po prostu: "Ty głupcze!".

- Wiem, wiem, ale to wszystko przez Rossiego, przez to, co zrobił. Nie potrafię zapomnieć o Sarze Hesser.

- Sean, mam magisterium z psychologii, więc mogę udzielić ci porady, nawet darmowej. To Rossi zamordował staruszkę, oczywiście, ale ty czujesz się winny, bo coś jej obiecałeś. Co powiedziałeś?" Na tej ziemi nic złego już pani nie spotka.

Przysięgam”? Czy jakoś tak.

- Pamiętasz, jak to było? - Dillon jeszcze nigdy nie czuł aż takiego gniewu. - Dotknęła mojej twarzy, powiedziała:

„Tak, wierzę panu. Jest pan dobrym człowiekiem, panie Dillon... wbrew samemu sobie”.

Hannah Bernstein nigdy nie widziała go tak wstrząśniętego i zdenerwowanego.

- Pamiętam. I ty, wielki Sean Dillon, wiesz z całą pewnością, co właściwie zaszło, kto jest za wszystko odpowiedzialny, oraz, oczywiście, dopilnujesz, by Rossi smażył się w piekle.

Dillon odwrócił się. Ferguson stał w drzwiach swojego gabinetu, przysłuchując się rozmowie.

- Wygląda na to, że pójdziesz do piekła tą samą drogą co on. O czym ty, do cholery, myślałeś?! Konfrontacja? Ciskanie groźbami? Nie w ten sposób załatwia się sprawy... a przynajmniej nie teraz! Złamałeś wszystkie zasady i bezpośrednie rozkazy.

- Jak zwykle, panie generale, jak zwykle.

- Nie tym razem. Jesteś zawieszony. Porozmawiamy jeszcze w chwili, którą uznam za stosowną. A teraz oddaj broń i opuść ten gmach.

Dillon uśmiechnął się lekko.

- Charles... widzisz, ja wiedziałem, że ta chwila musi kiedyś nadejść, ale ty się ociągałeś, bo chociaż sprzedałeś mnie w Serbii, w gruncie rzeczy jesteś całkiem przyzwoitym staruszkiem i dobrze się nam razem pracowało.

- Och, Sean! - westchnęła Hannah Bernstein.

- Tak, wiem. Zawsze grałem twardo. I owszem, wiem, to się nie godzi z twoją wyrafinowaną, żydowską moralnością, ale zemsta to idea dobrze ci znana ze Starego Testamentu. No to ruszam swoją drogą i niech was wszystkich dobry Bóg prowadzi.

Kiedy wyszedł, Ferguson odetchnął głęboko.

- Niech go diabli! Dlaczego on to zrobił? Rozwiązuje problem w złym czasie, w zły sposób.

- To proste, generale. Dillon jest człowiekiem znacznie wrażliwszym, niż się panu wydaje. Proszę pamiętać, że narażał się dla mnie, a także i dla pana. Teraz potrafi tylko myśleć o starej kobiecie, która mu zaufała... i zginęła. Mimo tego wszystkiego, co i jak Dillon zrobił, jeśli chce pan zobaczyć psychopatę, niech pan patrzy nie na niego, lecz na Rossiego.

- Do diabła z tym wszystkim, jadę do domu. Każ podstawić daimlera.

- Niemożliwe, generale. Pojechał na przegląd. Zapomniał pan?

- Dobrze, wystarczy mi jakaś cholerna taksówka. - Wściekły generał wrócił do gabinetu, głośno trzaskając drzwiami.

Dillon siedział w mini cooperze, pogrążony w myślach. No cóż, wszystko się kiedyś kończy, takie jest życie. Cokolwiek by mówić, całkiem długo utrzymał tę robotę, a teraz stało się, co się stało, i nie ma się nad czym zastanawiać. Sięgnął po papierosa, zapalił i podniósł wzrok w chwili, gdy Ferguson wsiadał do czarnej taksówki. Kiedy ruszyła, włączył silnik morrisa i pojechał za nią. Nie było żadnego rozsądnego, logicznego powodu, by śledzić generała. Być może odezwał się jego typowo irlandzki instynkt? Jakkolwiek było, gładko włączył się do ruchu i prowadził spokojnie, nie tracąc celu z oczu.

Na Cavendish Place czekali Newton i Cook. By jakoś usprawiedliwić swoją obecność, zdjęli ciężką, żeliwną pokrywę z jednego z włazów na chodniku. W furgonetce siedział Gibson, także w żółtej kamizelce pracownika Telecomu, spokojnie czytając gazetę. Newton podszedł do okna od strony pasażera.

- Ty, słuchaj, sterczymy tu już cztery godziny. Twoim zdaniem ma to jakiś sens?

W tym momencie do krawężnika podjechała czarna londyńska taksówka.

- Zdaje się, że jednak ma - mruknął Gibson na widok Fergusona, wysiadającego i płacącego kierowcy. Otworzył niewielką skórzaną teczkę leżącą na sąsiednim siedzeniu, wyjął z niej małą plastikową ampułkę. - Bierzemy go!

Ferguson nie zdążył się nawet odwrócić, a już przy nim byli. Newton i Cook unieruchomili mu ręce, a Gibson, ze słowami: "Generale, co za przyjemność znów pana spotkać", wbił mu igłę w szyję. Skutek był niemal natychmiastowy. Pod Fergusonem ugięły się nogi i do ciężarówki trzeba go było ciągnąć. Rzucili go na tył, Gibson wskoczył za nim.

- Jedziemy! - rozkazał.

Dillon, który właśnie skręcał we wjazd do Cavendish Place, widział wszystko. Dodał gazu, furgonetka Telecomu przemknęła tuż przed maską mini. Przyhamował, obrócił kierownicę. W lusterku widział, jak samochód porywaczy włącza się do ruchu. Jechał za nim w bezpiecznej odległości. Słynne londyńskie korki nie ułatwiały mu zadania, ale udało mu się nie stracić furgonetki z oczu.

Wyciągnął radiostację Codex Four. Wywołał Hannah, która natychmiast się zgłosiła.

- Jechałem za Fergusonem - powiedział bez zbędnych wstępów. - Gibson, Newton i Cook porwali go pod domem, załadowali do furgonetki z oznaczeniami Telecomu. Siedzę im na ogonie.

- Gdzie, na litość boską?

- Północny Londyn. Dokładnie nie wiem. Jedziemy w stronę Essex. Skontaktuj się z Roperem, on może wywołać tę ich „Omegę”. Dowiesz się, dokąd jedziemy. Powiedz mu, żeby mnie informował.

Derry Gibson zadzwonił do Marco Rossiego.

- Ptaszek w klatce! - zameldował.

- Ruszam. Spotkamy się w Fotley.

- Miejmy nadzieję, że będziesz na miejscu przed nami. W tym kraju za porwanie dostaje się co najmniej dziesięć lat.

Roper skontaktował się z Dillonem.

- Wiem wszystko, znam sprawę. "Omega" działa, wysłała sygnał. Śledzę ich, więc nie musisz się martwić, jeśli ci znikną.

Naprowadzę cię na właściwy trop.

Nagle Dillon wpadł na pewien pomysł.

- Tych trzech pracuje dla Rossiego. Czy to nam mówi, dokąd uciekają?

- Może tam, skąd mogliby polecieć? Sprawdź.

Wyjechali z Londynu. Ruch zmniejszył się znacznie, ale nie na tyle, by Dillon mógł bezpiecznie zbliżyć się do furgonetki. Roper znów nawiązał łączność.

- Samolot barona właśnie wystartował z Northolt. Zgłosili lot do Monachium. Sprawdziłem. W Monachium czeka na nich helikopter do Neustadt.

- Doprawdy? Interesujące.

- Jest coś jeszcze bardziej interesującego. Dziś rano Rossi zamówił lot do miejscowości Fotley w Essex. Jest tam stara baza RAF-u, dziś nie używana i pewnie w kiepskim stanie, ale pas mają całkiem, całkiem. Sądzę, że tam się kierują i mam nadzieję, że ich dopadniesz. Masz broń?

- Mam. Ale może mi się nie udać. Dokąd polecą?

- No cóż, "Omega" potwierdzi, ale chyba obaj już wiemy. Zamek Adler.

- Właśnie. Proponuję, żebyś skontaktował się z Maxem Kubelem. Niech uruchomi tego swojego Kleina z Neustadt.

Niech Kubel zacznie przygotowywać jakiś plan operacji ratunkowej. Zostanie za to bardzo sownie wynagrodzony. Ja jadę dalej. Może uda mi się dopaść ich w Fotley.

Ale nie udało się. Przeszkodził zwykły duży traktor z fanny przy wąskiej, wiejskiej drodze. Gdy mini wjechał na pas startowy Fotley, Dillon znalazł tu już tylko porzuconą furgonetkę i rozpędzającego się do startu gulfstreama. Newton spojrział przez okienko.

- Jezu! - westchnął zdumiony. - Dillon! To jego mini cooper.

- Naprawdę? - Gibson roześmiał się wesoło. Nieprzytomny Ferguson kołysał się w lotniczym fotelu, przywiązany pasami. Poklepał go po policzku. - Pójdę porozmawiać z Rossim. Będzie zachwycony.

Tymczasem w Arnheim Max Kubel pracował przy storchu. Przygotowywał się do lotu nad Polskę. Na zawsze zapamiętał przekazaną mu przez ojca naukę wynikającą z doświadczeń drugiej wojny światowej: połowa załóg ginęła w czasie lotu nie z powodu sprawności przeciwnika, lecz z powodu awarii własnych maszyn. Właśnie dlatego zawsze sam pracował przy swoim storchu. Zamknął pokrywę silnika i poklepał kadłub, pomalowany świeżą warstwą matowej czarnej farby.

- Jesteś dobry - powiedział. W tym momencie zadzwoniła jego komórka.

Kubel słuchał Ropera przez długie pięć minut. Sprawa zainteresowała go tak, że aż tryskał energią.

- Zaraz skontaktuję się z Kleinem - obiecał.

- Ta łąka obok zamku Adler, czy Rossi zdoła na niej wylądować, zwłaszcza w nocy?

- Przy tej wielkości oczywiście, a zamek jest oświetlony. Noc mu nie przeszkodzi.

- Więc co możemy zrobić? Dowiesz nas na miejsce?

- To chyba żarty. Wystarczy, że spróbuję lądowania i zaalarmuję wszystkich w okolicy. Nici z tajności.

- Co pan proponuje? Skok ze spadochronem? Dillon robił już takie rzeczy.

- Ale nie wylądowałby żywy w zamku Adler. Mury, blanki, wieżyczki, dachy... jest się o co potłuc.

- Zgoda. Zapytam inaczej: gdyby ktoś chciał dostać się na Wrzosowiska Holstein w bardzo złych intencjach, jak by to zrobił? Jak by pan to zrobił? Wiem, że to dziwne, odosobnione miejsce. Ludzie patrzą pewnie zezem na wszystkich obcych.

- Oczywiście, ale gdybym to ja formował grupę do szybkiej roboty typu atak i odwrót, dopilnowałbym, żeby nie wyglądali jak obcy. Nasza policja ciągle wygląda jak milicja ludowa z czasów świętej pamięci NRD. Może mi pan wierzyć albo nie, ale nadal używa radzieckich motocykli i samochodów.

- Do czego pan zmierza?

- Były czasy, kiedy wchodziłem z moimi ludźmi, gdzie chciałem wejść, używając ich mundurów i pojazdów. Dillon kupi coś takiego?

- Może? W każdym razie doskonale mówi po niemiecku.

- Sam nie da rady!

- A pan?

- Mowy nie ma. Ja będę musiał go stamtąd wyciągnąć. Dillon i ktokolwiek, kogo sobie wybierze, z pomocą informacji Kleina wyciąga Fergusona i mamy piekło na ziemi. Najmądrzej zrobię, lecąc z Arnheim, to dosłownie trzy kroki. Łąduję pod zamkiem, zabieram ich i spadam.

- Jest pan pewny, że zdoła pan tego dokonać?

- Wielki Kubel wszystko potrafi, poza tym to praktycznie jedyna droga ucieczki. Daję słowo, że nie chciałby się pan nadziać na wściekłych drwali na tych wąskich leśnych drózkach.

Są ludźmi barona, co do jednego.

- Brzmi to tak, jakbyśmy wkraczali na ziemię Indian.

- Bo wkroczyliśmy. Jest jeszcze jedna ważna sprawa. W moim storchu zmieszczę waszego Fergusona i jeszcze tylko dwie osoby. Do zamku wejść może dwóch ludzi, nie więcej. Jak rozumiem, jednym z nich będzie Dillon, jest wystarczająco szalony, ale czy znacie innego takiego szaleńca?

- Och, oczywiście - odparł Roper zdecydowanie. - A przy okazji, kazano mi powiedzieć, że dostanie pan za tę robotę bardzo duże pieniądze.

- Pieprzyć pieniądze! Nudziłem się strasznie i zaczynałem rdzewieć. A pana sprawdziłem, Roper. Jest pan kimś, o kim Żydzi mówią mensch. Powoli staję się pana wielbicielem.

- Komplementy zawsze przyjmuję z wdzięcznością. Dziękuję.

- Pogadam z Kleinem. Rozruszamy interes.

Klein odebrał telefon Kubela w swej chacie za kościołem w Neustadt. Słuchał w pełnym szacunku milczeniu.

- A co ja mam właściwie zrobić? - spytał.

- Gdy tylko usłyszysz helikopter barona i zobaczysz, jak ląduje, natychmiast mi o tym zamelduj. To samo z samolotem Rossiego. Potrafisz dostać się do zamku niezauważony?

- Oczywiście. Znam go na wylot od czasu, gdy nauczyłem się chodzić.

- Mimo ochrony?

- To gównu, nie ochrona. Obejdę ich, nie ma strachu.

- Nie nawal, Hans. Możesz zarobić na tym kupę forsy.

- Jeśli mamy dokopać naszemu panu baronowi, zrobię to dla przyjemności. Zaraz pójde sobie obejrzeć, jak wyglądają sprawy tam, na górze.

Na tym rozmowa się skończyła. Klein włożył myśliwską kurtkę, do prawej kieszeni schował obrzyna, do lewej dwie garście patronów i wyszedł z chaty. Od bardzo dawna nie czuł się tak dobrze.

Niemal całą drogę powrotną do Londynu Dillon przegadał z Roperem. A w zasadzie słuchał, co major ma mu do powiedzenia.

- Bardzo dobrze - powiedział w końcu. - Zawiadam Hannah, niech zaalarmuje Lacey'a i Parry'ego. Kwaternistrz też musi się o wszystkim dowiedzieć. Polecimy do Arnheim.

- Jest jedna rzecz, Sean. - Roper, jak zwykle, zwlekał z tym co najważniejsze do końca rozmowy. - Nie zrobisz tego sam. Nie mów mi, że będziesz jeździł radzieckim motocyklem po Schwarze Platz, udając Brudnego Harry'ego. Potrzebujesz przyjaciela.

- Znajdę przyjaciela.

- Jesteś pewien?

- Zaufaj mi. Poproszę go, a na tę robotę to on zgodzi się na pewno.

Sean Dillon pojechał prosto na Hangman's Wharf, do Tajemniczego Człowieka, zaparkował i wszedł do pubu. O tej porze było w nim zaledwie kilku klientów, ale Harry i Billy Salterowie siedzieli, jak zwykle, w łożu w rogu. Harry spojrzał na niego, zmarszczył brwi.

- Wyglądasz, jakby przyszły na ciebie ciężkie czasy.

- Można tak powiedzieć. - Dillon przysiadł się do nich. - Posłuchajcie. - Opowiedział im całą historię, a kiedy skończył, jako pierwszy odezwał się Harry:

- Wiedziałem, że ten Rossi to kiepski interes.

Zadzwoił telefon. Roper miał kolejne informacje.

- Nie ma dwóch zdań, Sean, leć do Neustadt. U ciebie wszystko w porządku? Znalazłeś

przyjaciela?

- Jeszcze zobaczymy.

- Z całą pewnością zobaczymy.

- Billy - Dillon, jak zwykle pragmatyczny, wrócił do najpilniejszej sprawy - wiesz, co jest grane. Wjadę tam jako ludowy milicjant na ruskim motorze. Nareszcie przyda mi się dobra znajomość niemieckiego.

- Ja nie znam niemieckiego, ale tobie potrzebna jest zwykła splota, a w mundurze wschodniemieckiego milicjanta z pewnością będę wyglądał lepiej od ciebie. - Młody Salter uśmiechał się charakterystycznym dla siebie, chłodnym uśmiechem.

Do rozmowy włączył się Harry:

- Lepiej się co do pewnych spraw umówmy, Dillon. Nie możemy zostawić Fergusona w rękach tych sukinsynów. Poza wszystkimi innymi powodami jest i ten, że po prostu lubię staruszkę. Więc załatwcie z Billym, co macie do załatwienia.

Tak trzeba. Mój bratanek zmienił się na korzyść od czasu, kiedy wzięłeś go pod swoje skrzydła, dobrze mówię, Billy?

Lubi teraz robić coś, dlatego że to jest dobre i słuszne.

- Nie powiem, coś w tym jest. Idę się spakować. - Billy wstał i uśmiechnął się do Dillona.

- Zaczyna mi to wchodzić w krew, wiesz?

Dillon podjechał na Farley Field i tu czekało na niego kilka niespodzianek. Pierwszą z nich była obecność Hannah Bernstein.

- A ty, do diabła, co tu robisz? - spytał, nie kryjąc zaskoczenia.

- Po pierwsze, znam niemiecki, po drugie, chodzi o mojego szefa. To jego mająna celownika. Nie wydaje ci się, że miałam prawo przyjechać?

Następnie pojawił się rolls-royce Salterów. Wyszli z niego obaj, stryj i bratanek. I obaj mieli w rękach torby.

- Co się dzieje, jak rany?

- Chodzi o tę sprawę z niemiecką milicją. Lecę z wami. Jeśli chcesz, zostanę w bazie z panią superintendent, ale choć do tej pory zawsze pracowałem na własny rachunek, tym razem nie możesz. Sprawa jest zbyt ważna, by zajmował się nią samotny strzelec.

- Niech wam będzie, tylko nie wchodźcie mi w drogę. - Dillon podszedł do samolotu. Na jego spotkanie wyszedł Lacey, ubrany w anonimowy kombinezon lotniczy. - Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - zainteresował się Irlandczyk.

- Pani superintendent wszystko nam wyjaśniła. Pewnie zauważyłeś, że zamalowaliśmy oznaczenia RAF-u. Nie chcemy, żeby zidentyfikował nas ktoś niepowołany.

- I oczywiście zdajecie sobie sprawę, dokąd lecimy?

- Roper nas wtajemniczył. Sean, to jest zupełnie inna misja. Tym razem chodzi o pana generała.

- Nie obawiajcie się, już ja go wyciągnę. Przysięgam. Nie chcę nikogo oprócz ciebie i Parry'ego. Wsiadajcie do samolotu, ja i Billy musimy jeszcze zobaczyć się z kwatermistrzem.

Kwatermistrz już na nich czekał z listą ładunku w ręku.

- Wszystkiego dopilnowałem, panie Dillon. Walthery, tłumiki, trzy pistolety maszynowe MP czterdzieści.

- Powiedziałbym, że sięgnęliście głęboko w przeszłość.

- Sprawdziłem je, panie Dillon. Policja na Wrzosowiskach Holstein jest raczej staroświecka w swych upodobaniach, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Pozwolę sobie także zauważyć, że schmeisser to doskonała broń, nawet po tylu latach. Ma pan jeszcze granaty

oszałamiające oraz dymne.

W tych okolicznościach powinny okazać się bardzo przydatne.

- Znasz nawet okoliczności?

- Panie Dillon - powiedział z godnością stary żołnierz - dwadzieścia pięć lat temu służyłem w grenadierach gwardii.

Polowaliśmy na IRA, a na pana w szczególności, zwłaszcza w południowym Armagh. Nie udało nam się i teraz jestem z tego powodu szczęśliwy, bo może pan uratować generała, a to jeden z najwspanialszych ludzi, jakich znam. Załaduję teraz pańskie... bagaże, a pan rozliczy się ze mną po powrocie.

Dillon i Billy pożegnali się z nim i odeszli. W pewnym momencie Billy uśmiechnął się i zdecydował przerwać ciszę.

- Wygląda na to, że facet w ciebie wierzy - stwierdził.

- Wielu ludzi we mnie wierzy. Bywa, że jest to cholernym ciężarem. Ale nie ma co gadać, lepiej lećmy zrobić to, co mamy zrobić. Tym razem nie ratujemy świata, mamy przed sobą zadanie znacznie poważniejsze. Musimy uratować Charlesa Fergusona.

Wraz z Billym weszli na pokład samolotu, gdzie czekali już na nich Harry i Hannah. Parry zamknął drzwi. Silniki zagrały i citation wzleciał w niebo.

Charles Ferguson odzyskał przytomność w ciemnym, wyłożonym boazerią pokoju. Leżał na łóżku. Drzwi były zamknięte, a gdy podszedł do okna, stwierdził, że wychodzi ono na przeszło trzydziestometrową przepaść. To wystarczyło, by przekonać go, że nie ma stąd ucieczki. Stał przy oknie, podziwiając widoki, kiedy w drzwiach pojawił się Derry Gibson.

- Witam, panie generale. Doskonale pan wygląda.

- Przyznaję, że czuję się lepiej niż przed chwilą. Gdzie Rossi?

- Zajęty. Ma mnóstwo spraw do załatwienia. Proszę doprowadzić się jakoś do porządku, jest pan przecież wielkim człowiekiem. Dopilnuję, by dostarczono panu coś do jedzenia.

Zgrzytnął klucz, Gibson znikł za zamkniętymi drzwiami, a Ferguson poczuł się nagle tak samotny, jak jeszcze nigdy w życiu. Niech to wszyscy diabli, pomyślał. Dillon, miałeś rację.

Mniej więcej w tym samym czasie Rossi dołączył do ojca, siedzącego samotnie w sali balowej, przy kominku, ze szklaneczką whisky w rękę.

- Ojciec, sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

- Ja także. Najwyższy czas. Czy twoje przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem?

- Jeśli chodzi ci o porwanie Fergusona, tak. Jest tu, na zamku.

- I nadal masz zamiar osiągnąć postawiony sobie cel?

- Nie widzę przyczyn, dla których miałbym go nie osiągnąć.

- Dillon?

- Jest na tropie.

- Czy tego właśnie chcesz? Spotkania twarzą w twarz?

- Jestem na nie gotowy w każdej chwili.

Baron von Berger skinął głową.

- Myślałem o tym bardzo, bardzo długo, dniem i nocą. I nadal nie wiem, czy się z tobą zgadzam.

- Początek został już zrobiony. Kamyk potoczył się, za nim pójdzie lawina. Muszę doprowadzić sprawę do końca.

- Musisz? Jeśli nie popełniam błędu, który w moim wieku byłby być może zrozumiały, jesteśmy w zamku Adler. A ja nadal jestem baronem. Pozwól mi pomyśleć, Marco. Pozwól pomyśleć mnie, swojemu ojcu. - Nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości, w ciele starca nadal

zył młody Sturmabfuhrer SS. - We właściwej chwili dowiesz się, czego chcę. Czego chcę ja, nie ty. A teraz, proszę, odejdz. Nie jesteś mi potrzebny.

Hans Klein zszedł na poziom fundamentów zamku i znalazł miejsce, które nazywał wejściem na salony: kratę gęsto zarośniętą krzakami, pamiątkę po niemieckich wojskach inżynierskich, które unowocześniły cały system kanalizacyjny, gdy zamek przerobiono na kwaterę armii. Podniósł kratę, zaświecił latarką. Betonowy tunel był suchy, tylko jego środkiem płynęła cienka strużka wody. Przeszedł wzdłuż niego, znalazł stalową drabinę, wspiął się po niej, ostrożnie usunął pokrywę.

Był w piwnicach, które znał doskonale; mieściły się tu magazyny, spiżarnie i kuchnia. Poziom wyżej znajdowała się wspaniała sala balowa. Niegdyś, pod nieobecność barona i Rossiego, często tu zachodził, dawało mu to rozkoszne poczucie władzy.

Teraz jednak von Berger i jego syn byli w domu, usłyszał dobiegające z sali balowej głosy, więc szybko się wycofał. Zszedł po drabinie, uciekł do lasu, umieścił kratę na miejscu, przykucnął przy drzewie i zadzwonił do Kubela, ten zaś natychmiast poinformował o wszystkim Ropera.

- Jesteśmy gotowi. Klein zna nieubezpieczoną drogę do zamku i właśnie ją sprawdził. Widział lądującego gulfstreama, Rossiego i czterech mężczyzn. Jednego z nich trzeba było nieść.

- General! Podtrzymywali go pewnie Newton i Cook, a towarzyszył im Gibson.

- To ma ręce i nogi.

- Będziesz gotów, Max? Z odpowiednim sprzętem?

- Cały sprzęt mam u siebie, co oznacza, między innymi, że zabezpieczenie tajności operacji jest pewne i niezagrożone.

Będziemy gotowi, Roper, gdziekolwiek są w tej chwili twoi przyjaciele.

Minęło kilka godzin, lecz wreszcie w zamku zazgrzytał klucz. Do pokoju Fergusona weszli Rossi z Derrym Gibsonem.

- Chciałem się tylko upewnić, że jest panu wygodnie i niczego panu nie brakuje.

- Cóż za uprzejmość. Kiedy spotkam się z baronem?

- Gdy tylko baron zechce spotkać się z panem. Niech pan zachowa spokój, pański czas z pewnością nadejdzie.

Rossi odwracał się do wyjścia, gdy Ferguson powiedział nagle:

- Mam głębokie przekonanie, że ściąga pan sobie na głowę całą górę kłopotów. Spodziewałem się raczej kuli w łeb niż pogawędek.

Marco Rossi uśmiechnął się.

- Panie generale, jest pan zbyt wartościowy, by pana zabić.

- Więc cóż pan dla mnie planuje?

- Prawdopodobnie sprzedam pana Arabom.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

W tej samej chwili w Arnheim, w pokoju Maxa Kubela, przybyli na pomoc Fergusonowi przyjaciele pochylali się nad rozłożoną na stole mapą.

- No więc nie mamy wątpliwości. Neustadt. - Kubel spojrzał na Dillona. - Ten radziecki motor, kozak, jest raczej staroświecki.

- Proszę się nie obawiać, poradzę sobie. Billy, siadasz w koszu.

- Dzięki tym przywiezionym przez was radiostacjom - mówił dalej Kubel - każdy z nas może być w kontakcie z każdym. Powinniście dojechać na miejsce w godzinę, nie dłużej. Wyląduję pod zamkiem w dwadzieścia minut od otrzymania sygnału. Będę siedział w kokpicie, gotowy do startu.

- Brzmi całkiem rozsądnie - przyznał Dillon. - Co o tym sądzisz, Billy?

- Ja zawsze jestem rozsądny.

- Gdy tylko odjedziecie, skontaktuję się z Kleinem. Będzie na was czekał. Mieszka w jedynym domku stojącym za kościołem, więc znajdziecie go bez problemu. - Kubel rozejrzył się.
- Co o tym sądzicie?

Lacey i Parry nie odezwali się wprawdzie, ale wyglądało na to, że mają spore wątpliwości. Podobnie jak Hannah Bernstein, która zdecydowała się je wyrazić.

- Cała operacja opiera się na bardzo precyzyjnym wyliczeniu czasu. Do ułamków sekundy.

- Oczywiście. Niemniej jednak jest wykonalna. Odległości nie są przecież aż tak wielkie. Harry Salter nie wytrzymał.

- Dogadaliście się? To może niech oni wezmą się w końcu do roboty? Czekanie i gadanie szarpie mi nerwy.

- Mnie też - przytaknął Billy. - Nie mogę się doczekać, kiedy włożę mundurek gliniarza. Starzy kumple z więzienia w Wandsworth nigdy by nie uwierzyli, gdyby mnie teraz usłyszeli.

- Doskonale. Proszę za mną. - Kubel z kurtuazją wskazał im drogę.

W hangarze na wejście do akcji czekał storch, przyczajony, czarny, wyglądający jak nie z tego świata. Rosyjski motocykl, kozak, także wyglądał jak nie z tego świata i także czekał. Czekali wszyscy, w gęstej atmosferze niepewności. Kubel, Lacey i Parry stali przy wejściu, z obawą przyglądając się coraz większym kroplom deszczu.

- Nie jest dobrze - mruknął Lacey.

- Nigdy nie jest dobrze, kiedy powinno być dobrze, panie dowódcu dywizjonu. Nie zauważył tego pan?

Zgrzytnęły przesuwne drzwi, do hangaru weszli Dillon i Billy, przedziwne i przerażające postaci wprost z przeszłości: żelazne hełmy, mundury milicji, długie wojskowe płaszcze, schmeissery. Dillon dopinał pasek pod brodą.

- Macie wszystko, czego potrzebujecie? - spytał Dillon.

- Oczywiście. Dzięki Bogu za te wielkie kieszenie. Dodatkowe magazynki, po waltherze na głowę, granaty w butach.

Zupełnie jak za dawnych czasów.

- Chryste, wyglądacie jak statyści w filmie o inwazji w Normandii - powiedział starszy Salter.

- Bo to też inwazja. - Dillon wyjrzał na zewnątrz. - Mamy bardzo piękny wieczór na taką zabawę. No co, Billy? Gotów?

- Gotów, gotów. Na litość boską, jedźmy już. Jeśli mamy przemoknąć do suchej nitki, to lepiej od razu.

Usiadł w koszu, Dillon wskoczył na siodełko i włączył silnik. Hannah Bernstein podbiegła i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Sean? - Na jej twarzy widać było rozpacz.

- Uwolnimy go. - Dillon nawet się uśmiechnął. - Nie powinnaś aż tak się przejmować.

Odjechali w lejący deszcz.

Droga prowadząca do Schwarze Platz miała całkiem przyzwoitą nawierzchnię, lecz była wąska i z obu stron porośnięta lasem. Zmierzch przeradzał się powoli w ciemność wieczoru. Deszcz nie zamierzał ustąpić, Sean i Billy musieli nałożyć gogle. Motocykl spisywał się bardzo dobrze, ruch był niewielki. Minęli dwie jadące z przeciwka furgonetki z okolicznych farm i jeden samochód osobowy.

Dillon odwrócił głowę i krzyknął do Billy'ego:

- Będziemy na miejscu szybciej, niż sądził Kubel.

Mimo złej pogody przekręcił manetkę gazu. Motocykl pędził niemal dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Baron siedział przy płonącym kominku w sali balowej zamku. Pojawił się Rossi wraz z Fergusonem. Newton i Cook stali po obu stronach wspaniałych schodów prowadzących na piętro. Obaj uzbrojeni byli w AK47. Derry Gibson opierał się o kominek.

- Ach, jest pan wreszcie, generale. Proszę, niech pan usiądzie. Napije się pan czegoś?

- Jest pan bardzo uprzejmy. Poproszę whisky. Dużą.

- Marco! - zabrzmiało to jak rozkaz.

Rossi posłusznie podszedł do kredensu, nalał whisky do szklanki, a generał wypił ją z przyjemnością.

- Panowie, wyglądacie, jakbyście spodziewali się kłopotów.

- Niekoniecznie kłopotów. Po prostu spodziewamy się Dillona.

- A skąd, do diabła, Sean Dillon miałby wiedzieć, gdzie jestem? - Ferguson zaniepokoił się nieco. Czyżby rozszyfrowali "Omegę"?

- Stąd, że widział, jak zabieramy pana ze sobą, i tropił nas przez całą drogę do bazy w Fotley. Spóźnił się dosłownie o sekundy.

- Co za pech.

- Dla pana z pewnością.

- Dość, Marco! - Baron brutalnie przerwał tę wymianę zdań. - Nie wolno zapominać o uprzejmości należnej gościowi. - Wstał, oparł się na lasce. - Proszę za mną, panie generale. Pokażę panu coś, co jest najpilniej strzeżonym sekretem mojego zamku.

Ruszył w kierunku drzwi przy schodach. Skinął głową, rozkazując synowi, by je otworzył.

- Tunel ten zbudowano w piętnastym wieku - powiedział tonem przewodnika. - Prowadzi do kaplicy, która, nawiasem mówiąc, jest wielkim dziełem architektury. Obejrzymy ją sobie.

Szedł pierwszy, troszcząc się o gości, jak na dobrego gospodarza przystało.

Dillon kopał drzwi domku Kleina. Otworzyły się w końcu i stanął w nich sam gospodarz. Widząc mundury, cofnął się instynktownie. Wepchnęli go do środka.

- Nie bój się, przychodzimy od Kubela - powiedział Dillon po niemiecku. - Jesteś gotów wprowadzić nas do środka?

- Ależ oczywiście, oczywiście, proszę pana - odparł Klein unizenie. Śmierdział wódką, choć poruszał się sprawnie. Narzucił myśliwską kurtkę i włożył do kieszeni obrzyna.

Dillon połączył się z Kubelem, który natychmiast odpowiedział na wezwanie.

- Jesteśmy na miejscu, złapaliśmy kontakt z Kleinem, zaraz wchodzimy. Do diabła z czekaniem. Powiedziałeś, że lot zajmie ci dwadzieścia minut? No to startuj za piętnaście.

- Jak sobie życzysz. Powodzenia.

- Do roboty - rzucił Dillon do Billy'ego. - Spojrzał na Kleina. - Mój przyjaciel nie mówi po niemiecku - wyjaśnił. - Prowadź, pora kończyć tę robotę.

Baron pierwszy wszedł do kaplicy, w której jak zawsze paliły się świece i wielkie, nigdy niegasnące gazowe lampy. W mroku widać było zwieszające się z sufitu rycerskie proporce.

- Siedemset lat historii mojej rodziny, generale - powiedział Max von Berger.

- Imponujące - przyznał Ferguson. - Ani śladu Trzeciej Rzeszy. I nie widzę nazistowskich proporców.

- Nigdy nie byłem członkiem partii.

- Za to odznaczył się pan w służbie w SS.
- W Waffen SS. To byli prawdziwi żołnierze. Najlepsi na świecie.
- Każdy ma prawo do swoich poglądów. Był pan także adiutantem Hitlera.
- To prawda, ale Fiihrer miał ich wielu. Można powiedzieć, że służyłem w charakterze

gońca.

- Niech pan da spokój. Przecież zlecił panu świętą misję.
- Kaprys człowieka, który pod koniec wojny odchodził od zmysłów. Proszę poczekać.

Baron Max von Berger obszedł grobowiec, podszedł do figury, otworzył skrytkę, wyjął z niej pamiętnik.

- Myślał pan, że o to mi właśnie chodziło, że to jest najważniejsze. Dziennik Hitlera, niemiecka "święta księga"?

- Powiedziała mi o niej Sara Hesser.

- Myliła się. Motto mojej rodziny brzmi: "To kwestia honoru". Dzięki powierzonej mi przez Fiihrera misji wydostałem się z oblężonego przez Rosjan Berlina. Fiihrer dostarczył mi funduszy na rozpoczęcie nowego życia. Choćby dlatego strzeżenie jego dziennika stało się dla mnie sprawą honoru. Och, oczywiście, niektóre informacje, zwłaszcza te dotyczące pana prezydenta, mogłyby okazać się użyteczne, ale to nie dla nich wypowiedziałem wam wojnę.

Odłożył dziennik do skrytki. Ferguson usłyszał trzask, z jakim zamknęły się jej drzwiczki.

- Więc dlaczego?

- Kate Rashid ocaliła mi życie w Bagdadzie. Dillon zabił jej braci, jest odpowiedzialny również za jej śmierć, a przez niego odpowiedzialność spadła na ciebie.

- A więc... mam zapłacić własną krwią?

- Dillon zapłaci, jeśli, jak przypuszcza mój syn, przybędzie panu z pomocą.

- Jaka jest więc moja cena?

- Przejdźmy do sali balowej. Tam porozmawiamy.

Mimo oświetlających zamek reflektorów las na zboczach wzgórza był mroczny i ponury. Klein, bezbłędnie wybierając drogę wśród krzaków i zarośli, doprowadził grupę do "wejścia na salony" i odsunął kratę. Zszedł po drabince, włączył dużą latarkę, oświetlając betonowy tunel.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił. - Prowadzi wprost do serca zamku. - Wyjął napełnioną w połowie butelkę sznapsa, pociągnął z niej wielki łyk.

- Na razie jest nieźle - orzekł Sean Dillon. - Ale z tym pić nie przesadzaj. Potrzebujemy cię trzeźwego.

Max Kubel uruchomił silnik starego storcha. Maszyna potoczyła się po pasie, silnik Argus pracował wspaniale. Uniosła się w mrok i deszcz.

Jej startowi przyglądano się z napięciem.

- Teraz wszystko zależy od Dillona - powiedziała Hannah Bernstein.

- Zawsze wszystko zależy od niego - zauważył nie bez satysfakcji Harry Salter.

Dotarli do piwnicy. Klein prowadził ich korytarzami, przez kuchnie, magazyny i spiżarnie. Po drodze nie spotkali nikogo.

- Gdzie służba? - zainteresował się Dillon.

- Sprawdziłem w wiosce. Baron utrzymuje ich zaledwie kilkoro, a na dziś wszyscy dostali wolne.

Weszli po schodach. Klein delikatnie uchylił kolejne drzwi.

- Sala recepcyjna - powiedział. Było tu ciemno, lecz z oddali dobiegały jakieś niewyraźne głosy. - Ktoś jest w sali balowej. Chodźcie za mną. Wejdziemy tymi schodami, widzicie?

Będziecie widzieli wszystko z góry.

Znowu łyknął sznapsa. Dillon przetłumaczył jego słowa Billy'emu, który tylko skinął głową. Odbezpieczyli broń i ruszyli.

- Jestem gotów was wysłuchać, panowie - powiedział Ferguson, siadając wygodnie przy kominku.

- W gruncie rzeczy sprawa jest bardzo prosta - powiedział swobodnie Rossi. - Pańskie działania w zakresie międzynarodowego wywiadu czynią z pana niezwykle cenny towar. Oczywiście mógłbym pana po prostu zastrzelić, ale byłoby to zwykłe marnotrawstwo. Dostanę za pana sumę, która powetuje mi stratę "Mony Lisy" i jej ładunku.

- Widzę jeden problem - zauważył generał dobrodusznie. - Moja wartość zależy od tego, co powiem, a ja nie jestem człowiekiem gadatliwym.

- Och, potrafimy załatwić to we własnym zakresie. Jest takie lekarstwo, succinylcholina. Podczas niektórych operacji używa się jej do zmniejszenia napięcia mięśniowego, lecz tylko wówczas, gdy pacjent jest w głębokiej narkozie. Jeśli nie, succinylcholina paraliżuje go, uniemożliwia oddychanie i powoduje straszliwy ból. Działa wprawdzie tylko przez dwie minuty, ale perspektywa otrzymania kolejnych dawek jest nie do zniesienia, nawet dla najodważniejszych i najwytrzymalszych. Panie generale, przed kolacją będzie pan śpiewał jak kanarek.

Ferguson bał się tak jak jeszcze nigdy w życiu, ale nie dał tego po sobie poznać. Zdołał się nawet uśmiechnąć.

- Brzmi naprawdę okropnie. - Spojrzał na barona. - I pan pozwoliłby na coś takiego?

- Jestem pewien, że nie będę musiał udzielać żadnego pozwolenia. Pan, generale, oczywiście zachowa się rozsądnie.

W połowie marmurowych schodów znajdowała się umieszczona z boku, typowa dla architektury średniowiecza, mała galeria, rodzaj teatralnej łoży, z której widać było wszystko, co dzieje się w sali na dole. Dillon, Billy i Klein, pozostając niewidoczni, mogli zorientować się w sytuacji.

Wspaniały kandelabr, zawieszony na belkach wysokiego stropu, doskonale oświetlał scenę: dębowy stół, srebrne świeczniki, płonące świece, Newton i Cook stojący na podeście nad pierwszym zakretem schodów, Gibson przy wielkim kominku, baron i Ferguson siedzący naprzeciw siebie, trzymający się nieco z boku Rossi.

Dillon zapamiętał wszystko od pierwszego rzutu oka i natychmiast się cofnął.

- Te schody prowadzą wprost na kolejny podest, prawda? - spytał Kleina.

- Tak.

- A drzwi na dole to jedyne wejście do sali balowej?

- Oczywiście.

- Doskonale. Mój przyjaciel pójdzie na górę, ja wejdę przez drzwi.

- Zapomniał pan o mnie.

- Nie zapomniałem. Zostaniesz tu jako nasze ubezpieczenie.

- Hej, posłuchaj...

- Rób, co ci każe. - Dillon wbił lufę pistoletu maszynowego w brzuch Niemca. - Nie mam zwyczaju żartować.

Klein uniósł dłoń.

- Dobrze, w porządku - powiedział uspokajająco.

- Sprawia ci kłopoty? - zainteresował się Billy.

- Mniej więcej takie jak wrzód na dupie. Wejdziesz po schodach na kolejny podest, będziesz

miał widok na całą salę. Poradzisz sobie z Newtonem i Cookiem?

- Każdego dnia, choćby na wakacjach. A ty?

- Zejdę na dół i wskoczę bardzo spektakularnie przez te drzwi. Odliczaj Billy, od pięćdziesięciu. Start!

Rozdzielili się, jeden pobiegł na górę, drugi na dół. Wściekły Klein znów się napił, a potem wrócił na galerię. Wyjął z kieszeni obrzyną.

- Aukcja mogłaby być niezłą rozrywką - powiedział Rossi.

- Zgrabnie uderzasz nożem, ale tak naprawdę lubisz obracać nim w ranie, synu - odparł Ferguson. - Zwłaszcza nożem, którego ostrze kryje się w kościanej figurce Matki Boskiej. Tak, tak, ja o nim wiem. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, co wiem. Zestrzelili cię, owszem, przeżyłeś za linią serbskiej obrony, zabiłeś cztery osoby, tyle że wśród twoich ofiar były dwie kobiety. No i weszło ci to w nawyk, czego dowodem jest Sara Hesser.

- Niech cię diabli, Ferguson! - Rossi skoczył na równe nogi. W prawej ręce krył figurkę.

Zalany w trupa Klein, obserwujący tę scenę z wysokości, którą uznał za bezpieczną, nie wytrzymał, wychylił się przez barierkę galerii i krzyknął: "Mam pana, panie baronie!", po czym cisnął pustą butelką sznapsa i wystrzelił z obu luf obrzyną.

Może się to wydać dziwne, ale życie Maxa von Bergera ocalił nie kto inny jak Ferguson, który rzucił się na starca, przewracając go razem z fotelem. Derry Gibson, prawdziwy Irlandczyk nigdy nie tracący głowy, załatwił Kleina, trafiając go trzema strzałami z browninga wprost w czoło. Nieszczęsny pijak poleciał do tyłu, odbił się od ściany, wpadł na barierkę galerii, przekoziołkował i z głuchym hukiem wylądował na podłodze sali balowej.

Dokładność co do ułamka sekundy oczywiście diabli wzięli. Billy, nieprzygotowany jeszcze do otwarcia ognia, miał na celowniku Newtona i tylko jego zdołał trafić. Dillon kopniakiem otworzył drzwi, uskoczył w bok i zaczął strzelać.

Ferguson i baron ukryli się za sofą. Rossi z Gibsonem przewrócili stół i ostrzeliwali się zza niego.

- U ciebie w porządku, Billy? - krzyknął Dillon.

- Załatwiłem Newtona, został Cook.

Rozległ się trzask krótkiej serii.

- Mierz w kandelabr! Pomogę ci. Raz, dwa... trzy!

Strzelili obaj długimi seriami, tłukąc kryształ, a okruchy fruwały w powietrzu. Kandelabr przekrzywił się, oderwał od stropu, pogrążając salę w ciemnościach, i z hukiem wylądował na posadzce, zasypując okruchami stół.

Cook spanikował. Wstał, strzelał z kałasznikowa jedną długą serią. Billy załatwił go zaledwie kilkoma pociskami i zbiegł po schodach. Dillon skoczył na środek pokoju, strzelając wysoko w powietrze. Zatrzymał się naprzeciw Rossiego i Gibsona, nim zdołali wydostać się z szczytków stołu i kandelabru. Billy stanął za ich plecami.

- Stać! - polecił, przesunął dłonią po ich ubraniach, odebrał dwa rewolwery i oczywiście nóż Rossiego. Wysunął ostrze. - Ładna zabawka - stwierdził z uznaniem, schował ostrze i włożył nóż do kieszeni.

Ferguson i baron wyszli zza sofy.

- Dlaczego tak długo? Coś was zatrzymało? - spytał uprzejmie generał.

- Z tego, co widziałem z góry, wynika, że uratował pan życie staremu - oburzył się Billy.

- Dlaczego, do jasnej cholery?

- Bo tego wymagała uprzejmość, a on był dla mnie bardzo uprzejmy. Zabrał mnie nawet do kaplicy, pokazał dziennik Hitlera. To wielkie przeżycie. Jest ukryty w figurze, za grobowcem.

- Naprawdę? Właściwie przybyliśmy po ciebie, Charles, ale dziennik będzie dla nas fajną premią.

Rossi nie powiedział do tej pory ani słowa; stał nieruchomo, lecz widać było, że jest wściekły. Derry Gibson czekał na jakąkolwiek, choćby najmniejszą szansę ucieczki. Było to bardzo wyraźnie widać i Dillon doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- No, Marco, prowadź - rzucił.

Z pułapu dwustu metrów Kubel miał doskonały widok na pięknie oświetlony zamek Adler i rozciągającą się przed nim łąkę. Mimo lejącego deszczu, który co prawda przeszedł już w zwykłą mżawkę, przebył dystans z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę. Najpierw pojawił się błądy sierp księżycy, zaraz potem światła zamku i łąka. Wylądował perfekcyjnie, podkołował do krawędzi zaimprovizowanego lotniska, zawrócił. W tym momencie odezwało się radio:

- Tu Kubel.

- Tu Dillon. Słyszałem cię. Mamy go.

- Świetnie. Jestem gotów. A wy?

Stali w kaplicy obok grobowca. Billy trzymał na muszce Rossiego, Gibsona i von Bergera, Ferguson próbował otworzyć skrytkę.

- Jest gdzieś tu, blisko, jakieś wgłębienie, coś w tym rodzaju...

- Nigdy nie znajdzie pan dziennika - powiedział spokojnie baron.

- Nie mam czasu do stracenia. - Dillon złapał Rossiego za włosy, wyrwał walthera z kieszeni płaszcza, przyłożył lufę do skroni jeńca. - Dawaj dziennik albo go zabiję.

- Nie sądzę, by był pan do tego zdolny.

- Bo mnie nie znasz, staruszk. - Sean Dillon błyskawicznie odwrócił się w stronę Gibsona i ze słowami: "A mówiłem, co będzie, jeśli jeszcze raz na mnie wpadniesz" strzelił mu między oczy. Siła strzału rzuciła Irlandczykiem o mur, w powietrzu zawisła czerwona mgiełka.

Szok sparaliżował wszystkich świadków tego bezlitosnego, dokonanego z zimną krwią morderstwa. Nim ktokolwiek zdążył się poruszyć, lufa dotykała skroni Marco Rossiego.

- Pora podjąć decyzję, baronie.

- Nie, nie! - krzyknął przerażony Max von Berger. - Oddam dziennik, ale niech pan przysięgnie na honor, że nie zabije mojego syna!

Nim Dillon zdążył odpowiedzieć, Ferguson zapewnił: "Ma pan moje słowo".

Baron obszedł grobowiec. Rozległ się cichy trzask otwieranej skrytki, a po krótkiej chwili stanął przed nimi z dziennikiem w ręku. Podał go generałowi.

- Sara Hesser nazwała go "świętą księgą". Pan przysiągł, że nigdy go nie skopiuje. Nie myślę się?

- Dotrzymałem przysięgi - zapewnił baron.

- Doskonale. - Generał Ferguson podszedł do płonącej na grobowcu lampki i wrzucił dziennik Hitlera w ogień. Książeczka zajęła się natychmiast.

- Ojczu, jesteś głupcem. I tak nas zabiją! - krzyknął Rossi.

Dillon odepchnął go mocno. Podniósł walthera, lecz w tym momencie interweniował Ferguson.

- Nie. To już koniec, a poza tym dałem słowo.

Wyszedł z kaplicy, nie oglądając się za siebie.

- Ma pan cholerne szczęście - powiedział Dillon do barona. - Ja dawno zapomniałem o honorze. Idziemy, Billy. - Poszli za Fergusonem przez tunel i zniszczoną salę balową, wybiegli na dziedziniec. Stało tam kilka samochodów, w tym land-rover z kluczami w stacyjce.

- Będzie w sam raz! - Dillon wskoczył za kierownicę. Z rykiem silnika przejechali przez zwodzony most.

Rossi wybiegł z kaplicy, wyprzedzając ojca. Spojrzał na łąkę.

- Mój Boże, to storch! - krzyknął. - Uciekają takim starym gratem! Już ja im pokażę latanie!

Zbiegł po schodach. Choć z wielkim trudem, ojciec próbował dotrzymać mu kroku.

- Co ci chodzi po głowie?

- Mój gulfstream jest trzy razy szybszy niż ten... ten złom. Facet już gryzie ziemię! - Rossi dostał ataku furii, nie potrafił myśleć, planować, oceniać.

- Oszalałeś - wysapał jego ojciec, łapiąc go za rękaw.

Marco wyrwał mu się, zaczął biec, zmuszając barona do wysiłku groźnego w jego wieku.

Rossi dopadł w końcu do jednego z samochodów, przekręcił kluczyk w stacyjce, z całej siły wdepnął gaz. Nie mógł jednak przejechać przez bramę, ponieważ baron Max von Berger stał w niej, szeroko rozkładając ramiona; w jednej ręce trzymał laskę. Jego syn po prostu musiał się zatrzymać. Starzec otworzył drzwi od strony pasażera i z widoczną ulgą usiadł w fotelu.

- Cokolwiek ma się stać, zrobimy to razem. Pora zakończyć tę historię.

Ferguson, Dillon i Billy siedzieli już w kabinie storcha. Przekrzykując ryk silnika, Kubel wrzasnął:

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Wiejemy!

- Doskonały pomysł. Zostawiliśmy cztery trupy.

- A więc warto się pospieszyć. - Silnik ryknął głośniejsze, samolot potoczył się po łące, zakończył rozbieg i ostro wzbił się w powietrze. Dillon wyjrzał przez okno, zobaczył samochód podjeżdżający do gulfstreama, gestem wskazał go Kubelowi.

- Jeśli wśród tych waszych czterech trupów nie ma Rossiego, to widzimy właśnie jego. Podejrzewam, że nie ma, bo któż inny mógłby to być?

Max Kubel nie łudził się, nie mieli szans na ucieczkę, nie przy szybkości gulfstreama. Nie istniała wprawdzie możliwość zestrzelenia, bo gulfstreamy to nie myśliwce, mogło więc chodzić tylko o jedno: spowodowanie kolizji. Rossi miał zapewne zamiar trącić go lekko, tak, by stara maszyna roztrzaskała się o drzewa. Mógł to zrobić, jest przecież znakomitym pilotem.

Na trzystu metrach storchem zatrzęsło, przechylił się, a potem nagle wzleciał w niebo. Gulfstream przeleciał nad nimi, skręcił i zajął miejsce tuż przy ich lewym skrzydle. Widzieli, jak pilot opuszcza kłapy, by dodatkowo zredukować szybkość. Światła w kabinie pilotów były włączone; Dillon dostrzegł von Bergera, siedzącego obok syna, przyglądającego się im nieruchomym wzrokiem.

- Na Boga, jest z nim baron! - krzyknął. Gulfstream przyspieszył, oderwał się od nich bez najmniejszego problemu, zawrócił, poleciał ku nim kursem kolizyjnym. Poderwał się w ostatniej chwili, storch znów zatańczył w podmuchach powietrza.

Nie, pomyślał Kubel, on mnie nie uderzy, tylko zmusi do powolnego zmniejszania wysokości, aż rozbije się o korony drzew. Dobra, rozegramy to inaczej.

Ściągnął wolant, wspiął się na dobre osiemset metrów. Widząc to, Rossi warknął:

- Niemożliwe. Co on wyprawia!

- Przecież to śmieszne - powiedział spokojnie baron. - A raczej obłąkańcze. Wracajmy do domu.

- Niech mnie diabli, jeśli teraz zawrócę!

Kubel wykonał przewrót i wszedł w lot nurkowy; był to najbardziej szalony manewr w jego bogatej karierze przemytnika. Silnik storcha pracował jak szwajcarski zegarek, samolot był

doskonale utrzymany i mimo iż pilot zwlekał z przyciągnięciem drążka do ostatniego ułamka sekundy, poddał się jego woli. Wyszedł z nurkowania na samobójczej wysokości niespełna stu pięćdziesięciu metrów. Gulfstream trzymał się tuż za nim, pilotowi klasy Marco Rossiego podobny manewr mógł się udać...

- Dość! - rzucił baron Max von Berger. Położył dłoń na dłoni syna, pchnął wolant. Lecący z prędkością ponad sześćset kilometrów na godzinę gulfstream wbił się w ziemię, eksplodował i spłonął w wielkiej kuli ognia.

- Jesteś geniuszem! - krzyknął Dillon do Kubela.

- Ścigał nas wariat. Człowiek przy zdrowych zmysłach tak nie pilotuje.

- Sam dokonał wyboru - stwierdził filozoficznie Ferguson. - Nie powiem, żebym go żałował. Zaplanował mi bardzo nieprzyjemną przyszłość, a baron miał zamiar stać z boku i się przyglądać.

- Jeśli o mnie chodzi, obaj mogą smażyć się w piekle - powiedział Dillon. - No, czas wracać do domu.

Wkrótce wylądowali w Arnheim. Podkołowali do hangaru, w którym czekali na nich Hannah Bernstein, Harry Salter, Lacey i Parry.

- Mój Boże, to cudownie znów pana widzieć, generale - ucieszył się Harry, a Hannah zdobyła się na odwagę i cmoknęła szefa w policzek.

- Bardzo się cieszę, że się panu udało, generale - dodała poważnie.

- Dziękuję wam, ale to z pewnością może zaczekać. Wskakujcie do samolotu, musimy uciekać ile sił w nogach.

Dillon, ty i Billy powinniście się chyba przebrać. A co z tobą, Kubel?

- Startuję zaraz po was. Przyszła pora na długie, spokojne wakacje.

- Byłeś wspaniały.

- No pewnie, że byłem.

Piloci siedzieli już w kabinie citation. Hannah i Harry wsiedli pierwsi, Ferguson deptał im po piętach, po chwili z hangaru wybiegli Billy i Sean. Żegnając się z Kubelem, ten ostatni powiedział:

- Miałem się za dobrego pilota, ale ty jesteś pilotem wspaniałym. Jest wspaniałym pilotem, Billy?

- Cholernie wspaniałym. Już dawno powinniśmy być w powietrzu.

Parry zamknął za nim drzwi samolotu. W chwilę później, po krótkim rozbiegu, wystartowali i zaczęli szybko się wznosić.

- Powiedźcie, jak to się właściwie odbyło - poprosił Harry.

- Nie to jest w tej chwili najważniejsze - odparł niecierpliwie Ferguson. - Niech ci wystarczy, że jak zwykle okryli się chwałą. Hannah, bądź uprzejma połączyć się z Roperem. Powiedz mu, że misja zakończyła się sukcesem, dziennik Hitlera został zniszczony, a Max von Berger, Marco Rossi i Derry Gibson opuścili ten padół i kto wie, gdzie się teraz znajdują.

Niech przekaże tę informację Blake'owi Johnsonowi.

- Oczywiście, panie generale. Premierowi także?

- Będę z nim rozmawiał osobiście.

Hannah Bernstein przeszła na tył samolotu. Schroniła się w kuchence, gdzie nie docierały hałasy i mogła spokojnie rozmawiać. Harry otworzył bar.

- Przypuszczam, że nam wszystkim należy się szklaneczka whisky... Oprócz Billy'ego, rzecz jasna.

- Mnie wystarczy drzemka. - Billy rozłożył siedzenie i przymknął oczy.

- Bushmills! - zdziwił się Harry, unosząc butelkę. - Masz dobrze ustawionych przyjaciół, ty cholerny Irlandczyku!

Rozlał trunek do trzech szklaneczek. Pili w przyjaznym milczeniu, aż przyszedł czas na drugą kolejkę. Ferguson uniósł szklanę.

- To była trudna robota, Sean - zwrócił się do Dillona - ale spisałeś się doskonale.

- Ostatnio każda robota jest trudna, trudniejsza od poprzedniej. Czasami myślę nawet, że powinienem znaleźć sobie inną pracę.

Ferguson pokręcił głową.

- Nie bądź głupcem - powiedział cicho. - Do niczego innego się nie nadajesz.

JACK HiGGINS należy do najpopularniejszych brytyjskich twórców literatury sensacyjno-przygodowej. Jego powieści ukazują się w prawie 30 językach świata, a ich łączny nakład przekroczył 150 milionów egzemplarzy. Naprawdę nazywa się Harry Patterson. Sławę przyniósł mu thriller wojenny Orzeł wylądował (1975), wydany pod pseudonimem Jack Higgins - jednym z kilku, których używał w trakcie kariery pisarskiej. Napisał ponad 60 książek, m.in.: Konfesjonał (1985), Orzeł odleciał (1991), Thunder Point (1993), Zdrajca w Białym Domu (1999), Niebezpieczna gra (2001), Śmierć jest zwiastunem nocy (2002) i Bez przebaczenia (2003). Jego najnowszy bestseller nosi tytuł Dark Justice (2004). Książki Higginsa doczekały się licznych ekranizacji. Należą do nich filmy pełnometrażowe "Modlitwa za konających", "Orzeł wylądował", "Thunder Point" oraz kilkogodzinne seriale telewizyjne zrealizowane na podstawie Konfesjonału, Nocy Lisa, Cold Harbour i innych powieści.